

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA

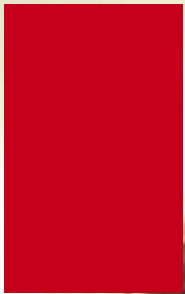


FOT. SŁAWOMIR KAMINSKI

Kto podłożył raport
Kaczyńskiemu ► **8**
Wiedźmin jest
prawdziwym Polakiem ► **36**
Konklawe już trwa ► **19**



**WYSOKIE
OBCASY**
**Związki
Róży**



GAZETA

wyborcza.pl
wyborcza

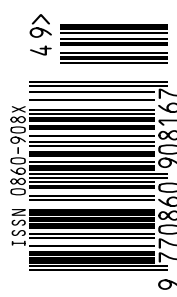
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Jak rak mnie wyzwolił z polskich traum

opowiada Aleksandra Karpowicz ► 27

FOT. ARCHIWUM ALEKSANDRY KARPOWICZ

Wydaje Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348198



Sobota-czwartek, 7-12 grudnia 2024 | Redaktorka prowadząca Ewa Wieczorek | Cena gazety **9,99 zł** (w tym 8% VAT) | nr 285.10779, 1

Nakład 87 tys. + 300 tys. prenumerat cyfrowych

REKLAMA

KRAJ/34349755



Świąteczna Oferta
w Klubie dla Przyjaciół
W. KRUK
1 8 4 0

SILVER -15%
PLATINIUM -20%
GOLD -17%

Przy zakupach biżuterii złotej
i zegarków za min. 599 zł
oraz biżuterii srebrnej, Picky Pica
i akcesoriów za min. 299 zł

Szczegóły i wykluczenia dostępne
w salonach i na wkruk.pl

Agnieszka
Kublik

Pożegnanie z Julią i feministyczny paradoks

Pożegnania bywają piękne. To rozstanie to wielka radość i szczęście, że wreszcie Trybunał Konstytucyjny opuszcza Julia Przyłębska, która nigdy nie powinna była zostać sędzią konstytucyjnym. To było jasne, zanim tam zasiadła. Jest i dziś, bo skompromitowała ten urząd koncertowo.

To satysfakcja nie tylko dla prawników. Dla wszystkich obywateli, bo kondycja sądu konstytucyjnego – chcemy czy nie, wiemy czy nie – dotyczy nas wszystkich.

Ale – paradoksalnie – to i jakaś radocha dla walczących o równe prawa dla kobiet i mężczyzn. O prawo do obecności kobiet w życiu publicznym.

Prawdziwa równość płci nastąpi, gdy na wysokich stanowiskach liczba kobiet niekompetentnych będzie równa liczbie niekompetentnych mężczyzn. To spostrzeżenie prof. Małgo-

rzaty Fuszary, prawniczki i socjolożki, utkwiło mi w pamięci na zawsze. Jest okrutne, ale prawdziwe.

Julia Przyłębska to właśnie ten przypadek, to ta niekompetentna kobieta.

Żadna płć nie jest idealna – banal. Ale tylko my, kobiety, jesteśmy nieustannie rozliczane – prawda.

Wpadka kobiety to tragedia, niewybaczalny, dyskwalifikujący błąd. U mężczyzny... ot, taki charakter. I nie idzie o to, by błędy – czykolwiek zresztą – ignorować, ale by nie miały płci.

Julia Przyłębska była fatalną prezeską Trybunału Konstytucyjnego nie dlatego, że jest kobietą, ale dlatego, że za nic miała prawo, zasady, przyzwoitość i sprawiedliwość. Oraz była wykonawczynią politycznej roli, jakiej od niej oczekiwał jej polityczny sponsor.

Niech nigdy płć np. Przyłębskiej, Beaty Szydło, Beaty Kempy czy Magdaleny Ogórek nie będzie argumentem, że kobiety się nie nadają do polityki. Bo to przypadki tych kompromitująco niekompetentnych kobiet.

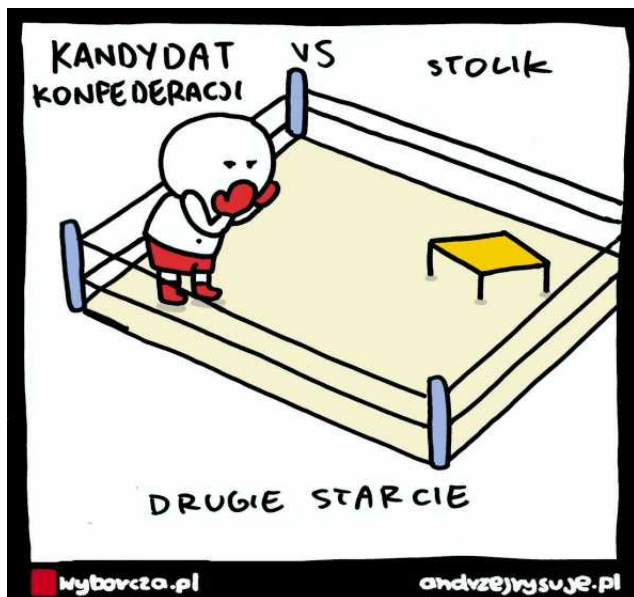
Wszak nie pada argument, że takie przypadki w polityce jak np. Jarosław Kaczyński, Andrzej Duda, Mateusz Morawiecki, Jacek Kurski, Daniel Obajtek, Maciej Wąsik, Mariusz Kamiński, Michał Romanowski, Antoni Macierewicz czy Zbigniew Ziobro świadczą o tym, że mężczyźni się do polityki nie nadają. To przypadki tych kompromitująco niekompetentnych mężczyzn.

Nadal u władzy w większości są mężczyźni. Czy w większości się do tego nadają? Nie.

Przyłębska, Szydło, Ogórek czy Kempa kariery zawdzięczają gender. Choć nigdy tego nie potwierdzą. Ba, one pewnie tego nawet nie przyjmują do wiadomości.

Wysoka cena? Ogromnie. Warta zapłaty? Niestety. ●

Andrzej rysuje



Mikołajki Znajdź Rudolfa



Oto łazienka Susanne i Thomasa Jerominów, oficjalnych rekordzistów świata. Wygrali w kategorii: najwięcej udekorowanych choinek w jednym domu. Oni w swoim pod Hanowerem mają 605. Rinteln, 3 grudnia 2024 r. **Więcej zdjęć z Polski i ze świata oraz niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia**

Kod dostępu do Wyborcza.pl



Kochajmy się



PROC.
o tyle ryzyko zachorowania na depresję jest wyższe u singli, niż u ludzi w związkach. A cierpi na nią aż 5 proc. dorosłych na świecie

www.nekrologi.wyborcza.pl/34351048

Odszedł mój kochany Mąż
wspaniały Człowiek



Ryszard Poznakowski

Pożegnanie odbędzie się
w Kościele pw. św. Ap. Szymona i św. Judy Tadeusza
dnia 13 grudnia 2024 roku (piątek) o godzinie 13.30
w Szelkowie (gm. Szelków, pow. makowski, woj. mazowieckie).

Następnie urna zostanie złożona na cmentarzu w Szelkowie.

Dnia 11 grudnia 2024 (środa) o godzinie 13.00
w Kościele Środowisk Twórczych pw. Alberta Chmielowskiego i św. Andrzeja
w Warszawie, pl. Teatralny 18
zostanie odprawiona msza św. w intencji Zmarłego.

Teresa

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

34351569

nekrologi.wyborcza.pl

ODESZLI.pl

Zamieść nekrolog Złóż kondolencje



Kontakt:
nekrologi@wyborcza.pl
tel. (22) 555 55 55

Prezydenckie ulaskawienie

Biden powinien ulaskawić nie tylko syna, ale i Trumpa

Hunter Biden i Donald Trump robili gorsze rzeczy niż te, za które ich skazano

Zawadzki

Joe Biden wymierzył liberalnej demokracji solidny cios – alarmuje Michał Szuldrzyński w „Rzeczpospolitej”. Chodzi o to, że prezydent USA ulaskawił swojego syna Huntera, który został już przez sąd uznany za winnego i czeka na wymiar kary (w Ameryce kwestia winy i kwestia kary jest często rozpatrywana osobno).

„Ulaskawienie Huntera Bidena to prezent dla populistycznej prawicy, która podważa zaufanie do rządów prawa i wolnych mediów. Decyzja wzmacnia narrację o korupcji elit i rzuca cień na instytucje gwarantujące liberalną demokrację” – tłumaczy zasłużony dziennikarz i publicysta.

Surowość poniekąd uzasadniona, ale autor przekręca istotę sprawy i pomija głównych winowajców. Otóż amerykańska liberalna demokracja sama rzuciła na siebie cień, kiedy dwie prominentne osoby – Hunter Biden i Donald Trump – zostały w tym roku formalnie oskarżone i skazane za przestępstwa w naciąganych i bezsensownych procesach.

Przypomnijmy sobie bowiem ich „przestępstwa”.

Trump został skazany za to, że jego księgowy 34 razy źle zaksięgował pieniądze wypłacone dla gwiazdy porno Stormy Daniels, żeby milczała w sprawie jej tajnych schadzek z Donaldem.

Ani tajne schadzki nie były nielegalne, ani płacenie za milczenie nie jest w USA nielegalne.

Jedynie nielegalne – tak uznała ława przysięgłych w Nowym Jorku – było zapisanie tych pieniędzy jako „wydatki na usługi prawne”. Tymczasem bardzo łatwo można to tak właśnie zinterpretować, bo pieniądze – 130 tys. dolarów – fizycznie dostał Michael Cohen, osobisty wieloletni prawnik Trumpa, który wcześniej sam z własnej kieszeni zapłacił pani Daniels.

Od wyroku w maju prezenterzy lewicowej (podług amerykańskich standardów) telewizji MSNBC z upodobaniem powtarzali, a za nimi liberalni i lewicowi publicyści na całym świecie, że „Trump jest przestępcą, który został 34 razy skazany”. W rzeczywistości jego idiotyczna sprawa w Nowym Jorku pokazuje dwa ogromne problemy Ameryki i amerykańskiej demokracji.

Po pierwsze, tamtejsze prawo i sądy są zdecydowanie zbyt restrykcyjne, skoro skazują za tak wydumane przestępstwa. Lub za drobne przestępstwa. Efekt jest taki, że dwa miliony Amerykanów siedzi w więzieniach. USA mają zdecydowanie najwyższy wskaźnik tzw. inkarceracji na świecie.

Po drugie, prokuratura jest rzeczywiście upolityczniona – tak alarmował w kampanii wyborczej Trump i teraz nagle, ulaskawiając syna, zgadza się z nim Biden.

Jest upolityczniona, bo gdyby sprawa „złego zaksięgowania” dotyczyła kogokolwiek innego, to nigdy by się



• Hunter Biden z ojcem i macochą w 2021 roku FOT. CARLOS M. VAZQUEZ II/JOINT CHIEFS OF STAFF

Dwa miliony Amerykanów siedzi w więzieniach. USA mają najwyższy wskaźnik tzw. inkarceracji na świecie

nie odbyła, bo prokuratura nie zawracałaby sobie nią głowy.

Nie insynuuję tutaj, że nowojorski prokurator działał na tajne polecenie z Białego Domu, ale insynuuję, że na siłę szukał paragrafu, żeby skazać Trumpa.

Czemu? Zgaduję, że w dobrej wierze. Zapewne miał głębokie wewnętrzne przekonanie, że Trump jest bezczelnym oszustem, jest bezkarny i trzeba go za coś skazać. Podobnie na siłę szukano paragrafu, żeby skazać sławnego gangstera Ala Capone. W obu przypadkach paragraf się znalazł – Capone poszedł siedzieć za oszustwa podatkowe.

Żeby nie było: Trump popełnił kilka prawdziwych przestępstw, za które powinien zostać skazany.

Po odejściu z Białego Domu trzymał w domu tajne dokumenty i nie chciał ich oddać; kiedy przegrał wybory prezydenckie jesienią 2020 r., dzwonił do władz stanowych w Georgii, żeby „znaleźć mu 8 tys. głosów”; i wreszcie, co najgorsze, 6 stycznia 2021 r. posłał swoich zwolenników na Kapitol, żeby powstrzymali procedurę zatwierdzania wyników wyborów. Nie udało im się złapać i powiesić wiceprezydenta Mike’a Pence’a, który ją nadzorował, ale udało im się zdemolować Kapitol.

Niestety amerykański wymiar sprawiedliwości okazał się na tyle nieudolny, że przez cztery lata nie potrafił Trumpa skazać za żadne z tych oczywistych, prawdziwych przestępstw.

Więc skazał go za błędy jego księgowego. I to jest kompromitacja liberalnej demokracji – której ważną częścią są przecież sądy.

Podobnie z Hunterem Bidenem. Jego „przestępstwo” polegało na tym, że kupując broń w 2018 r., zaznaczył na formularzu w sklepie, że nie używał i nie używa narkotyków. Postawił krzyżyk w kwadraciku „NO”, zamiast przy kwadraciku „YES”.

Hunter wtedy nalogowo wciągał crack i kokainę razem z Hallie Biden, wdową po jego „lepszemu”, postrzeganym jako ten wzorowy bracie, który zmarł na raka mózgu dwa lata wcześniej.

Oboje byli życiowymi rozbitkami. Hunter kupił rewolwer zapewne dlatego, że miał myśli samobójcze. Kiedy 11 dni po zakupie Hallie znalazła broń w skrytce samochodu Huntera, pojechała na parking przed supermarketem i wyrzuciła ją do kosza.

Kiedy Hunter dowiedział się o tym, kazał jej wezwać policję, bo rewolwer był zarejestrowany na niego i gdyby ktoś kogoś nim zastrzelił, to on byłby podejrzany. Policja przejechała, rewolweru nie znalazła, bo śmieciarka już opróżniła kosze. Hunter oświadczył, że nie będzie zeznawał przeciwko Hallie, która – technicznie rzecz biorąc – ukradła mu rewolwer. Czyli popełniła przestępstwo.

Za nielegalne posiadanie rewolweru przez 11 dni i za fałszywe zeznanie na formularzu federalnym Hunter został uznany za winnego. Wyrok jeszcze nie zapadł, ale grozi mu 25 lat więzienia.

To kolejny dowód, że amerykański wymiar sprawiedliwości jest chory. Żaden normalny prokurator nie zająłby się tą sprawą, gdyby „podejrzany” nie miał słynnego nazwiska. W tym przypadku upolitycznienie było à rebours – prokurator bał się, że gdyby spuścił zasłonę milczenia nad dwójgim nieszczęśników, to zostałby oskarżony o pobbłażanie synowi prezydenta. Czyli o upolitycznienie.

Podobnie jak Trump, Hunter robił w życiu gorsze rzeczy. Na Ukrainie i w Chinach dostawał duże pieniądze – a także diamenty, jak w kiepskim filmie sensacyjnym – od lokalnych biznesmenów tylko za to, że był synem wiceprezydenta i darczyńcy mieli nadzieję, że szepnie słówko ojcu. A wtedy będą jakoś tam uprzywilejowani w biznesach w Ameryce. Formalnie to nie przestępstwo, ale moralnie było skandaliczne. Republikanie mieli rację, że to piętnowali.

Jednak wyrok na Huntera zapadł w innej, kuriozalnej sprawie. Jeśli w ogóle jest potrzebna instytucja prezydenckiego ulaskawienia, to właśnie po to, żeby pomagać nieszczęśnikom takim jak on, którzy znaleźli się na dnie, a bezduszny system jeszcze ich dobija.

Prezydent Biden miał zatem nie tylko formalne prawo, ale też prawo ludzkie i naturalne prawo, żeby syna ulaskawić.

Ale równocześnie powinien był ulaskawić Trumpa skazanego za błędy swojego księgowego.

Podwójne ulaskawienie to byłaby odważna, symboliczna decyzja. Czytelny sygnał, że prokuratura i sądy w Ameryce wymagają reformy, bo są uwikłane w politykę i zdecydowanie zbyt restrykcyjne. Ulaskawiając jedynie syna, Biden zmarnował wielką okazję, żeby na pożegnanie powiedzieć Amerykanom coś ważnego. • **Mariusz Zawadzki**

NIE KIELBASA WYBORCZA, A MASŁO

Trzaskowski ma kobiety,
Nawrocki ma ludzi Ziobry.
A kto będzie miał Trumpa?

Arkadiusz Gruszczyński

Trzaskowski śpiewa z Kolem Gospodyń Wiejskich, Nawrocki wizytuje szpital powiatowy. Stawką jest to, kto przekona do siebie Polskę spoza wielkich miast. Sztab prezydenta Warszawy chce dotrzeć do kobiet z małych miasteczek, a za kampanię prezesa IPN odpowiadają głównie chłopcy od Zbigniewa Ziobry, którzy bardzo chcą się wykazać i będą podkręcali przekaz swojego kandydata.

Jedni i drudzy wiedzą jedno: wybory w Polsce wygrywa się poza Warszawą, Wrocławiem, Katowicami, Trójmiastem i innymi metropoliami.

10 milionów głosów to za mało

Rafał Trzaskowski opowiadał mi kilka miesięcy temu o kampanii sprzed pięciu lat, kiedy nagle musiał zastąpić w wyścigu do Pałacu Prezydenckiego Małgorzatę Kidawę-Błońską. Zapytałem, dlaczego w 2020 roku omijał Polskę powiatową, której głosy mogły przeważać.

– Po pierwsze, prognozowaliśmy, że z dziesięcioma milionami głosów wygramy wybory. Po drugie, chcieliśmy odwiedzić głównie mniejsze miasta, ponieważ tylko tam mogliśmy zmobilizować osoby popierające KO, choć z jakiś powodów nieuczestniczące w wyborach. I po trzecie, zależało nam na dotarciu do miejsc, gdzie przewagę miał PiS. Chciałem udowodnić obywatelom, że wizerunek wykreowany przez PiS-owską propagandę nie był prawdziwy – tłumaczył. – W ciągu dwóch miesięcy trudno było zrealizować wszystkie cele. Udało nam się zdobyć 10 milionów głosów, a także wygrać w olbrzymiej większości średnich ośrodków miejskich, w których w poprzednich latach Platforma Obywatelska przegrywała. Byłem właściwie we wszystkich regionach, ale rzeczywiście zabrakło czasu, choć pracowałem dzień i noc.

**WYBIORĄ NAUCZYCIELKI,
URZĘDNICZKI, PIEŁĘGNIARKI
I GOSPODYNIE WIEJSKIE**

Od tego czasu te diagnozy uległy zmianie.

Dzisiaj wiadomo, że 10 mln głosów to za mało. Zwycięzca musi mieć o milion więcej, co oznacza trzy rzeczy: mobilizację własnego elektoratu, demobilizację tych popierających przeciwnika oraz

przekonanie swingujących regionów, grup społecznych i wyborców innych partii.

Już teraz sztabowcy Trzaskowskiego zamówili pogłębione badania, z których wynika jednoznacznie, że duże miasta już popierają prezydenta Warszawy, więc dużą grupą niezagospodarowaną, w której może łowić kandydat Koalicji Obywatelskiej, są kobiety z mniejszych miejscowości.

Ta konkretna grupa do tej pory nie brała udziału w wyborach, jest negatywnie nastawiona do prawicowych polityków, jednocześnie z rezerwą spogląda na „światopoglądowe nowinki z Warszawy” i niekoniecznie zagłosowałaby na kobietę.

To konkretne wyborczynie: między innymi nauczycielki, urzędniczki, pielęgniarki, ale też kobiety angażujące się społecznie w Kołach Gospodyń Wiejskich. Dlatego na samym początku kampanii Trzaskowski odwiedził gospodynie z Koziej Woli, z którymi śpiewał, jadł placek i kiwał się w rytm ludowych piosenek.

Wiadomo, kogo nam to przypomina: Aleksander Kwaśniewski, członek warszawskiej elity politycznej, niezwykle uprzywilejowany człowiek ze szczytów władzy, był w stanie w 1995 roku przekonać Polaków i Polki, że jest reprezentantem interesów szeroko rozumianego ludu.

W tę samą stronę idzie Trzaskowski. W ciągu raptem kilku dni po ogłoszeniu wyników prawyborów odwiedził zakład wulkanizacyjny, bazarek, piekarnię, druhów z Ochotniczej Straży Pożarnej i seniorów świętujących jubileusz małżeński.

**CO ZOBACZY DZIEWCZYNA NA
TIKTOKU, CO PROFESOR W CNN**

Sztabowcy Trzaskowskiego zdają sobie sprawę z rysu na wizerunku swojego szefa. Część opinii publicznej postrzega go jako leniwego polityka, choć we wszystkich kampaniach wyborczych od 2018 roku udowodnił coś zupełnie odwrotnego. Dlatego teraz o bladym świetle wizytuje te wszystkie miejsca, w których może liczyć na dodatkowe głosy i nieco ocieplić wizerunek.

Inną rysą jest elitarność: Trzaskowski zna języki, bywa na brukselskich i waszyngtońskich salonach, rządzi najbardziej nienawidzonym miastem w Polsce, wywodzi się z liberalnej partii, której nigdy nie było po drodze z niższymi warstwami społecznymi. Jak podsumował to, rozmawiając z socjologiem Cezarym Obrachtem-Pron-

dzyńskim, Damian Nowicki w sobotniej „Wyborczej”: „internet zaczął drwić, że jest odklejonym snobem, który nigdy w życiu nie jeździł komunikacją zbiorową, a w tramwaju wita się z ludźmi »per bązur«”.

Ten powierzchowny przekaz też należałoby zniuansować. Rząd Koalicji 15 października, z którym Trzaskowski, chcąc nie chcąc, jest identyfikowany, jest nie tylko kontynuatorem socjalnej polityki poprzedników z Prawa i Sprawiedliwości, ale jeszcze dorzuca kolejne programy społeczne, takie jak renta wdowia czy babciowe. Rząd Tuska nie podnosi podatków, waloryzuje renty i emerytury, „nie odbiera tego, co raz było dane”. Ten społeczny rys rządzących będzie działał na korzyść Trzaskowskiego. To raz.

Dwa – w społecznej wyobraźni, szczególnie w dobie serwisów społecznościowych, na uczucia wyborców działają obrazy. Skoro już teraz Trzaskowski zaczął inwestować w spotkania ze zwykłymi ludźmi, to może oznaczać jedno: chce nieco zmienić swój wizerunek. Co – jak wiemy z przeszłości – może się udać.

Bo – nie zapominajmy – kampanię prowadzi się jednocześnie na kilku polach, wysyłając kilka komunikatów do różnych grup. Kobiety z mniejszych miejscowości widzą Trzaskowskiego odwiedzającego Koło Gospodyń Wiejskich, profesor z Warszawy doceni wywiad w CNN, młoda dziewczyna z Nowej Soli na TikToku zobaczy filmik kandydata KO z Campusu Polska, a młody mężczyzna jego zdjęcie z zakładu wulkanizacyjnego.

Właśnie, młody mężczyzna. Sztabowcy Trzaskowskiego przypominają na każdym kroku, że już w 2020 roku część wyborców Konfederacji oddała na niego głos w drugiej turze.

**ZDEJMOWANIE KRZYŻY NIE
GRZEJE WYBORCÓW PIS**

Drugą sprawą, o której w trakcie naszej rozmowy wspominał prezydent Warszawy, był jego wizerunek wykreowany przez PiS. Rywal rządzącego Andrzeja Dudy, który miał na usługach całą machinę państwową z jej zasobami, w 2020 roku musiał mierzyć się z potokiem propagandy wylewającym się z mediów publicznych.

Trzaskowski był przedstawiany jako nieudolny prezydent stolicy, który wspiera roszczeniowe, pleniące się organizacje LGBT, wydaje w nieuczciwy sposób pieniądze i nie dba o zwykłych



Kobiety z mniejszych miejscowości widzą Trzaskowskiego odwiedzającego Koło Gospodyń Wiejskich, profesor z Warszawy doceni wywiad w CNN, młoda dziewczyna z Nowej Soli na TikToku zobaczy filmik z Campusu Polska, a młody mężczyzna zdjęcie z zakładu wulkanizacyjnego

ludzi. Właśnie wtedy starszy człowiek z zachodu kraju zapytał mnie z przejęciem, jak mi się żyje w najniebezpieczniejszym mieście w Polsce. Okazało się, że na antenie TVP Info non stop próbowano udowodnić, że w Warszawie pod rządami Trzaskowskiego panuje anarchia i krwawa przemoc.

W 2025 roku będzie inaczej. PiS nie ma swoich mediów, prawicowe telewizje oglądają wyborcy prawicy, którzy i tak zagłosują na Karola Nawrockiego lub Sławomira Mentzena.

Pewnym problemem mogą okazać się osławione krzyże. Trzaskowski na początku roku podpi-

sał rozporządzenie wprowadzające w ratuszu zasady równego traktowania. Z dokumentu jasno wynika, że w przestrzeniach publicznych urzędu – w poczekalniach, biurach obsługi mieszkańca, salach rad dzielnic – nie mogą wisieć na ścianach żadne symbole religijne. Ratusz i sam podpisujący próbowali tłumaczyć, że zmiany wejdą w życie dopiero za kilka lat, że urzędnicy nie będą ściągać żadnych krzyży, a dowolne symbole religijne będą mogły nadal stać na biurkach.

Sztabowcy Trzaskowskiego uspokajają, że temat grzeje obecnie 20 proc. twardego elektoratu PiS. Ale zapewne nie biorą pod uwagę umiejętno-

• **Rafał Trzaskowski sprawdza ceny w Hali Mirowskiej. Warszawa, 4 grudnia 2024r.**
FOT. ROBERT KOWALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

ści „chłopców od Ziobry”, którzy do maja podkreślają ten temat.

Z WARSZAWY NA WSCHÓD I POŁUDNIE

I trzeci element kampanii, czyli Polska powiatowa. Kandydat KO odwiedza już teraz małe miejscowości, konwencję inaugurującą kampanię organizuje na Górnym Śląsku, a w pierwszych tygodniach nowego roku chce objechać ścianę wschodnią i południe kraju.

To może być naprawdę ciekawa kampania i bodajże pierwsza w historii III RP, w której dosłownie wszyscy kandydaci na najwyższy urząd będą bić się świadomie o elektorat w byłych miastach wojewódzkich, powiatach i małych miejscowościach.

Z jednej strony dla Trzaskowskiego przekonanie do siebie beneficjentów rządów PiS może być szalenie trudne, z drugiej jednak – cała Koalicja 15 października udowodniła, że jest w stanie łowić dosłownie we wszystkich grupach demograficznych i geograficznych. Trzaskowski wie, że musi budować szerokie poparcie, które pozwoli mu zdobyć ponad 50 proc. w drugiej turze.

KAROL NAWROCKI: DLA KAŻDEGO COŚ MIŁEGO

W zupełnie innej sytuacji znajduje się Karol Nawrocki, który dopiero buduje rozpoznawalność. W jego kampanię są mocno zaangażowani ziobryści, czyli posłowie Suwerennej Polski, którzy dołączyli ostatnio do PiS. I chcą udowodnić, że tylko ostra polaryzacja, ataki personalne, manipulowanie faktami, zdecydowany język podkreślający alt-prawicową agendę polityczną ma przyszłość.

Nawrocki jest wygodnym kandydatem, ponieważ może wybierać spośród kilku koncepcji uprawiania

polityki. Szef Instytutu Pamięci Narodowej może pójść drogą Przemysława Czarnka i stać się polskim Donaldem Trumpem. Jeśli jednak w trakcie kampanii okaże się, że atrakcyjniejsze jest łagodne oblicze kandydata, wówczas przejmie wszystkie cechy eleganckiego Tobiasza Bocheńskiego.

Możliwa jest też hybryda tych dwóch form. Na antenie TV Republika Nawrocki może się kreować na krytyka „ideologii LGBT” i obrońcę życia nienarodzonego, a na wiecach wyborczych jako „kandydat wszystkich Polaków, którym zależy na narodowej zgodzie”. Ten model przetestował Andrzej Duda w 2020 roku, kiedy osoby nieheteronormatywne nazwał „ideologią”, a jednocześnie czarował wyborców w Polsce powiatowej.

Wiele osób zastanawia się, czy Nawrockiemu mogą zaszkodzić informacje opublikowane w wewnętrznym raporcie sporządzonym na zlecenie Nowogrodzkiej, z którego jasno wynika, że kandydat miał liczne związki z półświatkiem.

Raczej nie mogą. Bo moi rozmówcy z KO zwracają uwagę, że ujawnienie raportu nie było żadną wpadką w kampanijnej robocie, ale kontrolowanym przeciekiem z PiS. Sztabowcy Nawrockiego chcieli rozbroić tę bombę na samym początku wyścigu do Pałacu Prezydenckiego. I to się udało: po świętach nikt nie będzie pamiętał zdjęcia z jakimś tam „Wielkim Bu”. A ci, którzy je zapamiętają, to raczej z podziwu, niż z niesmaku.

Bo trzeba też wziąć pod uwagę wpływ tych informacji na młodych mężczyzn, zwłaszcza z klasy niższej średniej i klas ludowych (to nie epitet, ale kategoria socjologiczna), którym może imponować charakter i droga życiowa Karola Nawrockiego – młodego boksera i ochroniarza „biegającego po mieście” – jak niegdyś mawiało się „na dzielni” – który został doktorem nauk historycznych.

O ile w ustach Radosława Sikorskiego słowa o „zwykłym chłopaku z blokowiska” – choć przecież szef MSZ z szarej perelowskiej Bydgoszczy zawędrował do Oksfordu, a stamtąd na anglosaskie salony – brzmiały sztucznie, o tyle w przypadku prezesa IPN wypadają autentyczne i wiarygodne.

OD LIBERALNYCH MEDIÓW WOLI SIŁOWNIĘ

Początek prekampanii Nawrockiego nie należał do udanych: fatalne wystąpienie w Krakowie, przemówienie czytane z kartki, odpowiadanie na wiecach na wcześniej ustawione pytania, informacje o związkach ze światkiem przestępczym. I omijanie dziennikarzy – bo gdy zapytałem innych dziennikarzy politycznych, dlaczego nie zaprosili do tej pory Nawrockiego do swoich programów w telewizji czy radio, usłyszałem: „on odmawia wywiadów”. Zgadza się jedynie na rozmowy w prawicowych mediach.

Nawrocki jednak szybko się uczy. Jego sztab był w stanie zapelnąć wszystkie miejsca na spotkaniu w teatrze w Głogowie, ludzie siedzieli nawet na scenie. Prezes IPN był w piekarni, szpitalu powiatowym w Żywcu, na dworcu we Włoszczowie, uprawiał jogging w Łazienkach Królewskich, dał się sfotografować „Faktowi” w trakcie wizyty u krawca, u którego mie-

**Młodym mężczyznom
zwłaszcza z klasy niższej
średniej i klas ludowych może
imponować charakter i droga
życiowa Karola Nawrockiego
– młodego boksera
i ochroniarza, który został
doktorem nauk historycznych**

rzył nowe garnitury, wziął udział w homofobicznej manifestacji w Warszawie. No i rzecz jasna wrzuca filmiki z siłowni.

Wyraźnie więc widać, że Karol Nawrocki jest elastyczny, potrafi dostosować się do wielu kontekstów i tak naprawdę nikt nie wie, co myśli o aborcji, związkach partnerskich, jakie ma pomysły na zabicie inflacji, czy i jaką posiada wiedzę o kwestiach międzynarodowych, militarnych i gospodarczych. Nie wiemy, czy popiera starania Ukrainy o wejście do Unii Europejskiej i NATO, jak postrzega udział Polski w tych dwóch sojuszach, czy uważa, że po 2015 roku zniszczono wymiar sprawiedliwości.

A JEŚLI MASŁO BĘDZIE DROŻAŁO

I tu kłania się sprawa na razie niezbyt roztrąsana, a przecież najważniejsza: o czym będzie ta kampania?

Sztabowcy zdają sobie sprawę, że najbardziej elektryzującym tematem, który pojawia się w bieżących rozmowach niemal wszystkich Polaków, jest drożyzna. Inflacji nie da się zdusić w ciągu kilku miesięcy, masło nadal będzie drożało, Boże Narodzenie, Wielkanoc i majówka mogą należeć do najdroższych w historii. Trzaskowskiem będzie trudno odpowiadać na pytania o gospodarkę, skoro cała wina za ceny w sklepach spada na ekipę rządzącą.

Ale jeśli najważniejszym tematem stanie się bezpieczeństwo, wówczas lepsze karty będzie miał Trzaskowski, za którym będzie stał rząd „murem za mundurem” oraz Tusk budujący Tarczę Wschód.

W obu sztabach w tym kontekście słychać też nazwisko Donalda Trumpa, który ma podobno pojawić się w pierwszej połowie roku w Polsce. Prezydent elekt obiecuje zakończyć wojnę w Ukrainie w kilka dni po zaprzysiężeniu, co jest wątpliwą perspektywą, ale każda próba zawarcia pokoju ponad głowami państw Europy Wschodniej skieruje oczy polskiej opinii publicznej właśnie w stronę bezpieczeństwa.

Na Nowogrodzkiej liczą, że prezydent USA poprze Nawrockiego, ale sztabowcy Trzaskowskiego mają świetne kontakty z Republikanami, czego dowodem było niedawne spotkanie prezydenta Warszawy z wysłannikami Trumpa. Może się więc okazać, że ów przyleci do Polski dopiero w czerwcu.

A koniec końców i tak każdy zwyczajny wyborca zada sobie pytanie: którego z kandydatów widziałbym jako zięcia, komu mógłbym pożyczyć 100 złotych i z kim mógłbym pójść w tango. ●

Obywatelskość

Jeśli doktor Nawrocki przedstawia się – i jest nam przedstawiany – jako „kandydat obywatelski”, jest to nie tyle próba zawłaszczenia przymiotnika kojarzącego się z partią rządzącą, ile próba powrotu do czasów, gdy „obywatelski” oznaczało „antyrządow”.



Michał Rusinek

Doktor Karol Nawrocki został „kandydatem obywatelskim na prezydenta RP, popieranym przez Prawo i Sprawiedliwość”. „Obywatelski” pozornie ma tylko przypominać, że doktor Nawrocki nie jest kandydatem partyjnym, ale przy okazji przymiotnik ten pełni kilka funkcji dodatkowych i pokazuje pewną prawdę o kandydacie.

Rzeczownik „obywatel” pojawił się w języku polskim w XVI wieku i oznaczał albo członka społeczeństwa danego państwa, albo stałego mieszkańca jakiegoś terenu, zwykle posiadającego nieruchomość w jakiejś miejscowości. Wyraz ten stanowi zapożyczenie z języka czeskiego („obyvatel” to mieszkaniec – od „obyvat”, czyli mieszkać). Pojęcie to istniało jednak o wiele wcześniej, bo nawet u Arystotelesa, który uważał obywatelskość za cechę odróżniającą człowieka od innych stworzeń. Pojawia się ono także u nowożytnych filozofów od Hobbessa, Locke’a, Rousseau, po Hegla, de Tocquevilla i – za przeproszeniem – Marksa.

W XVII i XVIII wieku powstała koncepcja społeczeństwa obywatelskiego, zwanego czasami cywilnym, przeciwstawiona stanowi natury i oparta na umowie społecznej. Dla Hegla było ono jednym z elementów struktury społecznej – obok wspólnoty narodowej i państwa. W XX wieku ruchami „obywatelskimi” zaczyna się nazywać wszystkie formy samoorganizacji lokalnej i oddolnej, nieograniczonej naciskami władzy państwowej. „Obywatelski” oznacza więc tyle, co funkcjonujący poza strukturami państwa, czasami wspólnie z nimi, a czasami przeciwko nim.

Określenie „obywatel” w peerelowskiej terminologii było formą zwracania się do mężczyzny, która zastępowała formę „pan” („towarzyszu” zwracano się do członków partii): „Jak się miewa wasz syn, obywatelu Rowiński?” – można było usłyszeć w serialu „Szaleństwo Majki Skowron”. Ale i na ulicy. Termin „społeczeństwo obywatelskie” wprowadził natomiast do języka polskiego bezimienny tłumacz przekładu „Manifestu komunistycznego” Marksa i Engelsa z 1949 roku. Poczucie obywatelskości miało doprowadzić do sprzeciwienia się burżuazyjnemu państwu, społeczeństwo obywatelskie miało więc być ważnym elementem państwa komunistycznego.

Dość szybko jednak okazało się pustym znaczeniowo hasłem: społeczeństwo musiało być przecież podporządkowane państwu, więc zarazem musia-

ło zostać pozbawione obywatelskości, Milicja Obywatelska bynajmniej obywatelska nie była. W 1989 roku pojęcie to zaczęło coraz częściej oznaczać opozycję (Bronisław Geremek pisał, że mówiąc o opozycji ma na myśli społeczeństwo obywatelskie), a strona rządowa mówiła drwiąco o przedstawicielach opozycji jako „jego ekscelencja, społeczeństwo obywatelskie”.

Bywało też inaczej: w czasie obrad okrągłego stołu przedstawiciel strony rządowej prof. Janusz Reykowski tłumaczył, że należy odejść od systemu monocentrycznego i „stworzyć warunki rozwoju samoorganizującego się społeczeństwa obywatelskiego”.

Od 1990 roku obywatelskość jest pojmowana jako forma demokracji, znajdująca wyraz w rozwoju samorządności i trzeciego sektora. Publicyści ubolewają na przykład, że niewielka frekwencja w wyborach samorządowych jest oznaką, że nie jesteśmy jeszcze dojrzałym społeczeństwem obywatelskim, w przeciwieństwie do wielu europejskich demokracji.

Adam Hanuszkiewicz powiedział kiedyś, że patriotyzm jest funkcją niewoli; powstaje i rozwija się wobec zagrożenia państwowości. Ale w momencie, kiedy mamy wolny kraj – patriotyzm traci sens, a na jego miejscu powinna się pojawić obywatelskość, czyli współodpowiedzialność za przestępstwa, którą zajmujemy. Żeby zrozumieć współodpowiedzialność, nie musimy jej niczemu przeciwstawiać. Jest to możliwe wtedy, kiedy będziemy myśleli o sobie raczej w kategoriach społeczeństwa niż narodu.

Można zatem powiedzieć, że przymiotnik „obywatelski” funkcjonuje w naszym języku albo w opozycji do państwa (jeśli jest to państwo opresyjne), albo w odniesieniu do sfery aktywności społecznej, nakierowanej na dobro wspólnoty – uzupełniającej funkcje państwa i stanowiącej ważną, a może nawet najważniejszą część składową demokracji. Tak należy zapewne rozumieć przymiotnik ten w nazwie Platformy Obywatelskiej czy Koalicji Obywatelskiej.

Jeśli natomiast doktor Nawrocki przedstawia się – i jest nam przedstawiany – jako „kandydat obywatelski”, jest to nie tyle próba zawłaszczenia przymiotnika kojarzącego się z partią rządzącą, ile próba powrotu do czasów, gdy „obywatelski” oznaczało „antyrządowy” (Platforma Obywatelska przestała już być obywatelska, skoro rządzi).

To nie tylko powrót do czasów komunizmu, ale i czasów zaborów, kiedy to samoorganizacja społeczna nakierowana była przeciwko wrogiemu wobec niej państwu, a nie na współdziałanie (rozumiane także jako patrzenie państwu na ręce; przypomnijmy, że kiedyś np. ruch Obywatele Kultury krytykował Platformę Obywatelską za to, że zapomnia o obywatelskości).

Nie dajemy się zwieść: obywatelskość doktora Nawrockiego nie oznacza jego niezależności, apolityczności i zniesienia podziałów. Oznacza za to, że podziały będzie wyłącznie pogłębiał, a także będzie walczył z rządem, który uważa za wrogi oraz z demokratyczną obywatelskością, rozumianą jako współdziałanie dla wspólnego dobra. Ważniejszy jest dla niego naród (a nawet Wielka Polska) niż społeczeństwo. Tym bardziej to obywatelskie. ●

magazyn wyborczej

WOLNA SOBOTA

REDAKCJA:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00;
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl

REDAKTOR NACZELNY:
Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA,
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski;

ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieliński;
MAGAZYN KULTURA: Agata Żelazowska-Cieśla
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Włoczko, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Igor Rakowski-Kłos, Grażyna Zablińska
GRAFICY: Paweł Kapusta, Jacek Konarski, Tomasz Lebiada, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski
FOTOEDYCJA: Rafał Szczepankowski
WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11

DRUK: Wyborcza sp. z o.o.
PREZES ZARZĄDU: Wojciech Bartkowiak
CZŁONKOWIE ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan, Joanna Kwas
Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

Czasem prawo powinno działać wstecz

Proces, który zmienił nasze obyczaje, kulturę, sztukę i normy, od początku był upolityczniony i łamał procedury



Marcin Matczak

Tydzień temu zaproponowałem Państwu ranking dziesięciu spraw sądowych, które wpłynęły na historię świata. Były wśród nich procesy czarownic z Salem, które udowodniły, że jeśli się bardzo wierzy w czyjąś winę, dowody nie mają żadnego znaczenia. Był proces Galileusza obrazujący, że nauka i religia wchodziły w bardzo złożone relacje – nie tylko te, gdzie zabobon zamykał usta naukowcom, choć tak przedstawiano tę sprawę od czasów Oświecenia. Zmieszczał się w pierwszej części stawki także spór Bush vs. Gore, który udowodnił, że czasami wybieranego przez naród prezydenta może wybrać niewybierany demokratycznie sąd. Dzisiaj finał tego subiektywnego zestawienia.

• **Na miejscu 5. proces Sokratesa**, a więc zderzenie indywidualności geniusza z wrogością tłumu, który nigdy nie lubił niewygodnych pytań. Sokrates, ten „bąk z ręki boga puszczoney”, jak pisał o nim nieco ryzykownie Platon, tak długo gryzł w tyłek ospałe cielsko wołu, jakim jest społeczeństwo, aż oberwał ogonem.

Ten proces wrył się w historię, bo zabił człowieka wielkiego i niewinnego, który dodatkowo mógł z łatwością śmierci unikać. Jak jednak sam mówił, nie jest trudne uniknięcie śmierci – dużo trudniej uniknąć nikczemności. I choć w tej katastrofie sądowej nie ucierpiał żaden Polak, to Polak – Zbigniew Herbert – najpiękniej jest ostatni etap opisał w „Jaskini filozofów”.

• **Miejsce 4. – proces Marii Antoniny**, żony Ludwika XVI, oskarżonej w 1793 roku

o zdradę, spisek przeciwko państwu oraz rozrzutność. Zadziwiające jest, jak wiele procesów na naszej liście to sądowe farsy – wyrok był znany, zanim proces się rozpoczął. Ale ten proces pokazał także prawdziwe oblicze rewolucji, która zawsze kończy się terrorem. Było to widać najbardziej, gdy wychudzoną i osiwiłą Marię w białej koszuli wprowadzano na szafot, a ta, nadepnawszy na stopę kata, przeprosiła za swą nieostrożność człowieka, który za moment miał odciąć jej głowę.

To także proces, w którym jasno dyskryminowano kobiety – choć jej mąż także stracił głowę, miał o wiele więcej czasu na przygotowanie swojej obrony. Jak widać, nie tylko braterstwo i wolność nie były Marii Antoninie dane. Rewolucja pozabawiła ją także równości.

zane gorsze perspektywy życiowe dzieci czarnych.

Brown to symbol szukania równości opartej na faktach i sprawa, dzięki której USA po 50 latach od jej rozstrzygnięcia mogła mieć pierwszego niebiałego prezydenta.

• **Na miejscu drugim** naszego rankingu meldują się **procesy norymberskie** – dowód na to, że da się osądzić niewyobrażalne. Najważniejszy z tych procesów, w którym osądzono grupę czołowych nazistów, w tym Hermanna Goeringa, był absolutnie precedensowy. Po doświadczeniach I wojny światowej, po której zbrodniarzy nie udało się osądzić, długo się wahano, czy odpowiednia dla nazistów jest sala sądowa, czy raczej kulka w łeb. An-

Choć jej mąż także stracił głowę, miał o wiele więcej czasu na przygotowanie obrony.

W procesie Marii Antoniny jasno dyskryminowano kobiety

• **Na 3. miejscu** ląduje za to sprawa, w której o równość walczono i w której ją wywalczono. W roku 1954 Sąd Najwyższy USA uznał jednogłośnie (!), że segregacja rasowa oparta na zasadzie „oddzielnie, ale równo” jest niezgodna z konstytucyjną zasadą równego traktowania. **Sprawa Brown vs. Board of Education** była efektem wieloletnich starań prawników, aby wykazać, że to, co na papierze jest takie samo (szkoły dla dzieci białych i czarnych), w praktyce daje zupełnie inne rezultaty. W prawie liczy się twarda rzeczywistość, nie piękna teoria – nie naiwne przekonania prawodawców, ale empirycznie wyka-

glicy chcieli ich po prostu rozstrzelać, ale kultura prawna Amerykanów wzięła ostatecznie górę. Naziści dostali proces i prawo do obrony.

Aby to umożliwić, trzeba było stworzyć i trybunał, i jego procedurę, a nawet prawo definiujące takie przestępstwa jak zbrodnie przeciwko ludzkości. W Norymberdze więc prawo w sensie ścisłym zadziałało wstecz – po prostu wstrząs moralny, który nastąpił po ujawnieniu nazistowskiego ludobójstwa, przełamał formalizm prawa.

Procesy w Norymberdze miały też smutne, polskie motywy – jednym z podsądnych był „rzeźnik Polski”, Hans Frank,

polskim prokuratorom odmówiono jednak udziału w oskarżeniu, uznając, że zbrodnie dotyczące poszczególnych krajów powinny być sądzone na ich terenie. Ponadto Rosjanie w ostatniej chwili wrzucili do aktu oskarżenia zbrodnię katyńską, chcąc przenieść odpowiedzialność na Niemców. Prokuratorzy pozostałych państw alianckich nie chcieli tego punktu popierać.

• **I wreszcie miejsce pierwsze.** Sprawą sądową, która odcisnęła najsilniejsze piętno na historii świata, był **proces Jezusa**. Dał on przecież początek największej religii monoteistycznej świata wyznawanej przez ponad 2,5 mld ludzi, a religia ta miała przez ostatnie 2 tys. lat przemożny wpływ także na niewierzących – na sztukę, literaturę czy wszelkiego rodzaju normy, które przeniknęły do naszego moralnego DNA.

Proces Jezusa był częściowo religijny, częściowo świecki czy – jak dzisiaj byśmy powiedzieli – polityczny. Jako proces religijny dotyczył bluźnierstwa (Jezus nazwał się Synem Bożym) i jako taki od początku łamał procedury. Zaczął się w nocy, a sądy żydowskie nie mogły orzekać po zmroku. Potem zarzuty zmieniono na „mieszanie się do polityki” i ta część procesu, która toczyła się przed Pilatem, była świecka. Jezus otrzymał także świecką karę: ukrzyżowanie było rzymską karą dla przestępców politycznych.

Jak wiele procesów w naszym rankingu, proces Jezusa był farsą – łamanie procedur, brak obrony, presja społeczna, zależność sędziów od politycznych nacisków. Ale jego wymowa, być może dzięki całej tej niesprawiedliwości, była tym silniejsza: niewinnego skazano na niewyobrażalnie okrutną śmierć. Dla wielu z nas to po prostu opowieść czy nawet bajka. Trzeba jednak przyznać, że rzadko kiedy opowieść ma tak wielką moc zmieniania świata.

Jakie wnioski płyną z tego rankingu? Chyba jeden – nie te procesy, które się wygrywa, okazują się ostatecznie najważniejsze. Czasami klęska sądowa, jak w przypadku czarownic z Salem, Galileusza, Sokratesa czy Jezusa, okazują się po latach triumfem. Bo oliwa zawsze sprawiedliwa i na wierzch wypływa. ●

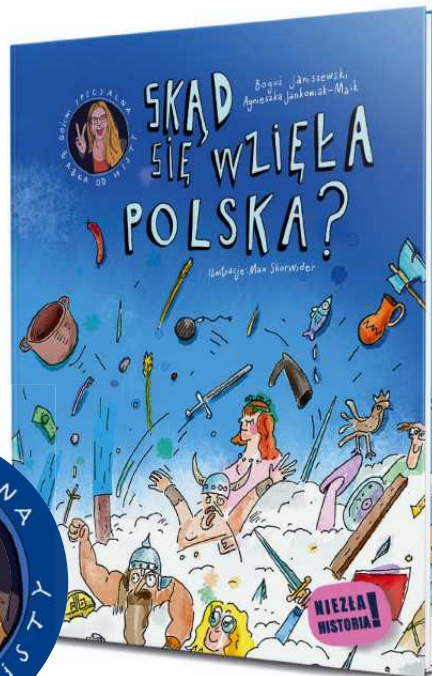
REKLAMA

Kraj/34337870



HISTORIA POLSKI OPOWIEDZIANA NA NOWO

DOWCIPNIE WSPÓŁCZEŚNIE I Z PAZUREM!



CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL
WOLISZ EBOOKI/ AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA **publio.pl**

**Wydawnictwo
Agora**
dla dzieci

CZARNEK JESZCZE SIĘ NIE PODDAŁ?



• Karol Nawrocki z sympatykami w Raciborzu, 27 grudnia 2024 r. FO FOT. MARCIN LESZCZYŃSKI

Kto to położył Kaczyńskiemu na biurku?

W PiS trwają poszukiwania autora raportu o Karolu Nawrockim.

Dominika Wielowieyska

Lamieszanie wokół raportu na temat prezesa IPN Karola Nawrockiego pokazuje spore napięcia w relacjach PiS – Konfederacja, a także we wnętrzu samego PiS-u. Trwa poszukiwanie autora dokumentu. Kto i jaką grę prowadzi?

Dokument ma 72 strony. Tytuł: „Karol Nawrocki i jego środowisko. Analiza zagrożeń wizerunkowych w kontekście ewentualnego startu prezesa IPN w wyborach prezydenckich 2025”. O raporcie, który otrzymali politycy PiS, plotki krążyły już od jakiegoś czasu. Wylądował na biurku Jarosława Kaczyńskiego ponad miesiąc temu, ale nie zrobił na nim wrażenia.

W zeszłym weekend Onet pokazał fragmenty raportu, pod którym nikt się nie podpisał. Autor wskazuje, że Nawrocki pozostaje w bliskich kontaktach ze środowiskiem gangsterów, sutenerów i neonazistów, ponadto – wbrew temu, co mówi – doskonale wie o ich kryminalnej przeszłości i poglądach. Przedstawia konkretne zdjęcia, interakcje w mediach społecznościowych. Opisuje szczegółowo to środowisko i jego

dokonania. Wskazuje, że Nawrocki, udostępniając neonazistom przestrzeń historyczną, np. teren Westerplatte, naraża się na fatalny wizerunkowo zarzut, że pozwolił wykorzystać schorowanych weteranów do uwiarygodniania podejrzanych środowisk.

„Wyborcza” opublikowała raport w całości. A sam kandydat na prezydenta w zasadzie nie zakwestionował żadnego faktu, który tam przedstawiono. Nowogrodzka przyjęła narrację, że Nawrocki został jako szef IPN sprawdzony przez ABW, otrzymał dostęp do informacji niejawnych i nikt tych uprawnień mu nie cofnął, więc nie ma problemu. Na takim stanowisku powszechnie stoją politycy PiS, gdy muszą odpowiadać na pytania dotyczące raportu.

Prawdziwa bitwa rozpoczęła się nieco później niż przeciek – wtedy, gdy w obozach PiS i Konfederacji pojawiły się wzajemne oskarżenia dotyczące kluczowej kwestii: kto raport napisał, kto rozsyłał go posłom PiS. I dlaczego właśnie teraz dostał się w ręce dziennikarzy. Podejrzliwość w PiS jest spora, ponieważ niektórzy działacze są oskarżani o to, że próbują zaszkodzić Nawrockiemu. Liczą, że w lutym Nowogrodzka zmieni zdanie, wycofa prezesa IPN z powodu jego niskich notowań i wskaże nowego kandydata.

Politycy PiS gwałtownie zaprzeczają, że taki scenariusz jest możliwy, ale tak naprawdę nikt nie wie, co Kaczyński planuje. A lista chętnych na zostanie kandydatem była i jest długa. Raport powstał, gdy Nowogrodzka nie podjęła jeszcze decyzji i był swego rodzaju presją na prezesa, by Nawrockiego odrzucił.

Przypomnijmy, że na liście byli: były szef MEN Przemysław Czarnek, były pre-

mier Mateusz Morawiecki, szef klubu PiS i eks-minister obrony Mariusz Błaszczak. Wymieniano także niedoszłego prezydenta Warszawy Tobiasza Bocheńskiego, byłego wojewodę i nowego szefa szczecińskich struktur Zbigniewa Boguckiego, eks-wice-ministra spraw zagranicznych i byłego szefa prezydenckiego Biura Polityki Międzynarodowej Marcina Przydacza oraz kandydata na prezydenta Gdańska Kacpra Płażyńskiego. W grze byli ponoć nawet ekscentryczny harcownik Dominik Tarczyński i stylizujący się naraz na swojaką z blokowiska oraz wiceszeryfa u boku Ziobry Patryk Jaki.

Po krótkiej kwerendzie otrzymałam trzy hipotezy oraz potwierdzenia, kim jest autor/autorzy i jaka idea przyświecała im przy pisaniu analizy.

Dwie pierwsze po moich rozmowach szybko ujrzały światło dzienne. Zaczęło się od wpisu Marcina Kędryny, byłego piarowca Andrzeja Dudy, który później pracował w orlenowskim koncernie mediowym Polska Press: „Chodzę sobie po Warszawie i już w drugim miejscu słyszę, że słynny »raport« autorstwa jest posła Konfederacji i byłego dziennikarza »Newsweeka«. No i że PiS ani za ten »raport« zapłacił, ani zamawiał”. Następnie Cezary Gmyz z tygodnika „Do Rzeczy” podaje nazwisko Michała Krzymowskiego i uważanego za szarą eminencję w Konfederacji Przemysława Wiplera, którzy niegdyś prowadzili wspólnie firmę lobbingsową Five Rand (Krzymowski został w branży lobbingsowej).

Posel Wipler od razu odpowiada: „A ja już w drugim miejscu słyszę, że lubi Pan małych chłopców... Tak się Pan chce bawić? Przeprosi Pan za pomówienia i szerzenie

oszczerstw?”. Jednak sprawa nie cichnie. John Bingham, internauta związany z PiS i ze służbami specjalnymi, słynący z lustrowania różnych postaci publicznych, groźnie zaczyna: „Panie Wipler, nie lubię niedomówień. To Pan wymyślił razem z Krzymowskim ten stek g...wna nazywany raportem i przekazał go zaprzyjaźnionym mediom?”.

Wipler odpowiada: „NIE. Ktoś (chyba wiem kto i dorwę go też za to, ma na imię Adam i jest zawodowym kłamcą:-)) kłamie także w tej sprawie. Dostałem ten »raport« od kolegi posła z naszego klubu, gdy »raport« miało już pół miasta. Nie miałem go nawet czasu ani specjalnej potrzeby przeczytać. Tym bardziej weryfikować, czy dane i informacje w tym »raporcie« są prawdziwe”. Potem dodaje: „Niektórzy potrafią tylko plotkować i pomawiać. W »raporcie« (...) są oczywiście nieprawdy i błędy, które wskazują na robotę amatorów, na które nigdy bym sobie nie pozwolił. Gdy zapytałem o to, kto to robił, to usłyszałem z kilku źródeł, że konkretny poseł PiS z Pomorza. Ale on może być również bezpodstawnie pomawiany, więc absolutnie nie powtórzę nazwiska”.

Internauci nie odpuszczają: „Czyżby pan Kacper? Bo chyba nie jest tajemnicą, że mu nie po drodze z Nawrockim”. To fakt, Kacper Płażyński nie przepada za Nawrockim – wszyscy to w PiS wiedzą. Sugestia Wiplera jest więc oczywista. Zapytałam posła Płażyńskiego, jak odnosi się do tych plotek. „Przed chwilą rozmawiałem z posłem Wiplerem, który kategorycznie zaprzeczył, aby gdziekolwiek o mnie mówił lub pisał w kontekście »raportu«. Nie mam nic wspólnego z tym dokumentem. Kto takie bzdury rozpowiada, z każdym, kto powie coś takiego publicznie, spotkamy się w sądzie” – odpisał. Fakt, Wipler nie wymienił nazwiska, niby dystansuje się od tych in-

formacji, ale hasło „poseł PiS z Pomorza” wrzucił w przestrzeń publiczną. Niemniej Płażyński nie jest autorem tego dokumentu, bo raport został napisany przez tandem PR-owiec/były dziennikarz śledczy.

Najprawdopodobniej autorzy raportu są tak spanikowani, że mnożą plotki, by odsunąć od siebie podejrzenia. Stąd tyle domysłów.

Gdy Wipler wymienia „Adama”, ma zapewne na myśli europosła PiS Adama Bielana, z którym jest na wojnie. Konfederata wytoczył nawet proces byłemu bliskiemu koledze. To Bielan obciąża winą za plotki wskazujące Five Rand. Bielan publicznie nie wdaje się w tę dyskusję. On sam jest poza podejrzeniem, bo był zwolennikiem kandydatury Nawrockiego. Namawiał Kaczyńskiego na ten wariant, wskazując, że w obecnych warunkach politycznych – ciężącego bagażu ośmiu lat władzy, kolejnych ujawnianych afer oraz sprawności KO w przechwytywaniu tematów prawicy – tylko osoba spoza struktur partyjnych PiS ma szansę na przyzwoity wynik. Choćby dlatego, że nie będzie można jej atakować za błędy i nieudolność rządu Mateusza Morawieckiego.

A oto co wynika z moich rozmów z ludźmi z obozu PiS w związku z raportem. Argument zwolenników tezy, że to Wipler i Krzymowski stworzyli raport: „Wipler wyszedł z założenia, że jeśli PiS wystawi Nawrockiego, to zaszkodzi to jego protegowanemu Sławomirowi Mentzenowi. Nawrocki bowiem ma dobre relacje ze środowiskami nacjonalistycznymi, kibicowskimi, które żeglują w stronę neonazizmu. A przecież jest to także zaplecze Konfederacji. Przy Nawrockim Mentzen mógłby zyskać gorszy wynik”. – Z punktu widzenia Wiplera lepiej, aby PiS był reprezentowany w wyborach prezydenckich przez Czarnka – ciągną moi rozmówcy – ponieważ on jest przez elektorat Konfy nielubiany, gdyż jest uważany za etatystę. Tak wyszło w badaniach PiS. I wtedy Mentzen mógłby lepiej wypaść w wyborach. Raport miał więc przekonać Kaczyńskiego, by nie stawiał na szefa IPN, bo niesie to ze sobą wiele zagrożeń.

Faktycznie Konfederacja wydaje się zmartwiona kandydaturą Nawrockiego. W TOK FM drugi lider tej formacji, Krzysztof Bosak, na pytanie o dobre relacje Nawrockiego ze środowiskami nacjonalistycznymi bardzo się denerwował.

A co mówią zwolennicy tezy, że to jednak ktoś z wnętrza PiS? „Wiele osób było zainteresowanych wyeliminowaniem Nawrockiego, bo sami chcieli startować. Ale teraz wystraszyli się, że wyjdzie na jaw, kto napisał tę analizę, dlatego trwa próba wyprowadzenia odpowiedzialności za całe przedsięwzięcie poza PiS, a Wipler z Krzymowskim najlepiej się do tego nadają. Jeżeli okazałoby się, że to ktoś od nas, to miałby na Nowogrodzkiej totalnie przechłapanie”.

Istotny jest ton analizy, którą Kaczyński znalazł na biurku: bardzo krytyczny wobec „Wyborczej” autor pochyła się z troską nad Nawrockim i przyznaje, że szef IPN nazistą nie jest, jedynie wskazuje, jakie mogą być możliwości zaatakowania jego kandydatury. Po czym wspomina między innymi, że obecne władze Muzeum II Wojny Światowej mogą mieć informacje o tym, z kim Nawrocki za swojej kadencji dyrektorskiej współpracował, kogo zapraszał do placówki, komu udostępniał przestrzenie do kręcenia teledysków neonazistowskich kapel.

Szczególnie ten fragment zaintrygował dwóch śledczych posłów Koalicji Obywatelskiej, Dariusza Jońskiego i Michała Szczerbę, którzy przez lata spędzone w opozycji wyspecjalizowali się w wyciąganiu PiS brudów spod dywanu. Podczas konferencji prasowej oświadczyli, że przeprowadzą „wielowątkową” kontrolę poselską w sprawie dyrektorskiej przeszłości kandydata. – Żądamy udostępnienia wszelkich umów i zgód, których udzielał Karol Nawrocki,

dotyczących wstępu na teren muzeum i na teren Westerplatte – podkreślili. Władze PiS dosyć desperacko, aby przekierować uwagę w inną stronę, zapowiedziały pozwanie Jońskiego i Szczerby do sądu. Choć nie wiadomo za co. Raport nie jest napisany przez KO. Był skierowany do PiS i pisany z pozycji zatroskanego analityka. Jest tam sporo krytyki „Wyborczej”, która już wcześniej ujawniała wątpliwe znajomości Nawrockiego.

Fani PiS postanowili atakować Onet i „Wyborczą” za ujawnienie raportu. Ale każdy rozsądny człowiek raczej puknie się w głowę, że to nie wina niezależnych mediów, że taki dokument powstał.

Sam Karol Nawrocki mówił w poniedziałek na konferencji prasowej w Chelmie: „W tym dokumencie są osoby, których nigdy w życiu nie widziałem. To połączenie prawd, półprawd i zupełnych kłamstw. Próba ekstrapolacji moich zadań zawodowych czy pojedynczych i bardzo nieregularnych w ciągu wielu lat spotkań, na obraz człowieka, którym jestem, jest rzeczą niegodziwą, jest głęboką manipulacją”. I dodawał: „Niezależnie od tego, kogo na swojej drodze spotykałem, niezależnie w jakiej konwen-

wrocki podkreśla, że zna ich i wierzy w ich resocjalizację, bo też w niej brał udział. I właśnie z tego kierunku nadeszła pomoc. Szymon Jadczaek z wp.pl zauważył kąśliwie na platformie X, że przecież nie kto inny, ale właśnie „Wyborcza” opublikowała w 2002 r. bardzo ciekawy tekst na temat Grzegorza H.

Magdalena Grzebałkowska przedstawiła jego sylwetkę, wskazując na rozmaite dylematy. Nie ulega wątpliwości, że „Śledziu” ma nazistowskie tatuaże. Jednak reporterką „Dużego Formatu” pokazała drugą stronę działań Grzegorza. Okazuje się, że urząd prezydenta Sopotu Jacka Karnowskiego próbował wciągnąć go w działania resocjalizacyjne. „Na początku wzbudzał we mnie przerażenie. Okazało się jednak, że jest słowny, inteligentny. Gdyby wyrastał w innym środowisku, zrobiłby karierę” – mówi w tekście Karnowski. – Władze miasta oddały nam nieużywany teren na obrzeżach miasta – opowiada Śledziu. – Będą tam dwa boiska treningowe i jedno do gry. Będzie nimi zarządzała rada stowarzyszeń czterech drużyn naszego miasta: Sopockiego Potoku Kamionka, Samsona, Torpedo i Przeciagu. Skończymy w sierpniu. Część prac wykona-

„Ciekawe co te twnowskie i platfusowskie świny powiedzą jak opublikuję zdjęcia z Jackiem Karnowskim i Donaldem Tuskiem. Z tym pierwszym wypilem w SPATiFie trochę wody, z Donkiem wypilem morze piwa”. Znajomy prezesa IPN się zdenerwował

cji, to gwarantuję, że nigdy nikt nie usłyszał ode mnie ani jednego dobrego słowa o niemieckim narodowym socjalizmie. Nawet podczas spotkań z więźniami, którzy mieli taką skłonność. To była regularna praca resocjalizacyjna i budowanie świadomości o tym, czym był w istocie niemiecki nazizm, jak wiele zła zrobił Polsce”.

Ale ta opowieść ma ciąg dalszy. Publikacje „Wyborczej” oraz raport wskazują trzy główne postacie związane ze środowiskiem neonazistów i gangiem sutenerów. To Olgierd L. „Olo, Grzegorz H. „Śledziu” oraz Patryk M. „Wielki Bu”. Raport oczywiście pokazuje całą sieć powiązań tych ludzi, a ona nie pozostawia wątpliwości, jakie to środowisko.

Jednak jeśli chodzi o najgroźniejszą postać z tej trójki, a więc Olgierda L., to kontakty Nawrockiego z nim nie są zbyt- nio udokumentowane.

Wiadomo, że obracali się w tym samym kręgu i mieli wspólnych znajomych. Raport wskazuje ich relacje w mediach społecznościowych, na przykład „lajki” Nawrockiego pod postami „Ola”. Nawrocki zamieścił post opisujący jego interakcję z dziennikarką „Wyborczej”, Olgierd L. (o którym Nawrocki mówił, że „nie znał go w czasach, gdy ten był bokserem Stoczniowca”) napisał pod nim „Ej, Karol dobrze, że ją na końcu zaorałeś, klasa”, Nawrocki to „zalajkował”. Podobnie jak zdjęcie gangu motocyklowego Bad Company z Antonim Macierewiczem. W sieci można znaleźć również serię zdjęć dokumentujących wizyty Bad Company w Muzeum II Wojny Światowej, którego Nawrocki był wówczas dyrektorem.

Natomiast nie ulega wątpliwości, że relacje Nawrockiego z Grzegorzem H. ps. „Śledziu” oraz z „Wielkim Bu” są bliskie. Na-

ją społecznie, część firma opłacona przez miasto. – Nie wierzyłem w nich na początku – mówi Jacek Karnowski, prezydent Sopotu. – Ale jakie miałem wyjście? Pozamykać ich i spokój? Nawet tysiąc nudnych pogadanek o narkotykach i alkoholizmie nie zastąpi godziny na boisku.

– Idziemy za ciosem – dodaje Małgorzata Poblacka z urzędu miasta. – Śledziu pomaga organizować ligę koszykówki i ping-ponga. Zgłosiły się do nas dziewczyny, które ciągnęły za chłopakami z meczu na mecz. Założyły drużynę cheerleaderek, teraz chcą grać w kosza. Widzę, że do ludzi nie dochodzi się pogadankami i plakatami, tylko ze Śledziem.

A więc raz mamy do czynienia z sutenerstwem, handlem narkotykami, brutalnymi starciami kiboli, a chwilę później ci sami ludzie biorą udział w działaniach resocjalizacyjnych lub organizują akcje charytatywne, by ocieplić swój wizerunek. Przykładem ich akcja w pomorskim Rytlu, zniszczonym przez żywioł, gdzie chętnie się fotografowali z premier Beatą Szydło. A potem znów wracają do przestępczej działalności i nigdy nie rezygnują z neonazistowskiej ideologii. Tekst z „Wyborczej” jest sprzed dwudziestu lat, działania resocjalizacyjne wyszły średnio, ale wtedy Karnowski wierzył w ich sens. A to środowisko nadal jest groźne.

„Śledziu” trochę się zdenerwował faktem, że ponownie stał się gwiazdą w politycznym świecie i napisał w mediach społecznościowych: „Kundle wyją i szczerką a panzerwagen jedzie dalej. Ciekawe co te twnowskie i platfusowskie świny powiedzą jak opublikuję zdjęcia z Jackiem Karnowskim i Donaldem Tuskiem. Z tym pierwszym wypilem w SPATiFie trochę wody, z Donkiem wypilem morze piwa. Był jesz-

cze Maciej Płazynski i kilku innych. Ciekawe jakie to będą niebezpieczne związki z Śledzia z platfo bydlakami” (pisownia oryginalna).

Zdjęcia na razie się nie pojawiły. Jeśli chodzi o Tuska, to oczywiście nawiązanie do faktu, że premier jest kibicem Lechii Gdańsk, a więc klubu, którego ultrasami – najzacieklejszymi fanami – są wspomniane grupy neonazistowskie i sutenerskie. Dotychczas te osoby wieszały psy na Tusku, odmawiając mu prawa nazywania siebie kibicem Lechii.

Morawiecki, gdy zobaczył wpis Jadczaeka, intensywnie zaczął go promować, wskazując, że to Platforma miała kontakty ze „Śledziem”. Mimo że – jak widać – „Śledziu” nie ma dobrego mniemania o rządzących i trzyma raczej z Nawrockim. I że w przypadku Karnowskiego widzimy dawną próbę włączenia kryminalistów w działania resocjalizacyjne i sportowe, w przypadku Nawrockiego mamy relację ze środowiskami gangsterskimi i neonazistowskimi i widoczną więź ideową: wielbienie współpracującej z hitlerowcami Brygady Świętokrzyskiej czy bezkrytyczne podejście do historii Żołnierzy Wyklętych.

Nie można zapominać, że Nawrocki usunął z IPN dr Sławomira Poleszaka – z powodu utraty zaufania i krytycznych opinii wybitnego badacza pod adresem władz instytutu, lecz prawdziwym, choć nieoficjalnym powodem był artykuł uczonego, dowodzący, że jeden z gloryfikowanych na prawicy „Wyklętych” zabijał Żydów.

Może się okazać, że nic więcej na temat kontaktów i znajomości kandydata PiS się nie pojawi, a Joński i Szczerba nie znajdą w Muzeum II Wojny Światowej i w IPN rewelacji, które kaliber przebijie dotychczasowe publikacje medialne czy anonimowy raport. Na razie przecież następcy Nawrockiego w MIIWŚ nic nadzwyczajnego nie znalezli. Słyszę, że „Nawrocki jednak się pilnował”. To raczej jego współpracownicy rozprawdzali neonazistów.

Ale to nie znaczy, że przeciwnicy PiS sprawę odpuszczą. Na środowym posiedzeniu Sejmu Jakub Rutnicki z KO wołał wzbudzony: „Cała Polska czyta porażający raport dotyczący związków Karola Nawrockiego. Panie Kaczyński, nie ma się co śmiać. Trzeba stanąć przed izbą i powiedzieć, czy wiecie o powiązaniach Nawrockiego ze światem przestępczym. Rodzi się pytanie, panie Kaczyński, czy może pierwsza decyzja, która byłaby podjęta przez Nawrockiego, to ulaskawienie gangsterów. Wręczam ten raport na ręce Jarosława Kaczyńskiego”. Oburzeni posłowie PiS wnosili okrzyki. W okolicach ław, gdzie siedzi prezes, zaczęli się gromadzić posłowie. A Kaczyński wyglądał na dość zadowolonego z tego zamieszania.

Bo przecież – zapewne kalkuluje – awantura o raport sprawi, że dobrze obstawił i jego wybraniec jeszcze bardziej zyska w elektoracie Konfederacji. ●

ZANUSSI W POWIĘKSZENIU.

„Nie da się go sklasyfikować. To człowiek paradoksów”

W EC1 w Łodzi otwarto wystawę „Krzysztof Zanussi. Zależy, jak się patrzy”, która pozwala zajrzeć za kuliszy życia i twórczości jednego z najwybitniejszych polskich reżyserów.

Czy w jednym spojrzeniu można uchwycić całą złożoność człowieka, zwłaszcza takiego jak Krzysztof Zanussi? – To postać pełna paradoksów. Często przykleja się mu łatki, na przykład konserwatysty, ale jego twórczość jest znacznie bardziej złożona – mówi Michał Dondzik, kurator wystawy „Zależy, jak się patrzy” w EC1. Wystawa odkrywa kuliszy życia i twórczości reżysera. Od zmagania z cenzurą, przez wideo-eseje, aż po możliwość napisania kartki do mistrza.

Zanussi płynie pod prąd. „To wyraz pewnej kultury bycia”

Kim dzisiaj jest Krzysztof Zanussi? – To nestor polskiego kina, jeden z ostatnich wielkich reżyserów kina moralnego niepokoju, jeden z największych twórców obok Polańskiego, Holland, Wajdy czy Kieślowskiego – odpowiada Michał Nowakowski, ekspert w EC1. I dodaje: – Jednak dzisiejszy Zanussi to nie tylko historia – to także człowiek, który świadomie pielęgnuje wartości z rzadka spotykane we współczesnym świecie.

Reżyser nie zwykł podążać za trendami, co widać w jego twórczości i stylu życia. – Zawsze występuje w garniturze – nawet przyjmując gości w domu i zwraca się do nich per pan, per pani. To nie anachronizm, ale świadoma decyzja i wyraz kultury bycia – zauważa Nowakowski

Ta postawa przekłada się również na jego filmy, w których wciąż zadaje pytania o naturę człowieka, moralność i kondycję współczesnego świata.

– Zanussi przypomina, że życie samo w sobie jest wartością – nie tylko w chwilach szczęścia, lecz także wtedy, gdy codzienność przynosi trudności. Bez doświadczenia nieszczęścia nie potrafimy w pełni zrozumieć, czym jest szczęście. Jednocześnie wskazuje na niezwykłą wartość drugiego człowieka. Zachęca, by z ciekawością wsłuchiwać się w innych, traktując spotkanie jako coś istotnego, a nie jedynie przelotny epizod – opowiada ekspert.

„Ciężkie życie artysty? Sam tego chciał!”

Wsluchiwanie się w drugiego człowieka i dostrzeganie wartości w każdym spotkaniu to główny motyw wystawy „Zależy, jak się patrzy”, otwartej 21 listopada w Narodowym Centrum Kultury Filmowej w Łodzi. Podczas wernisażu nie mogło zabraknąć najważniejszego gościa – samego Krzysztofa Zanussiego.



EC1 Łódź. Wystawa „Krzysztof Zanussi. Zależy, jak się patrzy”. Fot. Marta Woźniak

Wieczór upłynął na rozmowach i degustacji. – Spacerowaliśmy między eksponatami, popijając wino i zającąc ciasteczka – wspomina Michał Dondzik. Tymczasem Zanussi spędził kolejne intensywne cztery godziny na spotkaniu z publicznością – podpisywał plakaty, pozował do zdjęć i rozmawiał z gośćmi. – Ciężkie życie artysty? Sam tego chciał! – dodaje Dondzik.

A wszystko zaczęło się od przypadkowego telefonu, rozmowy i spotkania w Laskach. – Od początku mistrz był bardzo otwarty, zgadzając się na moje pomysły i pozwalając na swobodne eksplorowanie swojego archiwum – wspomina Michał Dondzik. Dzięki temu wystawa ukazuje zarówno twórczość, jak i fascynującą osobowość reżysera.

– Jednym z pomysłów było zestawienie jego ikonicznego garnituru z przydziałowym kożuchem z czasów PRL-u, co obrazuje kontrasty Zanussiego. Reżyser wymyka się prostym klasyfikacjom – jest jednocześnie twórcą filmu o papieżu i zwolennikiem wsparcia dla „Kleru” Smarzowskiego. To właśnie te sprzeczności czynią go tak fascynującą postacią – mówi kurator.

Walka o każde słowo z cenzurą

Na samej wystawie znajdziemy wiele eksponatów, które pozwalają zrozumieć paradoksalność Krzysztofa Zanussiego. Reżyser przypomina w swoich filmach o życiu jako wartości samej w sobie, jednocześnie stale konfrontując się z przemianami. – Wyjątkowym elementem wystawy jest maska pośmiertna Zanussiego, którą reżyser sam nazywa swoim „memento mori” – mówi Michał Nowakowski.

Szczególnego smaczku dodają zaprezentowane scenariusze, które odsłaniają walkę o każde słowo – nie tylko w sensie metaforycznym, ale dosłownym, z ołówkami cenzorów PRL. – Prezentujemy rękopisy scenariuszy i notatki, które pozwalają zajrzeć w jego sposób pracy – wyjaśnia Michał Nowakowski. Zestawione z materiałami ukazującymi

ingerencje cenzorskie, opowiadają historię artysty zmagającego się z ograniczeniami epoki.

Z tych starć wychodził jednak zwycięsko, o czym świadczą nagrody reżysera – na wystawie zaprezentowano aż 26 trofeów. – Kiedy je odbieraliśmy, półki w jego domu wciąż były pełne – podkreśla Nowakowski. Świadectwem tego międzynarodowego uznania są przedstawione plakaty filmowe z Francji, Włoch, Argentyny czy Stanów Zjednoczonych.

Intymna strona Krzysztofa Zanussiego

Nagrody i międzynarodowe uznanie to tylko część opowieści ukazanej na wystawie. – Chcieliśmy pokazać także człowieka – podkreśla Michał Nowakowski. Ekspozycja odkrywa bardziej osobiste aspekty życia reżysera: albumy pełne zdjęć, kartki pocztowe z różnych zakątków świata i wisiorki z festiwali. Przedmioty te odsłaniają codzienność reżysera i jego wyjątkowe zaangażowanie w relacje z ludźmi.

Wyjątkową atrakcją wystawy jest możliwość napisania własnej kartki do mistrza. – To wszystko sprawia, że wystawa jest nie tylko hołdem dla jego dorobku, ale także zaproszeniem do dialogu z człowiekiem, który wciąż pozostaje pełen pasji i energii – zauważa Michał Dondzik.

Tę bliskość podkreślają także wideo-eseje Maćka Jurgielewicz, które analizują powracające motywy w filmach Zanussiego, przemijanie i moralne wybory. – Zanussi zawsze pracował z tymi samymi aktorami, obserwując ich przemijanie. Widać to choćby na przykładzie Mai Komorowskiej, która gra w jego filmach od czasów „Za ścianą” aż po „Rewizytę”, gdzie występuje już jako seniorka. Zestawienia te ukazują konsekwencję artystyczną Zanussiego i jego niezwykle przywiązanie do współpracowników – zaznacza Dondzik.

Wystawa „Krzysztof Zanussi. Zależy, jak się patrzy” w Narodowym Centrum Kultury Filmowej w Łodzi potrwa do 2 marca 2025 roku. Dostępna w ramach jednego biletu na wystawę stałą „Kino Polonia” – największą ekspozycję o polskiej kinematografii.

KRZYSZTOF ZANUSSI

Zależy jak
się patrzy

Zależy, jak się patrzy

Linba
Eterduk
Obce ciało
Venice to:
Future Rebel
Serce us
Grane Stojce
Kiermens
Niemien
Person
hor opate
Solidarosc
Solidarnosc
Phenozon
Skarby
Wzrost
Our God's Brother
Dwiskre drowczy
Damski Tytanes
Napisane
prawa Urk wnetany
Nile lplancie sn
Zsac i nannare
Tany dat
Cwan
Kryzstof
Penderecki
Premysl
Provincia
Samolot z Budaperta
Holden
Fapac
Zrodzieja
Dach
Cement
rota Stare
lawy
hna

Canstans
Kontakt
Spirala
Dom kobiet
Cud
mniemany
Barwy
Ochronne
Miłosierdzie
ptatne
Spotkane
Z gory
Dotknac
Duga rozumu
Zptakem Obraz
Rosc darsieja i diu
Zgac i z gac
Witold Lukostawski
Napoleon
porodan
Gonimoloch
Moja Warszawa
Wszystkie
ciase
Paradoksy
Paradigmat
Sinobrod
Rok spokojnego stonice
Niedostepna Imperatyw

EC1 ŁÓDŹ, ul. Targowa 1/3



SZKOŁA dla JAG

Szukałam szkoły, w której zacieka się moją córką i będą rozwijać jej talenty.

Z JOWITĄ MICHAŁSKĄ, ZAŁOŻYCIELKĄ DIGITAL UNIVERSITY ROZMAWIA AGA KOZAK

AGA KOZAK: Twoja książka „Szkoła w czasach AI. Jak przygotować dzieci na wyzwania jutra” narodziła się trochę z osobistego doświadczenia poszukiwania szkoły dla córki.

JOWITA MICHAŁSKA*: Faktycznie, poszukiwanie szkoły średniej dla Jagody przyspieszyło powstanie książki. Wątek osobisty przekulałam w szerszy research. Poszukiwałam dla córki czegoś eksperymentalnego, więc zaczęłam czytać o tym, co się ciekawego dzieje w edukacji na świecie, jak szkoły radzą sobie ze zmieniającym się tak gwałtownie światem.

Czego zatem szukałaś dla swojego dziecka? I czego chciała Jagoda?

– Szukałyśmy obie takiej placówki, która rozumie, że szkoła nie jest miejscem, do którego przychodzisz, że-

by cię ktoś przepytal, z czego jesteś nieprzygotowany. W moim rozumieniu szkoła jest ekosystemem otwartym m.in. na eksperymentowanie. Chciałam też szkoły opartej na szacunku do dziecka, bo ja do swojego dziecka mam szacunek.

Ale też chciałam, żeby ktoś wziął razem ze mną holistycznie odpowiedzialność za tego człowieka – uznał, że kształcimy go razem. Bo jeżeli młody człowiek spędza połowę swojego czasu w szkole, to tam buduje swoje życie, swoją wiarę w różne idee, to tam się nauczy, co to są ważne rówieśnicze relacje.

Chciałam znaleźć szkołę, w której zacieka się moją córką i będą rozwijać jej talenty, a nie tylko odpytywać z poszczególnych partii materiału.

Nie padają w tym opisie sformułowania „technologia” czy „sztuczna inteligencja”, których bym się po tobie spodziewała.

– Oczywiście było dla mnie ważne, żeby szkoła rozumiała, do jakiego świata my tych młodych ludzi kształcimy. Ale są różne wiary, idee, są różne dzieci i różni rodzice – nigdy nie będzie tak, że jedna szkoła spasyje wszystkim.

Rozumiem, że niektóre dzieci potrzebują na przykład porządku, dyscypliny i w tym się lepiej odnajdują, ale są też dzieci, które potrzebują swobody i po-

dejścia bardzo partnerskiego. Wiem, że „dobra szkoła” oznacza dobrą akurat dla naszego dziecka i żeby znaleźć to połączenie, musimy przyglądać się naszym dzieciom i z nimi gadać.

Byłam np. zszokowana rodzicami, którzy mówili o swoim dziecku w liczbie mnogiej.

Czyli?

– „My będziemy zdawać tu i tu” albo „zobaczmy, jak nam pójdzie olimpiada”. Odczytywałam, że dziecko niewiele ma do powiedzenia, a przecież mówimy o 14- i 15-latkach. Wierzę w edukację generalistyczną i szukałam szkoły, której twórcy też w nią wierzą. Uważam też, że przywództwo w szkole jest ultraważne.

Mówisz o przywództwie – pojęciu znanym z biznesu czy polityki w kontekście polskiej szkoły?

– Dziwi mnie, że nauczycieli nie uczy się bycia dobrym liderem/ką. Nie mamy ścieżki edukacyjnej przygotowanej pod zawód dyrektora/ki szkoły – a przecież tu są potrzebne kompetencje: zarządzanie ludźmi wokół pewnej idei, a najpierw wykreowanie tej idei.

Kiedy patrzymy na szkoły wybitne, to one zawsze mają za zarządzającego zapaleńca albo grupę zapaleńców – w książce opisuję m.in. zespół szkół w Rado-



• **Ważne, żeby dzieciaki wiedziały, że mogą być czymś zajarane, zanurkować w to głęboko, ale niekoniecznie na całe życie. I że zmiana jest OK.**

FOT. PETER CADE/GETTY IMAGES



• Jowita Michalska, „Szkoła w czasach AI”, wyd. MT Biznes

ODY

wie Małym stworzony przez Ewę Radanowicz, która uważała, że wszystko można, wszystko się da, i stworzyła wybitną szkołę. Oplacałoby się więc kształcić kogoś, kto będzie umiał tym potencjałem ludzkim zarządzać.

W poszukiwaniach szkoły dla Jagody zwracałam uwagę na to, żeby dzieci w niej nie były formatowane. Bo wiele dzieci w momencie rozpoczynania szkoły średniej nie jest gotowych na decyzję, co by chciało robić przez całe życie.

Czasem trafi się jedno dziecko na całą klasę, które mówi „będę biologiem morskim”. I super, ale np. ja jestem po czterech wielkich zmianach zawodu i kariery – i to z pasji! Zaczynałam od pracy w międzynarodowej agencji reklamowej, potem byłam dyrektorką marketingu w dużej korpo, potem założyłam fundację, a następnie spółkę, żeby pomóc grupom nieuprzywilejowanym i zwykłym ludziom lepiej rozumieć technologię.

Dziś bardziej jestem wykładowczynią, edukatorką, piszę i mówię o edukacji i przyszłości rynku pracy w kontekście sztucznej inteligencji, doradzam w tych tematach też w Brukseli.

Uważam, że to ważne, żeby dzieciaki wiedziały, że mogą być czymś zajarane, zanurkować w to głęboko, ale niekoniecznie na całe życie, i że zmiana jest OK.

A to podejście generalistyczne? O co w nim chodzi?

– Polega na tym, że uczymy się wielu różnych rzeczy po to, żeby lepiej rozumieć złożoność świata i żeby móc wybrać z większej puli to, co nas interesuje. My zrobiliśmy krzywdę edukacji – strasznie ją rozfragmentaryzowaliśmy. A wiedza jest jedna.

To, że są cząsteczki czy atomy, to jest istotne zarówno w przyrodzie, jak i w astronomii, w biologii, w budowie organizmu ludzkiego. Te pola się przecinają. Do rozwiązywania nowych problemów coraz bardziej złożonego świata, w którym dzisiaj żyjemy, potrzebujemy mieć dużo więcej szerokich narzędzi. I być może rozwiązanie danego problemu z biologii czy budowy aut znajdziemy, obserwując np. działania astronautów.

Dzisiaj – przez globalizację, osieciowanie mediów, wielkie biznesy, wielkie aglomeracje – świat jest mniejszy, wszystko bardziej wpływa na siebie nawzajem. Wybory w Ameryce wpłyną na nas w Warszawie czy w Gorlicach.

To, że wielkie firmy technologiczne są jednymi z największych dzisiaj sponsorów wyborczych, też bardzo mocno wpłynie na regulacje, które się potem stworzą, a my będziemy tego ofiarami lub beneficjentami.

A jak to jest, że osoba tak mocno osadzona w świecie technologii wierzy jednak w szkołę?

– I to taką klasyczną, taką wręcz akademią! Wierzę w szkołę jako miejsce budowania i przecinania się społeczności, jako miejsce wymiany energii – w dwie strony. Jak zresztą mogę nie wierzyć w szkołę – takie Khan Academy jest w stanie zapewnić edukację np. dziewczynkom w Afganistanie, które nie mają żadnej innej możliwości uczenia się. Pamiętamy, że dla niektórych dzieci nadal jedynym miejscem, gdzie nie mają lęku, gdzie się nimi ktoś empatycznie opiekuje – jest szkoła.

Mogę myśleć o szkole jako o miejscu, w którym każde dziecko uczy się korzystać ze zdobyczy technologii. Wierzę w blended learning łączący tradycyjne metody nauki z aktywnościami prowadzonymi zdalnie. Część zajęć może spokojnie odbywać się zdalnie, dziecko może się skupić w domu, mieć potem więcej czasu, bo nie traci go na dojazd, może się też w ten sposób uczyć pracować samodzielnie.

Natomiast do szkoły dzieciaki powinny przychodzić robić wspólne projekty, dyskutować w klasie z innymi i nauczycielem. Wierzę w odwróconą klasę, gdzie część przyswajania wiedzy odbywa się w domu, a w szkole już o tej zdobytej wiedzy dyskutujemy, analizujemy, uczymy się debatować, słuchać, prezentować i bronić swego zdania.

Fascynuje mnie matura skandynawska, w trakcie której masz dostęp do trzech narzędzi, np. komputera, książek czy kalkulatora – bo matura to nie sposób sprawdzenia tego, co umiesz zakuć, ale twojego generalnego myślenia o świecie i umiejętności korzystania z narzędzi.

Na koniec nie liczy się to, czy odpowiedziałeś „dobrze”, bo w dzisiejszym świecie często nie ma jednego „dobrze”.

Nie uważam, że trzeba się obrażać na dzieci, bo nie chcą pójść na studia. Wiedzę i doświadczenie potrzebne do pracy można zdobyć inaczej. Edukacja jest systemem otwartym, do którego możesz wskakiwać i z którego możesz wyskakiwać właściwie przez całe życie.

Czyli tzw. lifelong learning?

– W Dolinie Krzemowej jest oczywiście taki trend: porzucajmy studia, żeby eksperymentować ze start-upami. Wiele młodych ludzi obserwuje takiego Zuckerberga, który rzucił Harvard, albo współczesnych influencerów, którzy śpiewają nawet o tym, że „nie mam matury, jestem idolem” – i oni też mają jakąś swoją rację.

Ja wierzę też w szkoły, które wyprowadzają uczniów poza bramę szkoły. Moja córka raz w tygodniu idzie na Wydział Chemii na Uniwersytet Warszawski, żeby zobaczyć, jak wygląda laboratorium. A innym razem na zajęcia z aikido, żeby zrozumieć, na czym polega praca nad swoim rozwojem wewnętrznym.

Dzieciaki mogą też stwierdzić, że coś im się kompletnie nie podoba – to też jest lekcja! Podoba mi się, że również szkoły tradycyjne, które opisuję w książce, wiedziały, że muszą albo współpracować z firmami, wpuścić dzieciaki do ich rozmaitych działów, żeby zobaczyły, jak praca wygląda, albo współpracowały z seniorami z pobliskiego klubu.

A o globalnym ociepleniu dzieci uczyły się ze szkolnego ogródka.

Ale ci nauczyciele tacy umęczeni. Ty mówisz, że AI dużo by usprawniła.

– Jeśli to dobrze zaplanujemy, sztuczna inteligencja będzie robiła to, co jest nam potrzebne, a nie to, co by chciały wielkie firmy technologiczne. Dlatego edukacja w zakresie AI jest taka ważna.

AI naprawdę może za nas robić właśnie administracyjną robotę, której nikomu się robić nie chce. Może przesiewać nam maile, które są do wyrzucenia, może odpisywać za nas na te, na które trzeba odpowiedzieć jednym zdaniem. Może pilnować naszych terminów albo inspirować nas fajnymi rzeczami.

Ja zakładam, że znakomita część nauczycieli to są ludzie, którzy idą do tego zawodu z pasją, a następnie są tłamszeni przez system w taki sposób, jak Walter White z „Breaking Bad”. W naszej fundacji prowadzimy bezpłatne szkolenia dla nauczycieli w ramach programów Be.Net i Be.Eco – i widzimy, jak wielu jest w Polsce wspaniałych edukatorów, którzy chcą się rozwijać i robią to w swoim czasie wolnym.

No muszą jeszcze lepiej zarabiać. I można by odzyskać nie tylko satysfakcję, ale też prestiż zawodu nauczyciela?

– W Singapurze każdy chce pracować jako nauczyciel, bo jest to świetnie płatne zajęcie, ale oprócz tego każdy nauczyciel ma około stu dni w roku na edukację własną, i jeszcze jest na to budżet. Sama bym chciała być taką nauczycielką! Taka osoba – dofinansowana, douczona, dowartościowana – ma przestrzeń, żeby z dziećmi po prostu być w swoim najlepszym wydaniu.

Ale jak na razie mam wrażenie, że mamy do czynienia z sytuacją zgola inną...

– ...kiedy to nauczyciel głównie zajmuje się biurokracją – dzienniki, librusy, raportowanie do ministerstwa – a AI staje się edukatorem dzieci. Patrzymy właśnie na brytyjski eksperyment, gdzie 13-latki będą się uczyły głównie z AI. W tym eksperymencie praktycznie nie będzie pracy z żywym nauczycielem.

Mnie się to nie podoba, uważam, że w dobrym systemie edukacji jest miejsce i dla AI, i nauczyciela, dyrektora, szkoła ma być fizycznym miejscem. Tylko należy to poukładać tak, żeby to człowiek był w centrum.

Tymczasem to nie nauczyciele są uczeni lub uczą się, jak się odciążyć, tylko dzieciaki odrabiają zadania z pomocą ChataGPT, który za nie pisze wypracowania...

– Bo nie da się nowych narzędzi zastosować do starych schematów. Jeśli mamy narzędzie, które te rzeczy – zadania domowe, wypracowania – będzie dla nas już robić, to musimy je uzupełnić kompetencją, która sprawi, że będziemy wiedzieli, jak to sprawdzić.

Teraz nie ma takich narzędzi, które ci w 100 proc. powiedzą, że zrobiłaś coś za pomocą AI. Naprawdę warto przegadać nawet taką głupotę uczniów, która każe im zrobić kopiuj-wklej z ChataGPT łącznie z cudzysłowem, gwiazdkami i przypisami. No i omówić, jak to narzędzie wykorzystywać dobrze, bo w przyszłości w wielu zawodach będziemy dyrygentami technologii – lubię to określenie, usłyszałam je w podcaście Reida Hoffmana.

Będziemy więc mieli w pracy AI, które będzie wykonywać pewne funkcje, natomiast to my musimy zadbać, żeby człowiek nie wypadł z tego kółka. I żeby nie doprowadzić do tego, że AI robi dla AI, potem AI przekazuje AI.

Jeśli my coś głupio wklejamy AI, to AI nam zazwyczaj coś głupiego wypłuje – bez naszego wkładu osiągamy naprawdę słaby efekt. Trochę na zasadzie „shit in, shit out”.

Nauka promptowania jest niezbędna!

– Pomyślmy też, że aktualnie korzystamy z najgłupszej sztucznej inteligencji, z jakiej będziemy korzystać w naszym życiu... ale musimy sobie wypracować z AI to, gdzie jest miejsce dla niej, gdzie jest miejsce dla nas.

Ja np. lubię to, że AI oszukuje, bo dzięki temu nie możemy brać wszystkiego, co nam podaje za pewnik, tylko uczymy się razem z nią. I to szkoła też mogłaby wykorzystywać.

– Ucząc ograniczonego zaufania do technologii. I krytycznego myślenia.

Młode pokolenie ufa AI do takiego stopnia, że powstało pojęcie digital laziness – cyfrowe lenistwo. Więc nauka krytycznego myślenia byłaby tu naprawdę kluczowa. W końcu świat do przodu pchają naukowcy, którzy ciągle wszystko kwestionują i zadają pytania.

I ten naukowy nawyk musimy sobie wszyscy przyswoić. Wydawałoby się, że wyśnienie sobie tyłu narzędzi pozwoli nam trochę odpocząć i „zglupieć”, tymczasem my powinniśmy być aktualnie mądrzejsi i bardziej etyczni niż 100 lat temu.

Spodziewałam się po twojej książce, że opowiesz nam, jak stosować drukarki 3D na lekcji...

– ...a ja tymczasem piszę, jak ważnym elementem edukacji jest zdrowie psychiczne młodych ludzi. Odporność psychiczna. Przecież świat tak szybko się zmienia, że coraz częściej nie wiemy, dlaczego coś się stało. Nie umiemy postawić diagnozy.

I ponieważ ten świat jest dużo bardziej złożony, to potrzebujemy kolektywnego myślenia i najlepiej działania – potrzebne nam są zespoły interdyscyplinarne, gdzie jedna osoba ma bardziej umysł analityczny, inna jest kreatywnym wariatem, a ktoś przywołuje wszystkich do pionu. Ważne, żeby nauczyć się w takich zespołach pracować.

A znowu edukacja nas do tego nie przygotowuje, bo klasa składa się z dzieci z jednego osiedla albo z jednego pułapu finansowego. Teraz coraz częściej żyjemy tylko z podobnymi sobie. A najciekawsze pomysły i rozwiązania problemów będą pochodzić z różnorodności.

Dlatego powinniśmy w szkołach widzieć więcej projektowej pracy w zespołach pozaklasowych, więcej organizowania dzieciaków w kołach zainteresowań, więcej praktyki, a zdecydowanie mniej teorii.

Piszesz też, że nie będziemy potrzebować matematyki! Twierdzisz, że w świecie AI oprócz tej współpracy, oprócz tej elastyczności będziemy potrzebować czegoś, czego kiedyś uczyno się na podwórku. I że to będzie czas humanistów, etyków, ludzi, którzy zadają pytania.

– Żeby nie było! Ja nie mówię, że informatycy są niepotrzebni czy że matematyka jest niepotrzebna – powinno się uczyć w szkole grupy przedmiotów z obszaru computer science, czyli holistycznego podejścia do rozumienia technologii i używania jej. Ja uważam, że przedmioty ściśle są przeceniane.

Dziś jest tak mocny nacisk na matematykę, że czasami matki piszą do mnie na Instagramie: „Pani Jowito, moje dziecko jest »niestety« uzdolnione humanistycznie i co robić?”.

Wszyscy będą potrzebni. Zamiast pokazywać, że są kiepscy z matmy, lepiej im pokazać, z czego są wyśmienici. Ja tylko przypominam, że świat nie jest zbudowany tyl-

ko i wyłącznie przez umysły ściśle. Jak się zresztą popatrzy na Dolinę Krzemową, na innowatorów tego świata, to oni mają ewidentnie kompetencje z dwóch stron. Oni rozumieją złożone problemy matematyczno-przyrodnicze, ale równie dobrze potrafią się dogadać, potrafią zmotywować ludzi, mają często wykształcenie filozoficzne.

Mam nadzieję, że to przewartoścujemy, żeby nie uważać, że humanista/ka to osoba gorsza, mniej inteligentna, gorzej przygotowana do wyzwań przyszłości.

Filozofowie, etycy, stratedzy, artyści, to również są budowniczy tego świata. Fajnie, że mamy inżynierów, którzy budują różne maszyny, ale muszą rozumieć, dla kogo te maszyny budują. Zresztą w projektach technologicznych coraz częściej zatrudnia się ekspertów od empatii, którzy skupiają się na rozumieniu ludzkich emocji i odpowiadaniu na nie. Budowaniu produktów i usług, które odpowiadają nam racjonalnie i emocjonalnie.

Technologia szybciej będzie umiała matematykę, ale na pewno nie będzie sama siebie czyniła bardziej etyczną. I my musimy być strażnikami technologii.

Myślę sobie jeszcze, że dzieci się uczą, kiedy nie są wyczerpane. A aktualnie mamy do czynienia z przeciążonymi, przebudzowanymi, nadwrażliwymi dziećmi, które tak zmęczone są również dlatego, że nadużywają technologii. Czy higiena cyfrowa nie powinna być aktualnie jakimś najważniejszym przedmiotem dla nas wszystkich?

– Dotykasz też takiego wątku jak edukacja wszystkich grup społecznych, jak edukacja rodziców. Badania pokazują, że dzieci kompletnie nie mają dzisiaj w rodzicach oparcia przy krzywdzie technologicznej, jeśli im się taka dzieje.

Co to jest krzywda technologiczna?

– To nie jest żadne oficjalne określenie, wymyśliłam je, myśląc, ile dzieciaków jest ofiarami hejtu internetowego, te wszystkie okropne historie o wizerunkach dzieci wykorzystywanych do tworzenia porno. Z tym trzeba sobie też będzie jakoś radzić. Ja jestem zwolenniczką wprowadzenia ograniczenia social mediów i zakazu telefonów w szkołach. Podoba mi się to, co się robi w Australii: zakaz mediów społecznościowych do 16. roku życia.

Tymczasem z raportu NASK wynika, że jeśli dzieciaki doświadczają tej przemocy w internecie, to niewielki odsetek rodziców o tym wie. Więc edukacja rodziców z higieny cyfrowej jest niezwykle ważna, żeby oni

rozumieli, z czym się te dzieciaki borykają. Na razie zajmują się tym NGOsy we współpracy ze szkołami, z nauczycielami jak np. w programie naszej fundacji Digital University o nazwie Be.Net – szkolimy ok. 3,5 tys. nauczycieli, którzy potem przeszkalają ponad 80 tys. dzieci.

Długoterminowo powinno to wejść do programu wszystkich szkół. Natomiast rodzice powinni również być objęci takimi programami czy to przez szkoły, czy przez pracodawców.

Popatrzmy też, jak się czasy zmieniają: przez pierwsze naście lat rewolucji cyfrowej nie mieliśmy świadomości, że to, że dziecko siedzi pięć godzin dziennie w telefonie, fizycznie „smaży mu mózg”. I nadal, jak o tym mówię, to ludzie pytają: „A są na to jakieś badania?”. Oczywiście, jest coraz więcej badań, ale przecież widzą i odczuwają to sami. Takie używanie technologii pozbawia dziecko umiejętności skupienia, zapamiętywania. Dorosłego też! Obserwujmy siebie, proszę, bo czasami będziemy potrzebowali 50 lat doświadczenia i badań, żeby udowodnić, że coś nam szkodzi, a przecież intuicynie czy na tzw. zdrowy rozum to wiemy!

A to nie jest tak, że ponieważ to wszystko tak szybko poszło, a firmy technologiczne dokładnie wiedzą, co zrobić, żeby nas w internecie przytrzymać – to my globalnie jesteśmy uzależnieni? Że taki rodzic czy nauczycielka, żeby dzieciom zabronić używania telefonu, to musiałby/aby sobie ograniczyć – i to jest trudne?

– To jest uzależnienie absolutnie światowe i absolutnie wszystkie grupy społeczne mu podlegają. Popatrzmy na seniorów: seniorzy albo są kompletnie pozbawieni jakiegokolwiek świadomości technologicznej, albo uzależnieni siedzą cały dzień w telefonie lub komputerze.

I takie social media są dla takiej – wedle badań coraz bardziej samotnej osoby starszej – jak okno na świat. Musimy więc pracować nad naszą higieną cyfrową, prowadzić edukację o świadomości zagrożeń ze wszystkimi. Powinniśmy robić o tym kampanie społeczne.

A może po prostu pokazywać atrakcyjność świata sobie i każdemu obok. Atrakcyjność świata realnego. Rodzice dzieciom i dziadkom. Wychodzić więcej na spacer, grać w planszówki, zamiast każdy w swoim telefonie.

A gdybyś teraz dostała taką fuchę, że masz doradzić Ministerstwu Edukacji, jakie zmiany wprowadzić, to co by było dla ciebie najważniejsze?

– Wprowadzenie computer science – lepszego rozumienia tego, co technologia dzisiaj wnosi i dobrego, i złego. Nie informatyka, jaką znamy dzisiaj, tylko budowanie kompetencji technologicznych, łącznie z rozumieniem, co sztuczna inteligencja może, czego nie może, a także praca z nią. Higiena cyfrowa, zdrowie psychiczne włączane w edukację. To są rzeczy, które są ultraważne.

Więcej pracy projektowej poprzez opracowanie społecznie zaangażowanych rzeczy, czyli zaszczepianie u dzieci wagi zaangażowania się w społeczne projekty. Przygotowywanie projektów dotyczących na przykład otoczenia, w którym się szkoła znajduje, praca z lokalnym domem osób starszych itp., zaliczenia przedmiotów w formie projektów społecznych.

Więcej pracy własnej, czyli odwrócona klasa: dziecko uczy się w domu jakiegos wтку, czyta chociażby fragment powieści czy ogląda film dokumentalny i przychodzi do szkoły, żeby o tym dyskutować, żeby się na ten temat spierać, żeby wysłuchać strony, która ma dokładnie odmienne zdanie, wnikliwie dyskutować i zrealizować rozwiązania.

Szkoły w Estonii eksperymentują bardzo dużo z odwróconą klasą. Szkoły skandynawskie wychodzą ze szkoły, żeby uczyć się w naturze: dzieci już na poziomie przedszkola oglądają nawet skórowanie zwierzęcia, co może przerażać, ale to ważna lekcja. Oczywiście po wcześniejszej rozmowie. Doświadczenie jako uczenie jest szalenie ważne, zwłaszcza w dobie AI. ●



Jowita Michalska

• założycielka i CEO Digital University, który zajmuje się edukacją w obszarze nowych technologii i organizuje coroczną konferencję Masters & Robots poświęconą transformacji cyfrowej i trendom związanym z nowymi technologiami. Założyła też Fundację Digital University, której misją jest wyrównywanie szans i edukacja w zakresie nowych technologii i kompetencji przyszłości. Jest autorką podcastu „DigiTalks”.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

34351321



Roczna prenumerata

KSIĄŻKI

MAGAZYN DO CZYTANIA

Doskonały prezent pod choinkę

ZAMÓW NA PRENUMERATA24.PL

WYKSZTAŁCENIE + KOMPETENCJE = BEZROBOCIE

Sztuczna inteligencja zaraz odbierze nam pracę. Ale ręk do pracy brakuje coraz bardziej i potrzebujemy więcej dzieci oraz migrantów. Jak to pogodzić?



Kamil Fejfer

P o aferze z Off Radiem Kraków, botami w roli spikerów i wywiadem z wirtualną Szymborską trochę się uspokoiłem. Mój zawód jest dopiero 12. na liście zagrożonych przez sztuczną inteligencję. I jak dobrze pójdzie, to jeszcze parę lat pociągnie.

Ale od początku. Kilka tygodni temu przez polskie media, a zwłaszcza przez Facebooka – bo TikTok i Instagram mniej interesują się tematami rozpalającymi 40-, 50- i 60-latków – przetoczyła się ogromna burza po tym, gdy Off Radio Kraków zastąpiło algorytmami część osób prowadzących audycje. Co prawda Marcin Pulit, szef niszowej publicznej rozgłośni, zapewniał, że był to po prostu eksperyment, który pechowo zbiegł się z restrukturyzacją. „Żaden dziennikarz, pracownik czy współpracownik nie został zwolniony z powodu sztucznej inteligencji z pracy. Gdy przyszedłem do pracy w styczniu, założyłem, że mimo bardzo ciężkiej sytuacji nie chcę doprowadzić do żadnych redukcji zatrudnienia. Zlikwidowałem wszystkie umowy śmieciowe. Zamieniłem je na etaty”.

I chyba eksperyment się udał, przynajmniej na krótką metę. „Przed” słuchalność online wynosiła 20-40 osób. „Po” stacji słuchało dziennie nawet 8-14 tys. unikalnych użytkowników – podają Wirtualnemedi.pl. Choć zapewne w dużej mierze przyczyniła się do tego imba w imbie – bo Off Radio Kraków poszło na całość i wyemitowało wywiad z Wisławą Szymborską. Nie archiwalny, nie pośmiertnie odnaleziony, lecz zupełnie świeży. Rozmawiały ze sobą sztuczne inteligencje.

Ich wprowadzenie na antenę ujawniło całe mnóstwo tzw. wielkich problemów współczesności – od strachu przed zastępowaniem ludzi przez automaty w kolejnych branżach po lęk przed tzw. deep fake. Ale gdy uwaga komentatorów skupiła się na przetwarzaniu frazy: „jak tak można postąpić z noblistką”, równie ciekawe wydaje się to, jakie tożsamości nadano wirtualnym prowadzącym.

Emilia „Emi” Nowak to studentka dziennikarstwa i ekspertka od popkultury, która „z pasją śledzi najnowsze trendy w świecie kina, muzyki i mody”. Jakub „Kuba” Zieliński miał być studentem inżynierii akustycznej, „człowiekiem od technologii i muzyki, który z ogromną pasją śledzi nowinki z zakresu produkcji dźwięku oraz nowe rozwiązania technologiczne”. Był jeszcze Alex – osoba aktywistyczna, która „z pasją porusza tematy związane z tożsamością, queer kulturą i wpływem mediów na społeczeństwo”.

Internetowi komentatorzy zżymali się i drwili z groteskowego nadawania cech ludzkich matematycznym modelom, ale istotniejszy jest sposób myślenia żywych ludzi stojący za takim, a nie innym sprofilowaniem. Bo czyż jest coś bardziej stereotypowego niż młoda dziewczyna „zainteresowana popkulturą”, chłopak jarający się nowymi gadżetami i technologią czy osoba najpewniej niebinarna lub o płynnej tożsamości siedząca w tematach związanych z inkluzywnością? Tak wygląda pokolenie zet w oczach millenialsów i boomersów przefiltrowane przez ich poczucie humoru.

A jednocześnie, no cóż – jeżelibyśmy zbrali na płycie boiska większych i mniejszych polskich influencerów, młodych dziennikarzy, youtuberów, instagramerów i tiktokerów oraz rzucili w nich na ślepo czekoladką, trafilibyśmy kogoś odpowiadającego stereotypowi.

Mniej zabawne jest to, co przedsięwzięcie unaocznilo pośrednio. Otóż wielu twórców, również radiowych, to w zasadzie też swego rodzaju „mięsne algorytmy”, które żartują w ten sam sposób i mają tę samą zgraną paletę ulubionych tema-

tów. Ja sam jestem dokładnie tym – algorytmem, który pisze od lat o podobnych tematach, ucieka się do oswojonych środków stylistycznych, do niezbyt rozległej palety metafor, używa w określony sposób języka. Ba! Być może nawet łatwiej będzie mnie zastąpić generatywną AI niż dziennikarza czy prezentera antenowego, bo moja praca nie jest dziennikarstwem śledcze, nie jest intymna, wyciągająca rzeczy ważne rozmowa z ludźmi ani błyskotliwa konferansjerka. To, co robię, polega na czytaniu różnych rzeczy, przyglądaniu się źródłom i kompilowaniu z tego wszystkiego przystępnych treści. Właśnie w tym dobre jest AI, a wkrótce będzie perfekcyjne. Włącznie z wyciąganiem wniosków.

To właśnie główny powód, dla którego awantura o niezbyt oryginalny pomysł niszowego radia była tak wielka. Oburzeni i szydący uświadomili sobie coś, o czym do tej pory czytali jak o odległej baśni zza siedmiu mórz i gór, dotyczącej abstrakcyjnych hollywoodzkich aktorów czy scenarzystów: automatyzacja zagraża również nam. Nie jest już spekulacją o jakiejś mglistej przyszłości, ale realnym niebezpieczeństwem dla zawodów i posad klasy średniej.

Ale być może nie wszystko dla nas stracone. Bo sztuczna inteligencja nie jest w stanie – chyba – dostrzec sprzeczności, które są najciekawsze i prowokują do twórczych pytań. Gdyż na tym etapie rozwoju skupia się na zadanym problemie, nie spogląda z szerszej perspektywy, która pozwala dostrzec nieoczywiste połączenia między odrębnymi tematykami, zjawiskami, narracjami.

Na przykład nie potrafi połączyć wieszczzonego bezrobocia technologicznego z drugą wielką narracją dotyczącą przyszłości pracy i gospodarki. I zadać pytania: ale przecież jedno gryzie się z drugim. Chodzi o kryzys czy też – jak niektórzy mówią – katastrofę demograficzną. I o to, że – upraszczając do bólu – już brakuje, a zaraz zabraknie jeszcze bardziej rąk do pracy, i dlatego potrzebujemy migrantów.

Wskaźnik dzietności w Polsce szoruje po dnie. W 2023 r. pobiliśmy rekord – nigdy wcześniej nie urodziło się tak mało dzieci. A w roku 2024 będzie jeszcze gorzej. Nasza przyszłość demograficzna już się wydarzyła – będzie nas coraz mniej. A wraz ze wzrostem odsetka osób starszych względem młodszych – słynne „silver tsunami” – coraz mniej osób będzie pracować, a coraz więcej będzie na emeryturach. Czyli grozi nam nie to, że stracimy pracę, ale to, że będzie za mało osób, aby ją wykonywać!

Te dwie perspektywy wydają się spójne w ramach swojej wewnętrznej logiki. Ale nie może jednocześnie być masowego bezrobocia i braku rąk do pracy potrzebnych do utrzymania starzejącego się społeczeństwa. Jak to się spina?

Sztuczną inteligencję z grubsza można podzielić na dwie domeny. Pierwsza to odtwórcza sztuczna inteligencja. W raporcie Polskiego Instytutu Ekonomicznego „AI na polskim rynku pracy” możemy przeczytać, że chodzi o „oprogramowanie komputerowe, które opiera się na wysoce zaawansowanych technikach algorytmicznych, które może wykazywać zdolności adaptacji, służy do znajdowania wzorców w danych i na ich podstawie tworzenia przewidywań treści czy zaleceń”. Czyli o algorytmny uczenia maszynowego – od lat są obecne na styku nauki i biznesu.

Nowszą technologią jest generatywna sztuczna inteligencja, czyli taka, która potrafi tworzyć nowe treści: teksty, obrazy czy muzykę. Przykładami tego typu programów jest słynny ChatGPT czy generatory obrazów w rodzaju MidJourney.

Jednym z symptomów rewolucyjności ChataGPT jest szybkość, z jaką się spopularyzował. Narzędzie udostępniono w listopadzie 2022 r., po dwóch miesiącach korzystało zeń już 100 mln użytkowników. Był to rekord, jeśli chodzi o aplikacje – drugi na liście

TikTok pierwsze 100 mln „zaliczył” po niecałym roku, Instagram po dwóch latach, Facebook po czterech i pół roku.

Generatywna AI jest rzecz jasna groźniejsza, ale obie sztuczne inteligencje w niespotykanej dotąd skali zagrażają właśnie – i to jest novum względem lęków przed technologicznym bezrobociem powracających z każdym nowym wynalazkiem od początku rewolucji przemysłowej – klasie średniej. „Ostatnie zmiany w technologii są komplementarne z wiedzą i umiejętnościami lepiej wykształconych pracowników. Ci pracownicy częściej wykonują zadania nierutynowe i kognitywne – tj. związane z pracą umysłową, angażujące kreatywność lub w niewielkim stopniu powtarzalne” – czytamy w raporcie PIE.

Ekspertci organizacji wytypowali 20 najbardziej i 20 najmniej narażonych na wpływ AI zawodów w Polsce. W tej pierwszej grupie znajdują się chociażby – w kolejności zagrożenia – specjaliści od spraw finansowych, matematycy i statystycy, urzędnicy ds. nadzoru, analitycy komputerowi, sekretarki, menedżerowie ds. marketingu. Co ciekawe, na 10. miejscu znaleźli się nauczyciele akademicy – przed, wydawałoby się, łatwiej zastępowalnymi literatami i dziennikarzami (miejsce 12.).

We wskazanych 20 grupach zawodowych jest około 3,7 mln Polaków, nieco ponad 20 proc. zatrudnionych w gospodarce narodowej. „2,16 mln kobiet i 1,53 mln męż-

cie czoła zdobywają kolejne dyplomy i pną się po szczeblach kariery. „Praca narażona na oddziaływanie sztucznej inteligencji zwykle oznacza lepiej płatne stanowiska, w których atutami są wyższe wykształcenie i umiejętności analityczne” – czytamy w opracowaniu.

Kristalina Georgieva, dyrektor zarządzająca Międzynarodowego Funduszu Walutowego, w artykule „AI Will Transform the Global Economy. Let’s Make Sure It Benefits Humanity” („Sztuczna inteligencja zmieni oblicze światowej gospodarki. Upewnijmy się, że stanie się to z korzyścią dla ludzkości”) stwierdza, że AI wpłynie na 40 proc. miejsc pracy na całym świecie. Część zostanie zastąpiona przez sztuczną inteligencję, a część zostanie przez algorytmy uzupełniona. Georgieva też podkreśla, że po raz pierwszy technologia uderzy w stanowiska wymagające wysokich kwalifikacji. „W rezultacie to gospodarki bardziej rozwinięte staną w obliczu większego zagrożenia ze strony AI” – pisze ekonomistka. I zauważa, że w zamożnych państwach algorytmy mogą mieć wpływ na około 60 proc. miejsc pracy.

W tym miejscu warto przytoczyć pytanie zadane kilka lat temu w tytule eseju wybitnego ekonomisty Davida Autora: „Why Are There Still So Many Jobs? The History and Future of Workplace Automation”. Czyli: dlaczego

W przyszłości nie będzie zbyt wielu chętnych, aby zostać finansistami, księgowymi czy urzędnikami, tak jak dzisiaj niewiele osób pcha się, aby zostać woźnicami

czyzn w Polsce pracuje w zawodach najbardziej narażonych na zmiany wywołane zastosowaniem sztucznej inteligencji. 82 proc. pracowników najbardziej narażonych na zmiany związane ze sztuczną inteligencją to osoby z wyższym wykształceniem” – czytamy w raporcie.

A jakie zawody są po drugiej stronie tabeli? Czym miejscom pracy nie zagraża AI? Według kolejności to między innymi: osoby zajmujące się prostymi pracami w rolnictwie, magazynierzy, robotnicy wykonujący proste czynności w przemyśle, osoby sprzątające, rybacy, kucharze. To nie znaczy, że powyższe zawody nie są zagrożone przez automatyzację w ogóle – są, ale nie przez sztuczną inteligencję, dla której w ich dziedzinach nie ma miejsca.

Podobne wnioski do lokalnych polskich znajdziemy w opracowaniu ważnego amerykańskiego think tanku Pew Research Center. Z raportu „Which U.S. Workers Are More Exposed to AI on Their Jobs?” dowiadujemy się, że aż mniej więcej jedna piąta pracujących Amerykanów ma zajęcie „o wysokim stopniu narażenia”. I znów to w dużej mierze osoby z wykształceniem wyższym i/ lub lepiej opłacane. AI bardziej „zagraża” kobietom (21 proc.) niż mężczyznom (17 proc.). Wynika to z rosnącej luki w wykształceniu – mężczyźni nie tylko w USA, ale na całym globalnym Zachodzie i w krajach rozwijających się są gorzej wykształceni niż kobiety.

Wśród grup demograficznych najbardziej wystawionych na działanie AI są również Azjaci. Również dlatego, że w po-

go wciąż jest tak dużo miejsc pracy?

Badacz zauważa na przykład, że bilans miejsc pracy po zastąpieniu powozów przez samochody wykracza daleko poza spadek popytu na pracę woźniców. Branża samochodowa sama stworzyła cały przemysł – nie tylko produkcji aut, ale również inżynierów dróg i mostów, firm specjalizujących się w budowie autostrad, napędzała firm wydobywcze, przyczyniła się do powstania przydrożnych moteli oraz rozkwitu turystyki. Kiedy pierwsze automobile wyjeżdżały na ubite dukty, nikt nie mógł przewidzieć, jak ogromny wpływ rewolucja samochodowa będzie miała nie tylko na gospodarkę, ale w ogóle na sposób funkcjonowania całych społeczeństw.

„Tak jak internet drastycznie obniżył koszty przesyłu informacji, tak AI obniży koszty zajęć kognitywnych” – mówi profesor Karim Lakhani z Harvard Business School. Te słowa padają w wywiadzie pod znamienitym tytułem „Sztuczna inteligencja nie zastąpi ludzi – ale ludzie wyposażeni w narzędzia sztucznej inteligencji zastąpią ludzi nieumiejących korzystać ze sztucznej inteligencji”.

Na ten sam aspekt przemian technologicznych zwracają uwagę Philipp Carlsson-Szlezak i Paul Swartz w artykule na stronie Światowego Forum Ekonomicznego „Why AI will not lead to a world without work”. Ekonomisci związani z Boston Consulting Group cytują słynne słowa ekonomicznego noblisty Wassyla Leontiefa, który w latach 80. mówił, że ludzka praca podąży drogą pracy konia po pojawieniu się samochodu: „Najpierw zmniejszy się zapotrzebowa-

nie na nią, a później zostanie zupełnie wyeliminowana”.

Jednocześnie eksperci zauważają, że lęk przed masowym technologicznym bezrobociem pojawia się w zasadzie z każdą nową rewolucyjną technologią. „Zazwyczaj pomija się jednak fakt, że technologia jest siłą deflacyjną z samej swojej natury. Obniża koszty i ceny, zwiększając realne dochody konsumentów, jak również popyt na nowe dobra i usługi, a tym samym również popyt na nowe zatrudnienie” – stwierdzają. I dodają, że pod koniec XIX wieku prawie połowa Amerykanów pracowała w rolnictwie i wydawała ponad 40 proc. swojego dochodu na żywność. Dzisiaj w rolnictwie jest zatrudniony 1 proc. Amerykanów, a gospodarstwa domowe wydają na jedzenie około 12 proc. dochodu.

Tegoroczny noblista ekonomista Daren Acemoglu w artykule „The Simple Macroeconomics of AI” przytacza oszacowania Goldman Sachs, wedle których sama generatywna sztuczna inteligencja dołoży dodatkowe 7 proc. do globalnego PKB (około 7 bilionów dolarów) w ciągu najbliższych dekad. Acemoglu jest bardziej powściągliwy i mówi o dodatkowym wzroście na poziomie maksymalnie nieco powyżej 1 proc.

Ale tu pojawia się jeszcze jedna kwestia w postaci argumentum ad luddystum.

Luddyści, nazywani tak od nazwiska ich lidera Neda Ludda, byli grupami drobnych rzemieślników, którzy na początku XIX wieku w Wielkiej Brytanii niszczyli mechaniczne krosna zastępujące ich w pracy. Wiemy, że dzięki mechanizacji produkcji tysiące niezamożnych ludzi wreszcie mogło się ubrać. Rewolucja przemysłowa wyrwała ze wsi ogromne masy ludności i zapewniła im koniec końców godny żywot w miastach. Ale w tym rzecz, że koniec końców – pierwsze pokolenia robotników żyły w gorszych warunkach niż ich przodkowie na roli. Dopiero wiek XX spowodował „rozsmarowanie” dobrobytu po klasach niższych, a pierwsze etapy rewolucji pogorszyły byt milionów ludzi.

Luddystów obecnie kojarzymy z daremnym i głupim oporem wobec postępu technologicznego. Ale z ich perspektywy sprzeciw był jak najbardziej racjonalny; bardzo duża część rzemieślników rzeczywiście straciła pozycję ekonomiczną i społeczną, z sytych filarów lokalnych społeczności zmienili się w wędrownych najmitów. Czy to właśnie czeka sporą część obecnej klasy średniej? Czyli nas?

Tego po prostu nie wiemy. Choć bazując na pewnych modelach teoretycznych, potrafimy w miarę przewidzieć, które prace mogą być „narażone” na działanie sztucznej inteligencji, to stopień, w jaki AI na nie wpłynie, jest bardzo mglisty. Gdyż to, co się wydarzy, nie będzie tylko prostą funkcją jednego fragmentu teraźniejszości – zmieniać się będzie cały system społeczno-gospodarczy. Nie możemy przewidzieć, w jaki sposób biznes będzie się adaptował do zmian i jak przystosują się sami pracownicy. Nie wiemy, ilu z nich zacznie w swoich starych pracach korzystać z narzędzi sztucznej inteligencji. Jak będzie wyglądać polityka państw wobec AI. Ani jakie nowe zawody powstaną. Przypomnijmy, że wiele nieźle płatnych i solidnie umocowanych w gospodarce zajęć dwie-trzy dekady temu dopiero raczkowało.

Niepewność jest mniejsza w przypadku demografii. A to z prostego powodu – duża część zmian już się wydarzyła. Nie urodzi się już więcej obecnych 20-latków, które w niedalekiej przyszłości zaczną rodzić dzieci. A możliwości wchłaniania migrantów przez gospodarkę i społeczeństwa są ograniczone. Spójrzmy więc w dane.

W 2023 roku mieliśmy najniższy wskaźnik dzietności w dziejach – według GUS 1,16. Oznacza to, że na 100 kobiet w wieku rodzczym (15–49 lat) przypadało 116 urodzeń. Tzw. zastępowalność pokoleń ma miejsce wtedy, kiedy dzietność wynosi 2,1 (100 kobiet

rodzi 210 dzieci). Tak niski odczyt plasował nas na dole zestawień nawet nie europejskich, ale światowych.

Demografia nie jest problemem specyficznie polskim. Dotyczy całego świata rozwiniętego. A kraje rozwijające się kroczą tą samą ścieżką – dietność spada wraz z rozwojem gospodarczym, za którym idzie dobrobyt i możliwości korzystania z życia, z rosnącym odsetkiem kobiet, które idą na studia, oraz szerszym wkroczeniem pań na rynek pracy. Tym, co wyróżnia Polskę, jest głębokość tego procesu. Nasz problem z dietnością nie rozpoczął się pięć ani dziesięć lat temu. Ostatni raz zastępowalność pokoleń mieliśmy pod koniec lat 80. Dietność poniżej 1,5 (nazywaną przez demografów niską) osiągnęliśmy w połowie lat 90. i już do zastępowalności nie wróciliśmy. To oznacza, że w piramidzie demograficznej pojawiły się wyrwy, których nie da się załatać. Nawet jeżeli dietność pokolenia zet nagle wzrosłaby ponad zastępowalność pokoleń (a prawdopodobieństwo tego jest w zasadzie zerowe), to nie uda się zatrzymać wyludniania Polski.

GUS przygotował niedawno symulację przyszłości demograficznej kraju. W „Prognozie ludności na lata 2023-2060” przedstawia trzy warianty – niski, pośredni i wysoki. W najlepszym przypadku w 2060 r. w Polsce będzie mieszkać niecałe 35 mln osób. A mówimy o prognozie już zawierającej duży dodatni bilans migracyjny. Scenariusz pośredni to 31 mln osób, niski – niecałe 27 mln mieszkańców. A w dodatku te 31 lub 27 mln będzie posunięte w latach. Bo jeśli od dekad rodzi się mało osób – w wyżu pierwszej połowy lat 80. ponad 700 tys. dzieci, obecnie mniej niż 300 tys. – a śmiertelność jest niska, to – sięgnijmy po fachową terminologię – oczywiście jest, że odsetek osób starszych w społeczeństwie będzie rósł. Czyli coraz mniej osób będzie pracować na coraz większą grupę emerytów.

W opracowaniu „Konsekwencje zmian demograficznych dla podaży pracy w Polsce” Polskiego Instytutu Ekonomicznego czytamy, że do 2035 r. rynek pracy zmniejszy się o 2,1 mln osób. To niemal 13 proc. wszystkich obecnie zatrudnionych. Ekspertci wymieniają: „o 29 proc. w porównaniu z obecnym stanem zmniejszy się liczba pracowników w sektorze edukacji, o 23 proc. w sektorze ochrony zdrowia, o 11 proc. w przemyśle”.

Czas na splecenie obu opowieści. Czy będziemy mieć technologiczne bezrobocie, czy raczej deficyty pracowników? Odpowiedź jest z tych najbardziej nie lubianych:

Dyplom z bezrobocia

82 proc.

- pracowników najbardziej narażonych na zmiany związane z AI to osoby z wyższym wykształceniem

Ok. 3,7 mln Polaków

- pracuje w zawodach zagrożonych przez AI

Aż 1/5

- pracujących Amerykanów ma zajęcie „o wysokim stopniu narażenia” na wpływ AI

21 proc. kobiet

- i 17 proc. mężczyzn zagraża AI. To wynik rosnącej luki w wykształceniu - kobiety częściej kończą studia

7 proc.

- do globalnego PKB - około 7 bilionów dolarów - w ciągu dekady dołoży AI według analityków Goldman Sachs

1 proc. Amerykanów

- pracuje dziś w rolnictwie, a gospodarstwa domowe wydają na jedzenie około 12 proc. dochodu. Pod koniec XIX w. wydawały 40 proc. dochodu, a rolnictwem zajmował się co drugi Amerykanin

to skomplikowane. Oraz: trochę tak, a trochę tak. Czyli w pewnym stopniu doświadczymy obu tych zjawisk, ale na innych odcinkach systemu. Zauważmy, że lista prac narażonych na AI nie jest tożsama z listą zawodów deficytowych. Część osób w branżach kognitywnych straci pracę, ale w gospodarce i tak będzie rosła liczba nieobsadzonych stanowisk w przemyśle, edukacji, ochronie zdrowia.

Rozwiązanie, które jako pierwsze przychodzi do głowy, to masowe przekwalifikowanie. Jeśli AI wyśle na bezrobocie prawników, grafików i finansistów, a będzie nam brakować nauczycieli, monterów, wykwalifikowanych robotników, to wystarczy, że ci pierwsi zostaną tymi drugimi, czyż nie?

Ano właśnie. Brzmi dobrze, zdroworozsądkowo, jak wiele prostych neoliberalnych recept, w memach opatrywanych ironicznym pytaniem: „Co może pójść nie tak?”.

Otóż ani prawnicy, ani graficy, ani analitycy danych nie staną zbyt chętnie przy taśmie montażowej; jedni uznają to za deklasaację, innych odrzucają pracodawcy wychodzący z założenia, że tacy wydelikaceni rekruci będą mieli dwie lewe ręce, a do tego mogą okazać się roszczeniowi, czytaj – walczący o swoje prawa. Prawdopodobnie nie zostaną również nauczycielami – no, chyba że w desperacji przystaną na obniżkę pensji o 70 czy 90 proc. albo rząd podniesie wynagrodzenia w edukacji. Nie będą też raczej pracownikami ochrony zdrowia – bo musieliby ponownie przejść długi i niełatwy proces edukacji.

Na pocieszenie – proces technologicznego bezrobocia raczej rozłoży się na lata. A to oznacza, że sam rynek będzie się dostosowywał. Osoby wchodzące nań nie będą się garnać do zajęć, o których wiedzą, że są niekorzystne. W przyszłości więc nie będzie zbyt wielu chętnych, aby zostać finansistami, księgowymi czy urzędnikami nadzoru, tak jak dzisiaj niewiele osób pcha się, aby zostać woźnicami.

Jest za to wysoce prawdopodobne, że sztuczna inteligencja podniesie wydajność pracy w wielu sektorach. Innymi słowy – jedna osoba będzie musiała wykonać mniej zadań, żeby wytworzyć produkt lub usługę o wyższej wartości dodanej. To z kolei będzie pompować PKB. Rzecz jasna PKB nie jest najlepszym wskaźnikiem dobrostanu ani rozwoju cywilizacyjnego społeczeństw – ale bywa przydane w obliczu problemu generowanego przez kryzys demograficzny. Mianowicie tego, że będziemy potrzebować coraz więcej i więcej miliardów złotych ze składek.

Istnieje kilka sposobów pomnażania środków na ten cel. Możemy zwiększyć wysokość samych danin (opór), możemy podnosić wiek emerytalny, aby zwiększać podaż pracowników (jeszcze silniejszy opór), możemy aktywizować osoby bierne zawodowo (na przykład z niepełnosprawnościami, lecz zdolne do wykonywania pracy), możemy również postawić na migrację (co już się dzieje). Ale możemy też zwiększać wydajność pracy, a przez to również pensje. Im większe zaś pensje, tym większe płacone składki. No a zwiększanie wydajności pracy wydaje się domeną AI.

Oczywiście to wszystko nie oznacza, że cały system się idealnie zbilansuje; że utratę dochodów publicznych z pracy utraconej przez demografię i technologię pięknie wypełnimy zwiększoną dzięki AI wydajnością. Na wszystkie gospodarcze procesy powinniśmy jednak patrzeć bardziej holistycz-

nie. W skomplikowanej rzeczywistości społecznej wiele rzeczy dzieje się naraz. I wiele procesów na siebie wzajemnie oddziałuje – niektóre się wzmacniają, inne się wygaszają. Do tego mamy trochę „pokręteł”, którymi możemy wiele z tych procesów regulować. No i są jeszcze tzw. czarne łabędzie – czyli nieprzewidziane wydarzenia zmieniające stan gry, niespodziewane punkty zwrotne, na przykład pandemia koronawirusa czy gigantyczny wybuch wulkanu, jak ten z 1815 roku, kiedy indonezyjska Tambora zasnuła niebo nad planetą na długie miesiące, wywołując „rok bez lata”, katastrofalny spadek plonów i głód od Europy po Azję.

Całkiem więc możliwe, że choć oba scenariusze osobno prowadzą do nieciekawych konsekwencji, będą na siebie oddziaływać „łagodząco”.

Bez wątpienia najgorzej byłoby puścić wszystko na żywioł. Powinniśmy już dzisiaj myśleć o regulacjach AI, by nie powtórzyć błędu bierności, który popełniliśmy, kiedy był czas, aby regulować social media. Co skończyło się polaryzacją polityczną, manipulacjami wyborczymi Rosji (a niewykluczone, że i Chin) w czołowych demokracjach świata mocarstwa oraz pogorszeniem się zdrowia psychicznego całego pokolenia.

Napisano o tym niejeden tekst. Oby podobnych – w duchu „mądry *Homo sapiens* po szkodzie”, z podobną wyliczanką zaniechań i ich katastrofalnych skutków, tyle że w odniesieniu do niekontrolowanego rozwoju AI – nie pisała już sztuczna inteligencja. ●

• Właśnie ukazała się książka **„Ile trzeba zarabiać, żeby być szczęśliwym. Oraz 12 innych pytań o ekonomię i naszą przyszłość”** – dostępna w dobrych księgarniach oraz w formie e-booka na Publio.pl – w której Kamil Fejfer i Łukasz Komuda opowiadają o problemach współczesności. Czy ZUS wkrótce upadnie? Dlaczego na świecie rodzi się coraz mniej dzieci? Dlaczego uważamy, że Polska zmierza wprost do piekła, skoro od dekad w naszym kraju poprawia się niemal wszystkim? Od czego zależą nasze pensje? Czy sytuacja mieszkaniowa jest tak zła? To tylko niektóre z setek pytań, na które autorzy szukają odpowiedzi, starając się wyjść poza bańki informacyjne.



Kraj/34349518



Angela Merkel

Wolność. Wspomnienia 1954–2021

Autobiografia jednej z najbardziej wpływowych kobiet świata

Polemika Związku Banków Polskich z tekstem o frankowiczach

Ważny jest punkt siedzenia

Opisane przypadki osób, których rata kredytu wzrosła znacząco i sprawiała trudności związane z obsługą zadłużenia, z pewnością miały miejsce. Trudno jednak zgodzić się z przekazem, że miały charakter masowy.

Tomasz Pawlonka, dyrektor Zespołu Badań i Analiz Związku Banków Polskich

Obraz świata malowany przez red. Edytę Brylę w tekście „Złość złotychkowiczów” (GW z 23 listopada 2024), w którym frankowicze zostali skrzywdzeni i oszukani przez banki, jest nieuczciwy i fragmentaryczny. Wynika on ze stronniczości, uproszczeń i pomijania faktów, które dla kredytobiorców walutowych są niewygodne. Warto pamiętać, że frankowicze przez wiele lat zyskiwali finansowo na niższych ratach, dziś z kolei są beneficjentami wyroków zasądających darmowe kredyty.

Klienci woleli kredyty frankowe

Hipoteczne kredyty walutowe, udzielane w latach 2005-2012 stanowiły odpowiedź sektora bankowego na ówczesny bardzo wysoki popyt na kredyty mieszkaniowe. Oferta kredytów złotych była wówczas mniej atrakcyjna dla klientów, ze względu na wciąż wysokie wtedy stopy procentowe – w latach 2005–2012 stopa referencyjna oscylowała przecież na poziomie 4-6 proc. Po dodaniu do stopy WIBOR rynkowej marży, całkowite oprocentowanie kredytu zbliżało się niemal do poziomu 10 proc., co dla większości Polaków było już poziomem zaporowym.

Alternatywą dla takiego stanu rzeczy były kredyty walutowe za cenę znikomego wówczas ryzyka kursowego, kurs CHF/PLN pozostawał względnie stabilny przez dłuższy czas, poza tym wszyscy uczestnicy rynku liczyli na szybkie przystąpienie Polski do strefy euro i jeszcze większe ustabilizowanie kursu wymiany i obniżenie oprocentowania kredytu. W latach 2005-2012 LIBOR 3M oscylował na poziomie od 0,1 proc. do 2,8 proc. W tym samym czasie WIBOR 3M wahał się od 4,5 proc. do 6,5 proc. Zaciąganie niższej oprocentowanego kredytu walutowego, nawet przy wahaniami kursów walutowych, przez całe lata pozwalało na wyraźne obniżenie kosztu obsługi kredytu.

Często też pozwalało na uzyskanie kredytu w kwocie, która nie byłaby dostępna w kredycie złotowym. Ponieważ rata obliczana przez bank na etapie udzielania kredytu była wyraźnie niższa w przypadku kredytu walutowego niż złotowego. W konsekwencji zdolność kredytowa kredytobiorcy (liczona jako relacja przewidywanej raty do osiąganego dochodu) była w przypadku kredytu walutowego wyższa niż przy kredycie złotowym. Kredytobiorcy walutowi mogli zatem pozwolić sobie na zaciąganie wyższego kredytu, a w konsekwencji na zakup droższego mieszkania. Tak też robili. Nawet po spełnieniu przez banki wymogów ostrożnościowych przy badaniu zdolności kredytowej dla kwoty 20 proc. wyższej od wnioskowanej – różnica oprocentowania była tak wysoka, że zdolność kredytowa dla kredytu walutowego była znacznie wyższa.

Frankowicze płacili mniej

Przyjmując założenie, że dwóch kredytobiorców zaciągnęło kredyt w listopadzie 2009 r. – jeden 300 000 zł, zaś drugi w analogicznej kwocie, ale w CHF (108.609,08 CHF) na 15 lat – uwzględniając spread walutowy 1 proc. i marżę banku dla obydwu kredytobiorców 2 proc., pierwsza rata dla kredytu walutowego była o blisko 23 proc. niższa od raty kredytu w PLN. W ocenie kredytobiorców walutowych było to w porządku w stosunku do kredytobiorców złotych, którzy nie byli gotowi na podjęcie (mało prawdopodobnego, jak się wówczas wydawało) ryzyka kursu walutowego i uznawali, że będą zaciągali kredyt w takiej walucie, w jakiej zarabiają.

Gdyby utrzymać WIBOR 3M, LIBOR 3M oraz kurs CHF/PLN na poziomach z dnia zaciągnięcia kredytu – okazywało się, że kredyt walutowy miał być o blisko 65 proc. tańszy niż złotowy. Dlaczego? Konstrukcja kredytu annuitetowego, przy niskich kosztach związanych z ratą odsetkową (stawka LIBOR była niższa niż WIBOR), z założenia pozwalała na szybszą spłatę kapitału. I taki stan rzeczy mógłby być kontynuowany, gdyby nie wahania stóp procentowych (pociągające za sobą zmiany stawek referencyjnych) oraz niemożliwe do przewidzenia wahania kursów walutowych, bezpośrednio spowodowane nieoczekiwaną decyzją szwajcarskiego banku centralnego.

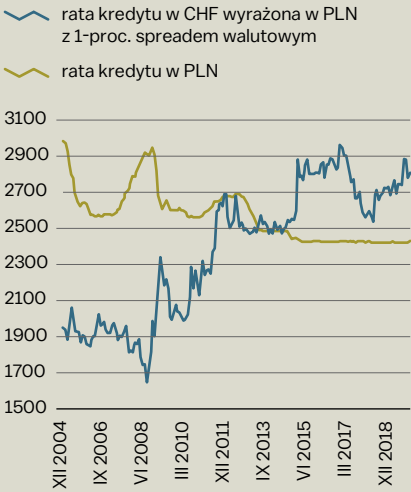
Co miał w głowie kredytobiorca, który w 2009 roku zaciągał kredyt walutowy? Przede wszystkim perspektywę doświadczeń ówczesnych kredytobiorców, którzy spłacali wyraźnie niższe raty i którym kapitał do spłaty topniał również dlatego, że złoty zyskiwał na wartości. Mieli doświadczenie, z którego wynikało, że po 5 latach obsługi kredytu kredytobiorca walutowy spłacił już 28 proc. kapitału, zaś złotowy tylko 22,6 proc. (różnica około 15,5 tys. zł na korzyść walutowego) i perspektywę dalszego umacniania się polskiej waluty.

Porównajmy teraz kredyty udzielone na kwotę 300 tys. PLN i drugi o równowartość tej kwoty wyrażonej w CHF o okresie 15-letniej spłaty, które zaciągnięte zostały w listopadzie 2004 r., uwzględniając spread walutowy 1 proc. oraz marżę banku dla obydwu kredytobiorców 2 proc. Okazuje się, że nawet mimo wahań kursów walutowych i zmiany stóp procentowych, w całym okresie życia kredytu to kredyt walutowy był o 7,28 proc. tańszy od złotowego. A zatem przez prawie dekadę rata takiego kredytu walutowego (wyrażona w PLN) była niższa od raty kredytu złotowego. W tej sytuacji kredytobiorcy walutowi mogli stwierdzić: „choć w drugiej części okresu spłaty kredytu płaciłem ratę o około 450-500 zł wyższą niż kredytobiorca złotowy, przez blisko 10 lat moja rata była o około 550 zł niższa. Suma spłat była o 33,6 tys. zł niższa niż gdybym wziął wówczas kredyt złotowy”.

Czy podejście takie jest sprawiedliwe? Czy wówczas kredytobiorcy złotowi powinni byli wytaczać procesy, bo podjęli mniej opłacalną decyzję? Jak w tej sytuacji czują się ci, którzy w sumie zapłacili o 7,3 proc. wyższe raty i dowiadują się, że dysproporcja ta zwiększy się jeszcze bardziej, bowiem kredytobiorca walutowy, mimo iż skorzystał na kredycie walutowym, żąda jeszcze zwrotu pobranych odsetek? Co gorsze – roszczenie kredytobiorcy walutowego zaspokajane jest, przynajmniej w części, na koszt kredytobiorcy złotowego. I deponenta – często zwykłego Kowalskiego. I z budżetu państwa.

Z pewnością punkt widzenia zależy od punktu siedzenia. Wydaje się jednak, że ma to niewiele wspólnego ze sprawiedliwością.

Kredyt we frankach i złotych zaciągnięty na 15 lat



© GAZETA WYBORCZA
ŹRÓDŁO: ZWIĄZEK BANKÓW POLSKICH

Niechciana pomoc

Opisane przez red. Brylę przypadki osób, których rata kredytu wzrosła znacząco i sprawiała trudności związane z obsługą zadłużenia, z pewnością miały miejsce. Gdy dodamy do tego całą masę życiowych okoliczności takich jak choroby, rozwody, utrata pracy – mamy przepis na katastrofę. Trudno jednak zgodzić się z jednostronnym przekazem płynącym z lektury artykułu, że tego typu przypadki miały charakter nagminny, masowy.

Ale i w opisanych w artykule dramatycznych przypadkach nie są to sytuacje bez wyjścia. Kredytobiorcy, mający trudności z obsługą zadłużenia, mogli i mogą skorzystać ze wsparcia w ramach stworzonego w 2015 r. Funduszu Wsparcia Kredytobiorców. Fundusz ten, powołany z inicjatywy i na koszt sektora bankowego, wspiera kredytobiorców spełniających obiektywne warunki do skorzystania z takiego kredytu (a zatem, jak sądzę, rozwiązałby trudności większości osób opisanych w artykule). Inicjatywa powołania tego funduszu skierowana była właśnie do tych kredytobiorców walutowych, którzy ucierpieli wskutek uwolnienia przez szwajcarski bank centralny kursu CHF w styczniu 2015 r. Dlaczego kredytobiorcy ci nie zgłosili się do niego? Czyżby w gruncie rzeczy nie byli w obiektywnie złej sytuacji finansowej i nie spełniali warunków uzyskania wsparcia?

Analogicznie jak w przypadku wakacji kredytowych, wsparcie powinno być adresowane do osób spełniających uzgodnione, obiektywne kryteria, które rzeczywiście mają trudności z obsługą swojego zadłużenia. Tak jak w przypadku wakacji kredytowych, zdecydowana większość beneficjentów uzyskała wsparcie, które posłużyło do optymalizacji finansowej (głównie nadpłaty kredytów), tak i w przypadku kredytów walutowych – pomoc narzucana orzecznictwem sądowym kierowana jest bezrefleksyjnie szerokim strumieniem też do osób, które skorzystały na kredycie walutowym, ale mają jeszcze apetyt na dodatkowe korzyści.

Pan płaci, pani płaci...

Skoro są ci, którzy mogą skorzystać i korzystają, są też i tacy, którzy za to płacą. Kto zatem płaci? Kim są ci szkodrzy darczyńcy, którzy być może bezwiednie składają się na dodatkowe zyski wąskiej grupy kredytobiorców walutowych? To szeroko rozumiani obecni kredytobiorcy i deponenti środków. Dlaczego nie protestują? Bo są rozproszeni i bardzo często nie wiedzą, że to z ich środków pokrywane są odszkodowania dla kredytobiorców waluto-

wych. Są każdego dnia podsukbywani. Tak, żeby się nie zorientowali. W sumie jednak darczyńców jest na tyle dużo, aby stosunkowo wąska grupa beneficjentów – kredytobiorców walutowych – miała dodatkowe kilkadziesiąt (a niekiedy kilkaset) tysięcy złotych dodatkowego benefitu, np. na kolejne mieszkanie.

Jako społeczeństwo składamy się na zyski kancelarii, których rentowność (ROE) w okresie sporów prawnych wzrosła z około 8 proc. do ponad 50 proc., których zyski od 2018 r. do 2023 r. wzrosły 8-krotnie. Czy jesteśmy gotowi dalej dotować kredytobiorców walutowych? Robimy to już od jakiegoś czasu. Do końca 2023 r. zrzuciliśmy się w kwocie 75 mld zł, zaś uwzględniając kończący się 2024 r., jest to już ponad 90 mld zł. Zapłacili za to deponenti, ale tylko troszkę... Oprocentowanie depozytów ogółem mogłoby być o 0,92 pp. wyższe niż obecne (zaś w przypadku lokat terminowych o 2,06 pp.).

Zapłacili za to obecni kredytobiorcy, którzy do każdego kredytu mają wkalkulowany koszt wsparcia dla kredytów walutowych. W jakiej wysokości? Nawet gdyby jedynie połowa kosztów ryzyka prawnego kredytów walutowych przeznaczona została na obniżenie oprocentowania obecnych kredytów, kredyt byłby o około 0,7 pp. tańszy. Niby niewiele, ale dla kredytobiorcy, który zaciągnął kredyt w 2023 r. oznaczałoby to ratę, o około 214 zł niższą. I przede wszystkim znacznie wyższą dostępność kredytową dla potencjalnych kredytobiorców. Oznacza to, że o ponad 10,7 proc. kredytobiorców więcej miałoby szansę na zaciągnięcie kredytu, której nie ma dziś – ponieważ uwzględniając w cenie kredytu zrzutkę na benefit dla kredytobiorców walutowych, nie mają wystarczającej zdolności kredytowej dr

Stratny jest też wreszcie budżet państwa. Wysokość rezerw utworzonych przez banki do końca 2024 r. szacowana jest na ok. 90 mld zł (75 mld zł do końca 2023 r.). Przy bieżącej stopie opodatkowania oznacza to uszczerbek we wpływach z tytułu podatku CIT płaconego przez banki w wysokości około 20 mld zł. To ok. 10 proc. rocznych nakładów na polską służbę zdrowia w 2024 r. To około 65 proc. rocznych wydatków na szkolnictwo wyższe. Wreszcie jest to blisko 4-krotność kosztu zamrożenia cen energii dla gospodarstw domowych planowanego na 2025 r.

Czy jako społeczeństwo jesteśmy gotowi kontynuować tę hojną, niczym nieskrępowaną szczodrość? Czy nie mamy jako społeczeństwo innych potrzeb? Pomagajmy tym, którzy pomocy potrzebują. Wspierajmy umowy pomiędzy kredytobiorcami walutowymi a bankami, które są rozwiązaniem kompromisowym i sprawiedliwym. ●

Odpowiedź autorki:

Pan dr Pawlonka pisze o zaletach kredytów frankowych, ale nie wspomina, że wady były tak poważne, że sądy niemal w 100 proc. umowy kredytowe unieważniają. Stosuje też argument siły – nawet jeśli bank musi wypłacić odszkodowanie, to do przejęcia tego obciążenia zmusi swoich klientów, kredytobiorców złotych i właścicieli depozytów. Nieuprawnione jest nazywanie wyroków korzystnych dla konsumentów pomocą. Znowu, sądy unieważniały umowy nie filantropijnie, ale dlatego, że banki rażąco naruszały przepisy prawa, unijnego i polskiego. W latach 2018-23 zyski netto banków wzrosły o 42 proc.

Edyta Bryła

NADCHODZI DRUGI JAN PAWEŁ II



Kardynał
Matteo
Zuppi

ur. 1955

• przewodniczący konferencji episkopatu Włoch, jeden z najbliższych współpracowników Franciszka. Jako umiarkowany liberał gwarantuje kontynuację jego reform. Na jego niekorzyść działa właśnie to - oraz symetryzujące, zdaniem krytyków, postępowanie jako papieskiego przedstawiciela w sprawie wojny w Ukrainie



Kardynał
Gérald
Cyprien
Lacroix

ur. 1957

• - prymas Kanady, zaangażowany w reformatorską misję Franciszka. Był oskarżony o molestowanie seksualne nastolatki, oczyszczenie z zarzutów wzmocniło jego pozycję. Kolegom kardynałom podoba się jego przystępny język i otwartość na ludzi - konserwatyści mogą przełknąć jego liberalne poglądy, bo robiłby dobry PR Watykanowi.



Kardynał
Peter
Erdő

ur. 1952

• - prymas Węgier, twardy konserwatysta: nie chce, by rozwodnicy, którzy weszli w nowe związki, przystępowali do komunii, jest przeciw większej roli kobiet w Kościele i włączaniu w jego życie aktywnych homoseksualistów. Zwolennik mszy trydenckiej, gdzie kapłan stoi przodem do ołtarza. Podobno nie jest zainteresowany władzą - i to może przemawiać za nim.



Kardynał
Peter
Turksona

ur. 1948

• Ghańczyk, Wielki Kanclerz Papieskiej Akademii Nauk. Jego matka była metodystką, ojciec katolikiem, wujek muzułmaninem, on jest katolickim konserwatystą - mówił, że pedofilia ma związek z homoseksualizmem, choć ostatnio łagodzi stanowisko wobec osób LGBT. Mimo takich poglądów Franciszek mianował go szefem Papieskiej Akademii Nauk Społecznych.



Franciszek jeszcze żyje, a konklawe już trwa. Kardynałowie tęskniący za papieżem ekumenicznym w słowach, paternalistycznym i konserwatywnym w czynach nie próżnują.

Artur Nowak

Ołośne „Konklawe” Edwarda Bergera na podstawie powieści Roberta Harrisa to próba spojrzenia za kulisy wyboru papieża. Pisarz i reżyser przekonują, że w doskonale zorganizowanym związku zawodowym kardynałów nie ma mowy o zaufaniu, za zamkniętymi drzwiami trwa bezwzględna walka o władzę. A jak jest naprawdę?

Naprawdę to konklawe już trwa od wielu miesięcy, jeśli nie lat.

Pomimo sugestii, że wskutek postępu medycyny instytucja emerytowanych papieży ma szansę się upowszechnić, Franciszek na początku roku dał jasno do zrozumienia, że rezygnację głów Kościoła nie powinny stać się „modą”. Czyli abdykujący Be-

nedykt XVI był wyjątkiem potwierdzającym regułę, że pontyfikat następców Świętego Piotra ma kończyć ich śmierć. Franciszek zaznaczył, że nie chce być pochowany w bazylice św. Piotra. Wolalby spocząć w bazylice Santa Maria Maggiore. A więc zamierza doczekać końca na tronie papieskim.

Ale przecież kilka miesięcy po swoim wyborze papież z Argentyny złożył na ręce urzędnika watykańskiego akt warunkowej rezygnacji, która znajdzie zastosowanie w sytuacji choroby, która uczyni go trwale nieprzytomnym i niezdolnym do podejmowania decyzji. Jak stwierdził z typową dlań przewrotną skromnością: papież, którzy rezygnują, są pokorni.

Wydaje się to rozsądne. Kościół jako globalna, rozbudowana, hierarchiczna korporacja nie może sobie pozwolić na słabego i schorowanego przywódcę.

Polski papież miał na ten temat inne zdanie. W latach 90. dopadł go parkinson. Mimo to się nie oszczę-

dzał. Współpracownikom, którzy napominali, by o siebie dbał, miał mówić: „Si crollo, crollo” („Jeśli upadnę, to upadnę”). W ostatnich trzech latach przed śmiercią w 2005 r. występował publicznie tylko w pozycji siedzącej, w zasadzie stracił umiejętność komunikacji, a to, co mówił, było zwyczajnie niezrozumiałe. Działając w sposób oczywisty na szkodę Kościoła, wbrew wszelkiej logice budził zachwyt, bo - mówiono - przekuwał ułomność i cierpienie we wzór. Jak wspominał papieski sekretarz kardynał Dziwisz, zgorzchniony odejściem jego następcy Josepha Ratzingera, Jan Paweł II do końca „nie zszedł z krzyża”.

Benedykt XVI obserwował poprzednika oraz skutki jego niedomagań, które sprawiły, że stery w Watykanie przejął „kapciowy” - i w 2013 roku, powołując się na słabe zdrowie fizyczne i psychiczne, stał się pierwszym papieżem od 600 lat, który zrezygnował z urzędu. Po dziś dzień wielu wątpi w to, czy przyczy-

ny „zejścia z krzyża”, które podał Benedykt, są prawdziwe. Niektórzy twierdzą, że wykończyło go trawiące kurie lobby homoseksualne, według innych ten intelektualista po prostu nie czuł się na siłach, by rządzić skonfliktowanymi koteriami w Watykanie.

Prekonklawe na dworze papieskim trwa od lat. I nie ma przesady w porównaniu zmagania stronnictwa postępu i konserwy do walki buldogów pod dywanem. Bo choć Franciszek mówi, że Kościół, który dzieli się na prawicę i lewicę, zapomina o Bogu, to sam daje powody do podziału. Pomijając już jego stosunek do blichtru, któremu przeciwstawił prostotę i ubóstwo, co raz uwieliwiających złoto i przepych purpuratów, pokazał jasno, że nie ma zamiaru udawać, że świat Kościołowi nie odjechał.

Zaczęło się od adhortacji „Amoris laetitia”, w której rozwodnikom żyjącym w powrotnych związkach dał zielone światło na przystępowanie do komunii. To papież, który nie nazywa już zjednoczonej Europy cywilizacją zła, mówi, że Bóg kocha gejów, skoro ich stworzył, i jasno potępia karę śmierci. Trudno się dziwić, że na wielu kardynałów z zaciągu dwóch poprzednich pontyfikatów padł błąd strach.

Rok temu kardynał Gerhard Müller jasno stwierdził, że część wypowiedzi Franciszka stanowi – uwaga – „herezję”. Kiedy papież zauważył, że wszystkie religie „prowadzą do Boga”, Raymond Burke, jeden z najważniejszych amerykańskich kardynałów, a zarazem zajadły przeciwnik Franciszka i jego liberalnej, ekumenicznej polityki, natychmiast odgryzł się zwierzchnikowi: Niewierność rodzi podziały, błędy i przemoc.

Oponenci Franciszka nie próżnują. Kardynałowie tęskniący za nowym Janem Pawłem II – ekumenicznym w gestach, ale w kwestiach obyczajowych i społecznych konserwatywnym niczym wiejski proboszcz – zrozumieli, że pokątne spiski to za mało, żeby cokolwiek zdziałać. Starają się więc zaistnieć na forum publicznym.

Ma to kilka zalet – nie tylko pokazują tradycjonalistom i konserwatydom na całym świecie, że „papież komunista” nie mówi w imieniu całego Kościoła, ale też pozwala policzyć szable i zachęca do działania podobnie myślących, lecz niewychylających się purpuratów. I wysłała sygnał potencjalnym sojusznikom w rodzaju alt-rightowych polityków i ugrupowań. I to, trzeba przyznać, całkiem nieźle im wychodzi.

Najnowszy programowy tekst opozycji wysłany do mediów w marcu, w II. rocznicę wyboru Franciszka, podpisany „Demos II”, rozwija i wzmacnia tezy z tajnej notatki z 2022 roku autorstwa zmarłego niedawno australijskiego kardynała George’a Pella.

Pell, jeden z liderów opozycji, nazwał pontyfikat Franciszka „katastrofą”. Co mu się nie podoba u Argentyńczyka? Otóż to, że kiedyś obowiązywała zasada: Roma locuta, causa finita (Rzym zabrał głos, sprawa zakończona). Franciszek wprowadził inną zasadę, która spowodowała chaos: Roma loquitur, confusio augitur – Rzym zabiera głos, zamieszanie narasta. Pellowi i jego sympatykom chodziło o ścieżkę synodalną, którą najprościej można by nazwać demokracją i decentralizacją – zapoczątkowali ją i pojęcie to wylansowali biskupi z Niemiec, w większości progresywni, którzy zaprosili świeckich wiernych do rozmów o nowej wizji i nauce Kościoła. Opracowano m.in. zmiany w nauczaniu o homoseksualistach i podważono celibat.

Zakwestionowano też watykańską politykę zagraniczną, która zaniechała wspierania praw człowieka w Wenezueli, Hongkongu i Chinach oraz dwuznacznie odnosiła się do wojny w Ukrainie, zrównując w oczach wielu agresora z ofiarą (choć watykańscy dyplomaci powtarzają, że zadaniem papieża jest zwracanie uwagi na wszystkie ofiary wojny, również po stronie napastnika).

„Demos” to z greckiego „lud”. Kto kryje się za „ludem”, ujawnił włoski dziennikarz Sandro

Magister. Czyżby papież wychował na pierśi żmiję? Wszak to Franciszek powierzył australijskiemu hierarsze zarządzanie finansami Watykanu. Pell miał wyczyścić stajnię Augiasza, jaką przed dekady był bank watykański. Powołanie komisji do całościowego prześwietlenia watykańskich finansów było jedną z pierwszych decyzji nowego papieża zaraz po elekcji.

Komisja na wstępie stwierdziła, że nikt nie kontroluje przepływów finansowych w państwie kościelnym. Od razu, w 2013 roku, Franciszek nakazał natychmiastowe zablokowanie blisko czterystu kont w banku watykańskim, w tym należących do postulatorów w procesach beatyfikacyjnych i kanonizacyjnych. „Okradali nawet świętych” – komentowali Gianluigi Nuzzi i Emiliano Fittipaldi, dziennikarze, w których ręce wpadły tajne dokumenty z prac komisji, choć nie powinny się wydostać za Spizową Bramę. Jak się bowiem okazało, u speców od procesów prowadzących na ołtarze świętość można było kupić.

W 2021 r. stacja RAI 3 wyemitowała dokument „Sterco del diavolo” („Łajno diabła”). Telewizyjny raport rekonstruuje inwestycje Sekretariatu Stanu w ostatnich latach, poczynając od nierentownego zakupu dawnych magazynów Harrodsa w Londynie za ponad 400 mln euro. Za tym, tak jak za wieloma innymi nieprzejrzystymi inwestycjami, stali pozbawieni skrupułów biznesmeni, czcigodni pralaci rzymskiej kurii i pogrążone w zakulisowej wojnie domowej włoskie służby. W wątku nas interesującym bohaterem jest pralat Bogusław Turek, który za 80 tys. euro był gotów udrożnić proces beatyfikacyjny zamordowanego w 1978 r. przez Czerwone Brygady włoskiego premiera Aldo Moro. Postulator przewodu Nicola Giampaolo niechętnie, i tylko pod naciskiem dziennikarza, przyznał, że to Polak zaproponował mu tę sumę. Na razie Giampaolo został odwołany z funkcji postulatora fazy diecezjalnej.

Korupcja przyspieszyła – wydano na to milion euro – proces księdza Michaela McGivneya, założyciela wpływowego i bogatego stowarzyszenia Rycerzy Kolumba. W procesie beatyfikacyjnym Franciszki Any de los Dolores zdeponowano na koncie blisko pół miliona euro. Około 116 tys. euro zebrano na beatyfikację Leonii Milito. Większość tych środków trafiła ostatecznie do funduszy inwestycyjnych.

Franciszek podpadł, bo całą buchalterię przy nowych przewodach beatyfikacyjnych i kanonizacyjnych poddał kontroli Watykanu, i to już od wstępnego etapu diecezjalnego. A jeszcze bardziej podpadł, gdy ukroczył – „proporcjonalnie do wykonanej pracy” – wypłacanie bez kontroli honorariów postulatorom, którzy potrafili wyceniać sami siebie na dziesiątki tysięcy euro.

Ujawniono też, że zaledwie dwa z każdych 10 euro ze świętopietrza szło na pomoc ubogim, a reszta latała dziury w papieskim budżecie.

Pell, sprawny administrator, miał ten bałagan ogarnąć. Jego doktrynalny konserwatyzm nie przeszkadzał papieżowi uważającemu, że spory nie podważają autorytetu Kościoła, a raczej mu służą.

Lecz Australijczyk zaczął krytykować Franciszka, ukrywając się za anonimami. Zupełnie inaczej niż kardynał Walter Kasper czy arcybiskup John Quinn, którzy otwarci wadzili się z papieżami Janem Pawłem II i Benedyktem XVI. Sposób postępowania Pella – zauważali watykańscy – to raczej poziom sfrustrowanego arcybiskupa Carlo Marii Viganò, byłego nuncjusza w USA, który jako niespełniony kardynał wyspecjalizował się w obrzucaniu błotem papieża, wchodząc w rolę groteskowej ikony kościelnej prawicy.

Franciszek, puszczając w niepamięć różnice zdań i metody zmarłego kardynała, oboje stanął nad jego trumną, by oddać mu hołd przed wyekspediowaniem ciała do Australii. Jak ujawnił David Pell, brat kardynała, w ojczyźnie odkryto, że ciało hierarchy potraktowano bez elementarnego szacunku: trup miał mieć złamany nos i spoczywać w trumnie bez butów i ubrania. To dowód na to, jak zajadła – i mimo mitów o ma-



FOT. REUTERS/VARA NARDI

**Artykuł grupy
konserwatywnych
kardynałów podpisany
„Demos II” idzie daleko:
Franciszek podzielił Kościół.
A ten który dzieli, to diabolus**

kiawelicznym chłodzie hierarchów emocjonalna – potrafi być wojna buldogów pod watykańskim dywanem. Bo przecież Pell był w dużej mierze zneutralizowany wiele lat przed tym, gdy zamknęło się nad nim wieko trumny.

Kiedy w 2017 r. kardynał został oskarżony o molestowanie seksualne nieletnich, po Watykanie krążyła pogłoska, że któryś z wysoko postawionych duchownych przekupił oskarżycieli w Australii, by wrobić Pella. Wyglądało to na typową próbę wybielenia przestępcy seksualnego. Franciszek urlopował Australijczyka – aż włoskie media odkryły, że trop prowadzi do kardynała Angelo Becciu, zasłużonego watykańskiego dyplomaty, który przełał na konta w Australii 700 tys. euro. Gdy Pella uniewinniono, zdążył odsiedzieć wiele miesięcy w więzieniu.

Dlaczego Becciu chciał się go pozbyć? Otóż tropiący nieprawidłowości w wydatkach Pell ustalił, że rozrutny kardynał zasilal watykańskimi środkami konta dwóch braci oraz wydawał je na prywatne inwestycje i luksusowe posiadłości w Londynie. Po tem okazało się, że niemalże sumy zdefraudowała kochanka Becciu. Pell w 2016 r. żądał audytu w całym Watykanie, Becciu się nie zgodził. Gdy został zdemaskowany, watykański wymiar sprawiedliwości skazał go na wieloletnie więzienie. W międzyczasie w groteskowym procesie domagał się zadośćuczynienia od włoskich mediów za to, że pogrzebały jego szanse na tiarę. Bo był jednym z papabili.

Artykuł podpisany przez „Demos II” idzie dalej niż Pell w anonimowych publicystykach: Franciszek podzielił Kościół, jego nauczanie to zdrada, odejście od rdzenia, które utrzymywało dyscyplinę. A ten, który dzieli, to diabolus. Jeśli Kościół ma przetrwać, następny papież musi odrzucić „dwuznaczność”.

Watykańscy obstawiają, że list może pochodzić od jednego z żalobników styczniowej mszy w intencji Pella, na którą przybyli amerykańscy kardynałowie Raymond Burke, James Harvey i Edwin O’Brien oraz niemiecki kardynał Gerhard Müller. Zwłaszcza Burke i Müller są w otwartym sporze z papieżem. Postrzegają synodalność, a więc de-

centralizację w Kościele zakładającą pozostawienie Kościołom lokalnym większej samodzielnosci i „upodmiotowienie Ludu Bożego”, jako otwarcie furtki prowadzącej do schizmy.

Wtórnie im marzący o powrocie do żelaznej ortodoksji biograf Jana Pawła II Georg Weigel, który w wydanej w 2022 r. książce „Następny papież” krytykuje Franciszka zwłaszcza za wycofanie z centralizmu: „Następny papież musi działać na rzecz wzmocnienia jedności Kościoła w chwili, gdy jest ona zagrożona siłami odśrodkowymi wywołanymi się z otaczającej go popularnej kultury Zachodu oraz obecnymi w samym Kościele”.

Co jeszcze znajdziemy u „Demos II”? Papież „nie może zmieniać kościelnej doktryny, a także nie może w sposób arbitralny wymyślać ani modyfikować dyscypliny Kościoła”. A nauczanie nie jest kwestią sondażu opinii ani nawet poglądem ochrzczonej większości. Pochodzi jedynie od tych, którzy prawdziwie wierzą i aktywnie praktykują lub przynajmniej szczerze starają się praktykować wiarę i nauki Kościoła. Demontaż rzymskiego Instytutu Jana Pawła II dla Studiów nad Małżeństwem i Rodziną oraz marginalizacja tekstów takich jak potępiająca relatywizm encyklika „Veritatis splendor” sugerują „wywyższenie współczucia i emocji” kosztem rozumu, sprawiedliwości i prawdy. Dla wspólnoty wyznaniowej to głęboko niebezpieczne. Trzeba wrócić na stare tory.

No ale żeby te plany wcielić w życie, potrzeba papieża, który będzie chciał zrobić wiele kroków wstecz.

Blisko rok temu gruchnęła wiadomość, że Franciszek ma zamiar majstrować przy procedurze wyboru nowego papieża. Katolicki portal The Pillar podał, że kardynał Gianfranco Ghirlanda, ekspert prawa kościelnego blisko związany z Watykanem, otrzymał od papieża zadanie opracowania zmian. Rozważano prekonklawe, na którym kardynałowie uprawnieni do głosowania rozmawialiby na temat nowego papieża. Plotki głosiły, że Franciszek chciałby dać możliwość udziału w wyborze papieża świeckim. „Nic o tym nie wiem, wszelkie takie sugestie są zwykłym kłamstwem” – powiedział kardynał Ghirlanda. Rewelacjom zaprzeczył też rzecznik Watykanu Matteo Brunni.

Prasa i spece od Watykanu spekulują nie od dziś, kto może zastąpić Franciszka. Jednym z faworytów jest kardynał Matteo Zuppi. Po kilkuset latach niepodzielnego rządów Włoch wypadł z gry o tron na czas aż trzech pontyfikatów. Na swojego papieża czekają już blisko 50 lat. I mogą się doczekać, bo za przewodniczącym konferencji episkopatu Włoch przemawia umiarkowanie oraz gwarancja kontynuacji reform Franciszka, ale w ostrożniejszej – czy bardziej dyplomatycznej – formie.

Ale to, co przemawia za Zuppiem, jednocześnie go obciąża. Jest jednym z najbardziej zaufanych dyplomatów Franciszka, jego specjalnym przedstawicielem w sprawie wojny w Ukrainie. Napisał przychylny wstęp do włoskiego wydania książki „Budując mosty” jezuita Jamesa Martina, znanego z ciepłych relacji z mniejszościami seksualnymi. Zaleca „nową postawę duszpasterską, której musimy szukać razem z naszymi braćmi i siostrami LGBT”. A o jego pragmatycznej otwartości może świadczyć opinia wystawiona mu przez przedstawiciela instytucji znienawidzonej, demonizowanej i tępionej przez Kościół przedsoborowy. Wielki Mistrz loży masonskiej zwanej Wielkim Wschodem Demokratycznym Włoch Gioele Magaldi, któremu kardynał udzielił słubu, stwierdził, że Zuppi „byłby bardzo dobrym papieżem”.

Z trzech stron – blok włoski stanowi obecnie około 20 proc. kolegium kardynalskiego. To jedna piąta głosów – solidarna i zwarta.

Innym kandydatem gwarantującym kontynuowanie reform jest kardynał Gérald Cy-

prien Lacroix z Quebecu. Jest zaangażowany w reformatorską misję Franciszka: „Zgadzam się z papieżem, że najważniejsza nie jest reforma struktur Kościoła, ale przemiana wewnętrzna jego ludzi. Musimy być bliżsi Ewangelii i żyć nią na co dzień. Mam podobne przekonania, ale on ma znacznie większe doświadczenie. Ja jestem dopiero początkującym”.

Hierarcha jakiś czas temu został oczyszczony z zarzutów o nadużycia seksualne i ten wizerunkowy triumf oraz status niemalże męczennika zwiększają jego szanse. Sprawa oskarżeń o skrzywdzenie nastolatki w końcu lat 80., z której wyszedł obronną ręką, umacnia jego kandydaturę jako kogoś zaprawionego w bojach. Kardynałom podoba się też jego prosty język i otwartość – niech sobie będzie postępowy, grunt, że gwarantuje podtrzymanie bliskiego zwykłym ludziom piarowego wizerunku papieża.

A Franciszek na niego stawia. Ich relacje zacieśniły się podczas wizyty papieża w Kanadzie w 2022 r. Rok później papież powołał go do papieskiej rady, z którą co kwartał omawia najważniejsze sprawy Kościoła.

Jeszcze niedawno na następcę Franciszka wielu komentatorów typowało przedstawiciela Filipin. W trakcie Narodowego Kongresu Eucharystycznego w Indianapolis z przyklejonym do twarzy łagodnym uśmiechem kardynał Luis Antonio Tagle domagał się od chrześcijan uwagi na migrantów, ubogich i zepchniętych na margines. To jeden z filarów programu pontyfikatu Argentczyka. Tagle nazywano „azjatyckim Franciszkiem”, jeszcze zanim papież sprowadził go w 2019 r. z Manili do Rzymu, aby służył jako prefekt Sekcji Ewangelizacji Dykasterii ds. Ewangelizacji.

Tagle ma wiele doświadczeń pozwalających mu zrozumieć świat. W USA studiował przez siedem lat. Rozumie mentalność Azjatów – z Chin pochodzi jego matka. Długo wydawał się uмиłowanym uczniem obecnego papieża. Ale pod koniec listopada 2022 r. papież nagle odsunął Tagle na bok. Chodziło o jego nieudolność – fatalna polityka personalna oraz tuszowanie nadużyć – kiedy zarządzał Caritasem.

Kandydatem konserwatystów będzie najpewniej budapeszteński kardynał Peter Erdő. On sam jednak woli się trzymać na uboczu i nie ma opinii kogoś zainteresowanego władzą, mimo że zrobił nieprawdopodobną karierę. Kardynałem został młodo, w wieku 51 lat, na konklawe w 2005 r. był najmłodszym głosującym. Trzy lata później został wybrany na przewodniczącego Rady Konferencji Episkopatów Europy. To może świadczyć o silnej pozycji w europejskim bloku kardynalskim.

Jego zastępcą w tym gremium był arcybiskup Stanisław Gądecki. Węgier i Polak mają wspólne poglądy na temat reform. Erdő nie chce, by osoby rozwiedzione miały prawo przystępować do komunii, o ile żyją w nowych związkach. Nie widzi powodów, by dać więcej praw kobietom w Kościele oraz przywrócić godność aktywnym homoseksualistom, których życie Kościół określa jako „nieuporządkowane”. To miłośnik mszy trydenckiej, która odeszła za pontyfikatu Franciszka w zapomnienie, i orędownik zbliżenia katolików z prawosławiem.

W grze o tron jest też kardynał Peter Turkson. W 2016 r. Franciszek mianował go szefem nowo utworzonej Dykasterii ds. Integralnego Rozwoju Człowieka. Pierwszy kardynał z Ghany dorastał w wieloreligijnym otoczeniu - jego matka była metodystką, ojciec katolikiem, a wujek muzułmaninem.

Wydawałoby się, że po takiej socjalizacji powinien być otwarty, choćby na tle twardego afrykańskiego duchowieństwa. Jednak jak wszyscy przedstawiciele afrykańskiego establishmentu katolickiego, Turkson jest konserwatystą. Potrafi wypalić, że pedofilia ma związek z homoseksualizmem.. Jednak jak wszyscy przedstawiciele afrykańskiego establishmentu katolickiego, Turkson jest konserwatystą. Potrafi wypalić, że pedofilia ma związek z homoseksualizmem. W 2013 r.

tłumaczył w CNN: „Tradycyjny afrykański system wartości ochraniał tamtejszą ludność przed takimi tendencjami. W większości społeczności homoseksualizm, a nawet jakiegokolwiek bliskie kontakty pomiędzy osobami tej samej płci są bardzo źle postrzegane. To kulturowe tabu chroni nasze społeczeństwo od wielu lat”. Jego nimb na prawicy trochę zbladł, gdy w zeszłym roku przyznał w BBC, że „osoby LGBT nie mogą być karane, ponieważ nie popełniły żadnego przestępstwa”.

W grudniu 2021 r. papież przyjął jego rezygnację z funkcji szefa Dykasterii ds. Integralnego Rozwoju Człowieka. Według komentatorów kardynał był zmęczony konfliktami w kurii, choć nieoficjalnie mówi się o wewnętrznym śledztwie w jego ministerstwie. Jednak Ghańczyk nadal jest uważany za kluczowego współpracownika papieża w kwestiach społecznych. W kwietniu 2022 r. Franciszek mianował go Wielkim Kanclerzem Papieskiej Akademii Nauk oraz Papieskiej Akademii Nauk Społecznych.

Innym faworytem obozu konserwatywnego w trakcie konklawe może być kardynał Robert Sarah. W porównaniu z Turksonem to absolutny beton.

Rozważano przedkonklawe, na którym kardynałowie uprawnieni do głosowania rozmawialiby na temat nowego papieża. Plotki głosiły, że Franciszek chciałby dać możliwość udziału w wyborze papieża świeckim

Gwinejczyk wyraził niezadowolenie, kiedy w 2016 r. Franciszek w Wielki Piątek obmył nogi muzułmance. W 2020 r. opublikował książkę – część napisał z Benedyktem XVI – o zagrożeniach dla celibatu. Od lat prowadzi w Afryce „misję obronną”, aby nie powtórzyła upadku bezbożnej Europy, w której szerzy się ideologia gender. Równouprawnienie bez względu na orientację i walkę o prawa rozrodcze kobiet porównuje do „islamistycznego fanatyzmu”. Na jego niekorzyść działa wiek – ma prawie 80 lat.

W spekulacjach dziennikarzy pojawia się kandydatura Fridolina Ambongo. To kardynał z Kinszasy, który przewodniczył zgromadzeniu szefów afrykańskich episkopatów. Stanął na czele afrykańskich hierarchów, którzy głośno odcięli się od watykańskiej deklaracji „Fiducia supplicans” zezwalającej na błogosławienie par homoseksualnych przez księży. Watykan uległ naciskowi i uznał, że kapłani w Afryce mogą odmówić błogosławienia związków jedнопłciowych.

Gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta – to przysłowie może się sprawdzić w przypadku kardynała Pietro Parolina. Jako watykański sekretarz stanu ma w Kościele władzę, która ustępuje jedynie papieżowi. Parolin zna świat i jako dyplomata od 30 lat poznaje różnorodne globalne i lokalne uwarunkowania Kościoła i wyzwania, przed jakimi stoi papieństwo. Ale choć dyskretny profesjonalista może zostać uznany za bezpiecznego, wręcz pożądanego człowieka środka wobec konfrontacji liberalów z konserwatystami, ma problemy wizerunkowe.

To, że dyplomacja watykańska nie ma dobrej prasy w związku z postawą wobec wojny w Ukrainie, kardynał mógłby jeszcze jakoś obejść, przypominając, gdy przyjdzie co do czego, że przecież to zmarły papież osobiście symetryzował i zabiegał o dobre relacje z rosyjską Cerkwią, a sekretariat stanu musiał realizować wizję szefa. Ale ustępstwa wobec Chin w sprawie mianowania biskupów kontynentalnych, wskutek których stali się wasalami partii komunistycznej, są już przypisywane osobiście Parolinowi.

Franciszek mimo kryzysów zdrowotnych ma jasny umysł. Choć zdarzało mu się zaniemóc, ani myśli oddawać stery. Dlatego jest wielce możliwe, że w najbliższym czasie pojawią się kolejni kandydaci. Bo pomimo ukutego przez watykanistów bon motu, że kto wchodzi na konklawe jako papabile, wychodzi z Kaplicy Sykstyńskiej jako kardynał, równolegle funkcjonuje inny: że papieża wybiera poprzednik.

Tę prawidłowość potwierdza historia najnowsza. Tak było w przypadku Ratzingera, którego namaścił, poprzez układ sił w kolegium kardynalskim papież Polak. Tak zwana grupa z Sankt Gallen usiłowała powstrzymać tę sukcesję. Tworzyli ją hierarchowie moderniści wyczekujący powrotu do ducha soboru, który zamroził Jan Paweł II – kardynał Carl Maria Martini z Mediolanu, Holender Paul Verschuren, biskup Helsinek, Francuz Jean Vilnet, biskup Lille, Austriak Johann Weber, biskup Grazu-Seckau, oraz dwaj Niemcy – kardynał Walter Kasper i biskup Karl Lehmann z Moguncji.

W kwietniu tego roku hiszpański dziennikarz Javier Martinez-Brocal usłyszał od Franciszka, że po śmierci papieża z Polski był namaszczoney przez tę grupę. Niekoniecznie chodziło o wybór kardynała z Argentyny kojarzonego z lewicową teologią wyzwolenia już w 2005 r. – frakcja liberalna zdawała sobie sprawę z tego, że na pontyfikat będący ucieleśnieniem wszystkiego, czego nie cierpiał Karol Wojtyła, może być za wcześnie – ale na zmuszeniu większości do wystawienia innego kandydata niż Niemiec. Przyszły papież nie był jednak tym zainteresowany. Jose Bergoglio uważał, że Benedykt XVI był naturalnym wyborem po Janie Pawle II, bo Kościół nie był gotów na papieża z Argentyny. Franciszek mówi, że sam głosował na Niemca.

Ale i tak w 2005 roku w grupie wyborców, których w większości powołał papież Polak, liberalowie byli słabą frakcją. A w dodatku zachowywali się, no cóż, jak liberalowie w świeckiej polityce. Charyzmatyczny i lubiany kardynał Martini, naturalny lider grupy St. Gallen, nie chciał zostać papieżem, choć uważano go za czołowego papabile. W 2002 r. poprosił o emeryturę i wyjechał na studia religijne do Jerozolimy.

Powodem rezygnacji nie było hamletyzowanie czy słabość, lecz parkinson, i w Watykanie komentowano, że Włoch wykazał się odpowiedzialnością, nie chcąc iść w ślady Jana Pawła II, który wykonńczony tą samą przypadłością nie radził sobie z rządzeniem. Lecz nie brakowało też głosów, że zmarnował niepowtarzalną okazję – nawet jeśliby choroba czyniła szybkie postępy, przez kilka lat mógł skierować Kościół na inne tory.

O tym, że analizy watykanistów i rankingi papabili są wrózeniem z fusów – niczym spekulacje kremlologów w latach 70. i 80. – świadczy historia jeszcze jednego pewniaka do schedy po Janie Pawle II. Arcybiskup Mediolanu Dionigi Tettamanzi, mieszczący się między postępowym Martinim a niebudzącym sympatii nawet pośród konserwy surowy intelektualista Ratzinger, był pewien, że wygra jako kandydat środka. Po śmierci Jana Pawła II odprawił mszę w swojej diecezji, w trakcie której machał do wiernych skandujących: „Papież Tettamanzi!”. Całym sobą dawał do zrozumienia, że już zgna się z Mediolanem i wita z Watykanem, do czego dawały mu podstawy wysokie noty wśród bukmacherów. Jego kandydatura upadła już w pierwszym głosowaniu; dostał dwa głosy, a w zasadzie jeden, jeśliby małostkowo przyjął, że głosował sam na siebie.

Konklawe jest zwoływane od 15 do 20 dni od śmierci papieża. W wyborze biorą udział kardynałowie, którzy nie ukończyli 80 lat. Goście watykańscy muszą wyprowadzić się z Domu Świętej Marty, który wraca do zasadniczej funkcji hotelu dla uczestników konklawe. Kardynałowie mają sporo czasu na przemyślenia, bo głosowania odbywają się dwa razy rano i dwa razy po południu.

Nowym papieżem zostaje ten z nich, który otrzyma dwie trzecie głosów.

Choć medialne show z nieustannymi „sensacyjnymi” wejściami na antenę, tuzinami wozów transmisyjnych, kolejnymi ekspertami przewijającymi się przed kamerami, sondami ulicznymi sprawia wrażenie, jakby konklawe trwało i trwało (a strach pomyśleć, co będzie się działo, gdy teraz do tradycyjnych mediów dołączą kanały youtubeowe, instagramerzy i tiktokerzy), wybór następuje bardzo szybko. Konklawe w XX i XXI wieku trwały średnio trzy i pół dnia. Benedykt XVI w 2005 r. został wybrany już w drugim dniu głosowania, po czwartej turze. A w 1939 r. wystarczyły zaledwie trzy głosowania, by na Tron Piotrowy wstąpił Pius XII.

Sposób procedowania „con clave” – „na klucz” – ukształtował się dopiero w XIII wieku. Przyczynił się do tego rekordowo długi czas sede vacante – czyli wakatu na tronie papieskim – po śmierci Klemensa IV w 1268 roku. Wybrany po trzech latach debat Grzegorz X zdecydował, że odtąd kardynałowie będą głosować zamknięci w jednym pomieszczeniu i w odcięciu od świata zewnętrznego, motywowani zmniejszającymi się posiłkami, aż do chleba, wody i wina w przypadku wyjątkowo długiej obstrukcji.

W miejscu wyboru – obecnie w Kaplicy Sykstyńskiej – poza mistrzem ceremonii i elektorami pozostaje zaledwie kilku urzędników. Kardynał, który opuszcza konklawe z jakiegokolwiek innego powodu niż choroba, nie może już wrócić. Głosujący nie mogą korzystać z żadnych środków komunikacji, podsłuchiwanie jest zabronione pod sankcją ekskomuniki. Przed konklawe, które wybrało Bergoglio vel Franciszka, Kaplica Sykstyńska została przeszukana przy użyciu elektronicznych wykrywaczy podsłuchów, jakich używają służby specjalne, a w całej okolicy zainstalowano urządzenia zakłócające sygnał.

Watykan mimo większego otwarcia i swobody w kontaktach z mediami, które przyniósł pontyfikat Franciszka, w sprawach naprawdę ważnych potrafi dochować dyskrecji. A taką sprawą jest wybór papieża. Jeśli pojawiają się spekulacje dotyczące tego czy innego kardynała jako mocnego pretendenta, to robota mniej poważnych kandydatów i ich lobbystów liczących na to, że rozgłos wzmocni ich pozycję.

Przymiarki naprawdę poważnych kandydatów trwają w kuluarach. I każde stronnictwo nie przepuszcza okazji, by skompromitować przeciwnika. Innymi słowy, kto jest serio w grze o tron, możemy wnioskować na podstawie kontrolowanych przecieków z nazwiskami potencjalnych papieży, ale też na podstawie skandali i zarzutów wpływających w mediach. ●



Artur Nowak

• ur. w 1974 r., adwokat reprezentujący ofiary pedofilii w Kościele, publicysta. Współautor – z prof. Stanisławem Obirkiem – bestsellerowych reportaży „Babilon. Kryminalna historia Kościoła” oraz „Gomora. Władza, strach i pieniądze w polskim Kościele” (dostępne również w formie e-booka na Publio.pl) oraz – z Ireneuszem Ziemińskim – książki historyczno-socjologicznej”Chrześcijaństwo. Amoralna religia”. Współautor podcastu „Kryminalna historia Kościoła” uhonorowanego Bestsellerem Empiku. Właśnie wyszła jego nowa książka reporterska „Plebania” oraz wspólna ze Stanisławem Obirkiem „Skandaliści w sutannach. Od kardynała Wyszyńskiego do arcybiskupa Jędraszewskiego”.

Pedro Almodóvar:

CHCĘ SAM DECYDOWAĆ O MOJEJ ŚMIERCI

Czy nakręciwszy film o eutanazji, da się w rozmowie o nim omówić także wzdęcia własnej matki?

Tak, jeśli nazywasz się Pedro Almodóvar.

„Ale z wiekiem staję się mniej niegrzeczny” – zastrzega hiszpański mistrz, który właśnie nakręcił w Hollywood „W pokoju obok” według powieści Sigrid Nunez.

Paola Zanuttini

Korespondencja z Madrytu

la Repubblica

W biurze Pedro Almodóvara, w firmie producenckiej El Deseo, którą założył w 1985 r. z bratem Agustinem, są plakaty – w wielu językach – jego 22 filmów, ale za fotelem reżysera można dostrzec małe zdjęcie Billy’ego Wildera. Wygląda jak obrazek ze świętym patronem. Mistrz amerykańskiego kina, który w „Pół żartem, pół serio” z 1959 r. przebrał Jacka Lemmona i Tony’ego Curtisa za kobiety, a ich perypetie spuentował słynnym: „Nikt nie jest doskonały”, to faktycznie patron i duch opiekuńczy Almodóvara, reżysera, który w swoich filmach opowiada o gejach, transseksualistach, ludziach o podwójnej tożsamości.

Rozmawiamy o pierwszym pełnometrażowym amerykańskim filmie Almodóvara, „W pokoju obok”, za który otrzymał Złotego Lwa w Wenecji. Występują w nim Julianne Moore i Tilda Swinton, która już w 2020 r. zagrała w jego krótkometrażowym „Ludzkim głosie” – trwającym pół godziny monologu napisanym przez Jeana Cocteau.

Almodóvar ma 75 lat i nie zamierza rozpoczynać kariery w Ameryce, choć już kilka razy przymierzał się do kręcenia w języku angielskim. W „Julietcie” z 2016 r. pierwotnie miała grać Meryl Streep, a przed rokiem nakręcił drugi krótki metraż po angielsku, gejoński western „Dziwne ścieżki życia” z Ethanem Hawksem i Pedro Pascalem. Film powstał w okolicach Almerii, tam, gdzie swoje spaghetti-westerny robił Sergio Leone.

„W pokoju obok” to z kolei ekranizacja powieści „Pełnia miłości” Sigrid Nunez. Kiedy w księgarni Rizzoli w Nowym Jorku Ingrid (Moore) podpisuje egzemplarze nowej książki, zjawia się dawno niewidziana znajoma. Pocałunki, uściski i... złe wieści: Martha, znana reporterka wojenna i ich wspólna przyjaciółka z lat 80., jest w szpitalu, ma raka. Ingrid wybiera się w odwiedziny. Kiedy Martha pojmuję, że nie ma już dla niej nadziei, prosi Ingrid, aby towarzyszyła jej w domu w lesie w Woodstock, gdzie, gdy nadejdzie czas, planuje „odejść z godnością”. Z pomocą pigułki kupionej na czarnym rynku. Ingrid panicznie boi się śmierci, ale Martha nalega, błagała już inne przyjaciółki i żadna się nie zgodziła. Więc Ingrid jedzie z Marthą.



• Los Angeles, 17 listopada 2024. Reżyser filmu „W pokoju obok” Pedro Almodóvar razem z grającymi w nim główne role aktorkami Tildą Swinton i Julianne Moore

FOT. REUTERS/MARIO ANZUONI

Czy nakręcił pan ten film po angielsku i umieścił akcję w USA, ponieważ tak głęboka samotność, jaka staje się udziałem Marthy, była nie do wyobrażenia w Hiszpanii?

– To prawda, w Hiszpanii zawsze znajdzie się krewny, sąsiad, ktoś, do kogo można się zwrócić w dowolnej sprawie. Powieść Sigrid Nunez wywarła na mnie ogromne wrażenie, ale najbardziej ze względu na scenę, w której chora kobieta składa propozycję przyjaciółce. To ona skłoniła mnie do napisania scenariusza.

To była dobra okazja do zastanowienia się nad tym, jak obie radzą sobie ze śmiercią. Jedną wielokrotnie stawiała w jej obliczu podczas wojen, które relacjonowała na żywo, a teraz myśli odważnie o eutanazji, i druga, u której strach przed śmiercią powoduje wręcz fizyczny ból. Akcja działa się w Nowym Jorku, obie bohaterki mówiły po angielsku, nie widziałem było powodu, żeby to zmieniać.

Ponadto gdyby tę historię osadzić w Hiszpanii, byłaby mniej wiarygodna: tutaj relacje rodzinne, przyjaźnie, miłości są pełne staroświeckiego człowieczeństwa.

W tym sensie miałem już trudności przy adaptacji opowiadań Alice Munro [film „Julietta”]. Było w nich coś, co trudno sobie wyobrazić w realiach rodziny hiszpańskiej, np. matka, która wcale nie próbuje odnaleźć córki, choć ta odeszła od niej wiele lat wcześniej. Chyba jesteśmy nadal znacznie cieplejsi w relacjach z innymi ludźmi niż Anglosasi. U nas przyjaciółki Marthy nie odmówiłyby jej pomocy.

Martha, która planuje godną, ale też „estetycznie do zaakceptowania” śmierć, przypomina dwójkę kochanków z „Matadora”. Mówiono wtedy (w 1986 r.), że śmierć interesuje pana jako najwyższy akt wolności w obliczu znikania piękna i namiętności.

– Tylko że w „Matadorze” śmierć jest perwersyjnym elementem seksualnej przyjemności, a tutaj główny temat to śmiertelnie chora kobieta. Film opowiada o tym, że człowiek jest panem swojego życia, ale powinien też być panem swojej śmierci, jeśli życie oferuje już wyłącznie ból i upodlenie ciała. To mój głos w debacie o eutanazji. We Włoszech jest zabroniona, w Hiszpanii prawo ją dopuszcza. W teorii Hiszpania nie jest krajem katolickim, nie ma oficjalnie żadnej religii, ale w rzeczywistości większość obywateli to katolicy, przeciwni temu prawu, przyjątemu dzięki staraniom so-

cialistycznego rządu. Dla katolików Bóg daje życie i tylko On może zdecydować o śmierci.

Ustawa pochodzi z 2021 r. Czy prawo do godnej śmierci jest przestrzegane, czy budzi sprzeciw?

– To była trudna droga. Prawica i skrajna prawica krzyczały, że to legalizacja morderstwa. Nie wiem, czy ustawa jest należycie egzekwowana. Był przypadek 23-letniej śmiertelnie chorej dziewczyny, która prosiła o eutanazję, ale jej ultrakatolicki ojciec na to nie pozwolił. On i jego prawnik twierdzą, że dziewczyna nie jest przy zdrowych zmysłach, nie może więc świadomie podejmować decyzji, zwłaszcza takiej. Do tego dochodzi klauzula sumienia lekarzy, tak jak w przypadku aborcji.

Policjant, który przesłuchuje Ingrid po eutanazji Marthy to...

– Fundamentalista.

Czy po zwycięstwie Trumpa cała Ameryka będzie bardziej przypominać tego gliniarza?

– Tak, zwycięstwo Trumpa mrozi mi krew w żyłach, ponieważ jest to również zwycięstwo nie tylko skrajnej prawicy, ale też wielkich korporacji negujących zmianę klimatyczną, więc Ameryka będzie ładować w atmosferę jeszcze więcej dwutlenku węgla.

Politycznie – to wywrze fatalny wpływ na resztę świata. Skoro Amerykanie mogą wybrać prezydentem kogoś, kto zagroził do ataku na Kapitol i przeciw któremu toczy się wiele procesów, to co powstrzyma podobnych populistów gdzie indziej?

Nie rozumiem też chrześcijańskich fundamentalistów – jak to jest, że osoby wierzące nie dostrzegają w Trumpie seksualnego drapieżnika i po prostu podległo człowieka? Jego prostactwo i brak zasad im nie przeszkadza?

Ale zwycięstwo Trumpa to przede wszystkim również triumf egoizmu. Wygrali bogaci, nawet imigranci, którzy się dorobili i już nie chcą, żeby przyjeżdżali nowi.

Czy liczy pan na to, że pański film zmieni trochę sposób patrzenia na eutanazję?

– Chcę wierzyć, że przynajmniej poruszy widzów. Ale nie oszukujmy się, pójdą na niego tylko ci, którzy i tak są już przekonani.

„W pokoju obok” to film o śmierci, ale nie zabrakło w nim elementów komediowych.

– A publiczność śmieje się zawsze w tych samych momentach, co dowodzi, że jest to zrobie, jak należy.

Prawda jest taka, że Tilda Swinton, nawet jeśli akurat umiera, to nadal potrafi emanować witalnością, i oczywiście jej postać nawet żartuje ze swojej sytuacji. To nie jest mroczny film, jest pełen światła.

Ciała to temat ważny w pańskich filmach. W latach 80. bardziej w kontekście erotycznym, teraz jest zwykle pretekstem do rozważań o chorobie i śmierci. Czy to tylko kwestia pana wieku?

– Pewnie tak. Ale, wracając do „Matadora” – ma on jednak coś wspólnego z „W pokoju obok”. Tym wspólnym elementem jest przyjemność seksualna. Martha kilka razy wspomina, jak zachowywali się reporterzy wojenni. Gdy już naoglądali się z bliska makabry, pili na umór i pieprzyli się gdzie popadnie. Martha mówi: „Wojna zmieniła mnie w rozwiązłą kobietę”.

Oczywiście przesadzała, ale na koniec stwierdza jeszcze, że seks jest najlepszą tarczą do obrony przed śmiercią. Nawet kiedy nakłada makijaż i ubiera się przed połknięciem pigułki, jej cała postawa wyraża sprzeciw wobec śmierci. No i jest w tym cały czas piękna.

Jak długo pracowaliście nad chorym wyglądem ciała Tildy/Marthy?

– Z własnej inicjatywy Tilda wybrała się do Szwajcarii na pewną kurację zdrowotną, przy okazji której traci się też na wadze. Poinformowała mnie, że schudnie pięć-sześć kilo, powiedziałam jej, że dziękuję, ale to nie jest konieczne. Ale i tak zrobiła, jak chciała.

Tilda należy, jak wiadomo, do gatunku pozaludzkiego: to jedyna znana mi kobieta, która może szybko stracić sześć kilogramów i nie ma żadnych dodatkowych zmarszczek, przy tak wydatnych kościach policzkowych i niezmiennie idealnej szyi. Może też powinienem się wybrać do tej kliniki.

Co sprawiło, że przeszedł pan od rozpusty z pierwszych filmów do melodramatu?

– W latach 80. i 90. moje filmy były bardzo barokowe i o seksie mówiły bezpośrednio. Z biegiem czasu zmieniłem się, teraz znacznie bardziej interesuje mnie trzeźwość, narracja bardziej powściągliwa, bardziej intymna i głębsza.

Kiedy zacząłem robić filmy, w 1980 roku, o wszystkim, co młodzi ludzie wtedy robili w Madrycie – mam na myśli zarówno sztukę, jak i życie społeczne – mówiono, że jest postmodernistyczne. Dla mnie oznaczało to absolutny eklektyzm. Innymi słowy, możliwość robienia tego, co chciałem, bez żadnych zobowiązujących odniesień do kultury wysokiej czy niskiej.

Wszystko na mnie oddziaływało: kicz, bezguście, groteska, przeciwieństwa, wyrażanie. Uważałem, że ten eklektyzm pasuje do moich historii. Moje filmy były dramatyczne, ale było w nich obowiązkowo coś z komedii, czasem horror. Mieszałem gatunki cały czas, byliśmy dziećmi urodzonymi na nowo w świeżej demokracji, która dawała nam tyle swobody, ile tylko chcieliśmy. Nie byłbym w stanie stworzyć niczego pod rządami Franco.

Przez całkiem długi okres pracował pan w firmie telefonicznej. Czym dokładnie się pan zajmował?

– Byłem administratorem (jedynym!) w magazynie, który zajmował się uszkodzonym sprzętem. Rano do roboty, a potem pisałem. Moje dwa pierwsze filmy, „Pepi, Luci, Bom i inne dziewczyny z dzielnicy” oraz „Labirynt namiętności”, narodziły się w Telefónice, gdzie

pracowałem od 1970 do 1982 r., sześć razy prosząc o trzymiesięczny urlop, aby mieć czas na szukanie wejścia do świata o nazwie kino. Nigdy nie rzucali mi kłód pod nogi, może uważali, że fajnie jest mieć w firmie takiego dziarskiego faceta jak ja.

Jak na piewęc szalonej, transgresywnej Movidy madryckiej, był pan całkiem sumiennym typem. – Moją drugą naturą jest, nazwijmy to, posybilizm – używam tego, na co mnie stać. Nie miałem pieniędzy, moja rodzina też nie, ale miałem powołanie. A także cierpliwość, która pozwoliła mi czekać 12 lat na wyreżyserowanie filmu. Miałem 18 lat, kiedy przyjechałem z Estremadury do Madrytu, nie znałem nikogo, kto mógłby mi pomóc, ale bardzo dobrze wiedziałem, że chcę robić filmy. To było szaleństwo, ale metodyczne.

Co rodzina uważała o pańskim marzeniu? – Że to szaleństwo bez żadnej metody. To były osoby ukształtowane w najcięższych czasach powojennych. Stała praca była dla nich ideałem. Już po nakręceniu sześciu filmów, kiedy kupilem matce dom, usłyszałem od niej: „Pedro, byłabyś szczęśliwa, gdybyś wrócił do Telefóniki!”.

A co mówili o pańskiej homoseksualności? – Nic.

To się im liczy na plus. – Nie o to chodzi. Nie mówili nic, bo po prostu nie rozmawialiśmy o tym. To były inne czasy niż dzisiaj.

Ale czy nie oglądali pańskich filmów? – Mój ojciec nie zdążył, zmarł wcześniej; mojej matki w ogóle to nie interesowało. Ale była ze mnie dumna i nawet zagrała małe role w moich filmach. Robiła to ze spontanicznością, absolutnie nie bojąc się kamery, ponieważ nie szanowała kina. Na koniec dnia zawsze pytała mnie, kiedy jej zapłacę. Robiła to dla pieniędzy.

Ma pan słabość do specyficznego pocucia humoru. W „Pepi, Luci, Bom i innych dziewczynach z dzielnicy” pojawia się zwirowana reklama majtek, które zamieniają baki w perfumy. A 26 lat później, w filmie „Volver”, postać grana przez Penélope Cruz mówi siostrze, że podejrzewa, iż ich matka, którą przez lata uważały za zmarłą, wciąż żyje, ponieważ wciąż czuje zapach jej baków. – W naszym domu baki były źródłem uciechy. Mama i siostry śmiały się z nich jak szalone. Zwłaszcza moja mama często puszczała baki i były one, że tak powiem, nie do pomylenia. Co ciekawe, dziś takie sceny są trudne w kinie. Poprawność, strach przez urażeniem widza wymogły na autorach coś w rodzaju autocenzury. „Matador” czy „Niedyskretny urok grzechu” dziś miałyby problemy z dystrybucją. A gdy przystępujesz do pisania scenariusza, nie ma nic gorszego niż lęk, że kogoś urazisz. Tylko pewnego typu kobiety stojące za kamerą – być może właśnie dlatego, że są kobietami – są bardziej swobodne i bardziej dosadne. Takie filmy jak „Titane” Julii Ducournau, „Babygirl” Haliny Reijn i „Substancja” Coralie Fargeat, które zdobywają teraz nagrody na festiwalach, są bardzo mocne wizualnie i śmiałe fabularnie. ●

tłum. Bartosz Hlebowicz

Chcesz wygrać wybory?

Zapomnij o telewizji. Wystarczy TikTok

Żeby osiągnąć wyborczy sukces, już nie trzeba mieć partii, nie trzeba nawet pieniędzy.

Robert Stefanicki

W filmie „Rocky i Łoś Superktoś” z 2000 r. złoczyńcy z kreskówki przedostają się do świata realnego i zakładają Bardzo Brzydką Telewizję, która fatalnej jakości programami hipnotyzuje Amerykanów, żeby na prezydenta wybrali Nieustraszonego Wodza, którym jest odziany w faszystowski mundur i strojący miny Robert de Niro. Nie wiem czy scenarzyści inspirowali się imperium medialnym Silvia Berlusconiego, czy też ich wizję należy uznać za proroczą, ale jednej rzeczy nie przewidzieli. W finale tytułowy łoś wysła pokonanych złoczyńców do internetu, „gdzie słuch po nich zaginął”. Čwierć wieku później sytuacja się odwróciła – telewizja jest coraz mniej istotna, a źródłem hipnozy jest internet.

Spocony Nixon, czyli trzeba wyglądać

Wybory prezydenckie w USA w 1924 r. były pierwszymi, w których wykorzystano nowy wynalazek: radio. Podczas prób ktoś w zwycięskim sztabie Calvina Coolidge’a zanotował świętą prawdę: „Przemówienia muszą być krótkie”. Potem poziom trudności wzrósł, bo nie tylko trzeba było dobrze mówić, ale i wyglądać. W 1960 r. pierwsza debata telewizyjna pomiędzy Johnem F. Kennedym i Richardem Nixonem zapoczątkowała nową erę, w której telewizja odgrywała centralną rolę w procesie demokratycznym. Chory i spocony Nixon, wcześniej prowadzący w sondażach, przegrał z przystojnym, młodym i wypoczętym JFK, który w dodatku miał żonę jak wyciętą z żurnala.

Jakąś dekadę temu, wraz z rozwojem internetu i platform społecznościowych, wpływ telewizji na politykę zaczął się kurczyć. Ostatnim bastionem była arabska wiosna w 2011 r. napędzana obrazami protestów w katarskiej Al-Dżazirze. W wyborach w USA z 2016 r., które wyniosły do władzy Donalda Trumpa, główną rolę odegrał Facebook będący tanim wehikułem dla fake newsów rozsiewanych przez petersburską „fabrykę trolli”. Jewgienija Prigożyna. Cztery lata później królował Twitter, lecz po przejęciu go przez Elona Muskę i przemianowaniu na X ta druga bańka, liberalna, postawiła na nim krzyżyk.

1,6 mld użytkowników

W tym roku żadne wybory nie mogą się obejść bez TikToka. Stworzona w Chinach aplikacja ma 1,6 mld użytkowników, czyli połowę tego, co Facebook. Ale podczas gdy flagowy produkt Marka Zuckerberga zdaje się starzeć, TikTok kojarzy się z młodością i przyszłością. Nie jest to już tylko aplikacja do naśladowania ruchów tanecznych przez nastolatków, lecz medium o coraz większej wadze politycznej.

Mamy już pierwszego zwycięzcę wyborów z TikToka, na razie w pierwszej turze. Sondaże przedwyborcze w Rumunii dawały Calinowi Georgescu 5 proc.,

a dostał 23 proc. – robiąc kampanię na TikToku. Wrzucał chwytliwe klipy okraszone dramatyczną muzyką i napisami. Pocił się na bieżni, przewracał przeciwników w judo i jechał na białym koniu w tradycyjnej koszuli. W dosadnych słowach obwiniał UE i NATO za większość rzeczy frustrujących wyborców, jak inflacja i korupcja. Twierdził, że suwerenność Rumunii jest naruszana. Wyrażał uznanie dla faszystów i antysemitów, ale nie znalazł złego słowa dla Putina. Wzywał do zakończenia pomocy dla Ukrainy, twierdził, że dzieci uchodźców ukraińskich otrzymują większą pomoc rządową niż rumuńskie.

Jedną z jego najbardziej udanych strategii było branie fragmentów wywiadów, których udzielił gdzie indziej, i wrzucanie ich na TikTok. Miały tam po kilka milionów wyświetleń. W 19-milionowej Rumunii jest 8 mln użytkowników tej aplikacji, z czego pół miliona obserwuje konto Geogrescu. Jego wyborcy to głównie mieszkańcy wsi i młodzi mężczyźni.

W ramach skoordynowanej kampanii filmy te były udostępniane przez tysiące innych kont, z których w nazwie część zawierała nazwisko kandydata, inne opatrzywały je takim hashtagem. Ponieważ Georgescu „trendował”, algorytm TikToka coraz mocniej go promował. Badacze i organizacje pozarządowe zwrócili uwagę, że popularność Georgescu mogła wynikać nie tylko z wirusowych treści, lecz z użycia fałszywych kont lub oplacenia influencerów. Naruszałoby to zakaz reklam politycznych na TikToku. Ponadto rumuńska Rada Obrony Narodowej uznała, że TikTok nie oznaczył Georgescu jako kandydata w wyborach, a to oznacza, że jego filmy nie były klasyfikowane jako polityczne, co znacznie zwiększyło ich zasięgi i miało wpływ na wynik. Rada uznała też, że jakąś rolę mogła w tym odegrać Rosja – na to nie ma dowodów, ale poszłaką są prokremlowskie poglądy polityka.

Sprawą zajmują się instytucje kontrolne w Rumunii i UE, ale rozstrzygnięcia nie będzie przed drugą turą. TikTok zaprzecza, że faworyzował Georgescu. We wtorek podczas przesłuchania przed Parlamentem Europejskim przedstawił cielka firmy powiedział, że przed wyborami usunięto 66 tys. fałszywych kont, w tym 150 podszywających się pod Georgescu, i 10 mln fałszywych obserwujących. Brie Pegum przyznała, że dwie „grupy kont” popierające Georgescu i innego kandydata naruszyły zasady zakazujące nieoznakowanych reklam politycznych.

Trump zmienia zdanie

Sytuacja TikToka przypomina Facebooka po ujawnieniu afery Cambridge Analytica. W 2018 r. wykryto, że firma Zuckerberga dała brytyjskiej firmie doradztwa politycznego, pracującą dla zwolenników brexitu i Trumpa, na dostęp do danych 87 mln użytkowników. Facebook nie przyznał się do winy, ale w ramach ugody zapłacił 750 mln dol. kary.

Jednak TikTok jest w gorszej sytuacji, bo ma wpływowych wro-

gów, którzy widzą w nim wytrych Pekinu do umysłów zachodniej młodzieży. Firma, mająca siedzibę w Singapurze i Los Angeles, zapewnia, że wprawdzie jej spółka-matka jest chińska, ale istnieje między nimi mur.

Sprawa będzie testem nowych uprawnień regulacyjnych Brukseli w zakresie mediów społecznościowych. Na mocy uchwalonej w 2022 r. ustawy o usługach cyfrowych, platformy internetowe mają obowiązek walczyć z dezinformacją i ingerencją w wybory. Komisja Europejska ma prawo nakładać grzywny na firmy nieprzestrzegające przepisów w wysokości do 6 proc. ich globalnych obrotów, a nawet blokować aplikacje w całej Europie. TikTok osiągnął w 2023 r. obroty w wysokości 110 mld dol.

Bliżej rozstrzygnięcia jest za oceanem. Wiosną Kongres nakazał chińskiemu właścicielowi platformy sprzedaż swoich udziałów w przeciągu roku, jeśli aplikacja ma pozostać dostępna w USA. TikTok się odwołał, sąd apelacyjny ma wydać orzeczenie do 6 grudnia. Jednak kluczowe będzie stanowisko Trumpa, a wydaje się on być przychylny wobec platformy, z której korzysta 170 mln Amerykanów. W lipcu obiecał im, że „ocali” TikToka. A jeszcze w 2020 r. oznajmił, że zamierza wykorzystać swoje uprawnienia wykonawcze, aby TikToka zakazać. Sekretarz stanu Mike Pompeo nazwał wówczas aplikacje i technologie należące do Chińczyków „koniami trojańskimi chińskiego wywiadu”. Od tego czasu niektóre rządy (m.in. Belgii, Austrii, Kanady) nakazały swoim pracownikom usunięcie aplikacji z telefonów służbowych, a Indie całkowicie zakazały TikToka.

Niektórzy sugerowali, że wrogość Trumpa do platformy wynikała z chęci odegrania się za zmowę fanów K-popu na TikToku, którzy fałszywie zgłaszali zamiar udziału w jego wiecu w Oklahomie, przez co wydarzenie zanotowało frekwencyjną klapę.

Diabeł tkwi w szczegółach

W tegorocznej kampanii w USA oboje kandydaci wykorzystywali to wyklęte przez ich partie medium. Bo bez TikToka nie ma polityki. W kilku krajach – m.in. w Australii i Wielkiej Brytanii – zauważono wyraźną korelację między efektywnym wykorzystaniem tej platformy a sukcesem w wyborach, choć nie można mieć całkowitej pewności, jakie czynniki ostatecznie kształtują decyzje przy urnie. Sami wyborcy często nie mają takiej świadomości.

Niedawne badanie sondażowni Cint na brytyjskich użytkownikach TikToka wykazało, 60 proc. respondentów ogląda tam filmy polityczne. 21 proc. zadeklarowało, że zmieniło swoje intencje wyborcze na podstawie tych treści. 22 proc. stwierdziło, że platforma zainspirowała ich do wzięcia udziału w głosowaniu.

Również badacze z amerykańskiego Loyola Marymount University spostrzegli, że młodzi użytkownicy TikToka częściej niż ci obecni na innych platformach angażują się w działania polityczne online, takie jak udostępnianie po-

stów politycznych i obserwowanie konta polityka, a także częściej przekazują darowizny na cele polityczne lub ideologiczne oraz deklarują, że zgłoszą się na ochotnika do kampanii.

Nic, tylko przyklasnąć. Przecież wciąż narzekamy na zbyt słabe zaangażowanie polityczne młodych ludzi. Diabeł tkwi w szczegółach. TikTok odwołuje się do emocji. Treści udostępniane w aplikacji są osobiste – inni użytkownicy w interesujących nas obszarach dzielą się swoimi uczuciami, poglądami, doświadczeniami, a algorytm – na podstawie naszego wcześniejszego zaangażowania i tego, co ogólnie trenduje – podsuwa kolejne podobne filmy. Badacze uważają, że to tworzy komorę echa: aplikacja daje nam poczucie wspólnej tożsamości z ludźmi, którzy mają te same zmartwienia i poglądy, i izoluje od poglądów spoza tej sfery. W rezultacie pogłębia się polaryzacja. Nie jest to tylko problem TikToka, ale w ogóle mediów społecznościowych. Jedynie w UE użytkownicy mogą wypisać się z polecenia algorytmu i oglądać treści chronologicznie – ciekawe, czy ktoś korzysta z tej możliwości.

TikTok jest ponoć w większym stopniu uzależniający, zwłaszcza dla młodszych, niż inne aplikacje. Nie wymaga aktywności, komentowanie nie jest istotne, chodzi o konsumowanie klipu za klipem. Średnia długość jednego wejścia na platformę wynosi 7 minut i ustępuje tylko YouTube. Ponadto subiektywny i często humorystyczny charakter materiałów wrzucanych przez tiktokerów sprawia, że łatwiej rozprzestrzeniają się fałszywe narracje. Tymczasem aż 70 proc. brytyjskich użytkowników uważa TikToka za równie lub bardziej wiarygodne źródło niż tradycyjne media.

Trzeba pamiętać, że ta aplikacja i badania nad nią są zbyt młode, aby dało się udzielić rozstrzygających odpowiedzi na pytanie czy i jak TikTok wpływa na poglądy polityczne. Nie można wykluczyć, że jest to tylko przesadna panika starszych pokoleń nie nadążających za technologią i własnymi dziećmi, zmieszaną z odrobiną ksenofobii wobec chińskich właścicieli tego biznesu. Georgescu nie jest pierwszym kandydatem znikąd, który odniósł sukces w wyborach. Wystarczy wspomnieć „szamanę z Peru” Stana Tymińskiego, który w 1990 r. wszedł do drugiej tury z Tadeuszem Mazowieckim. Ale jest różnica: Tymiński za-inwestował w kampanię swój majątek, a Georgescu deklaruje zerowe wydatki.

Niedzielną drugą turą wyborów w Rumunii będzie pojedynkiem między TikTokiem a mediami tradycyjnymi. Rywalka Georgescu, Elena Lasconi, zanim weszła do polityki, była prezenterką telewizyjną. Po szokującym wyniku pierwszej tury Rumunia zmobilizowała się przeciwko kandydatowi na Nieustraszonego Wodza i można mieć nadzieję, że tym razem Bardzo Brzydką Telewizją zostanie pokonana bez pomocy bohaterów z kreskówki. Ale to i tak będzie tylko wygrana bitwa, nie wojna. ●

WYBIERZMY NASZĄ EUROPE



ZBRODNI
1
KARA

W Hadze już działa rejestr, który gromadzi państwowe i indywidualne roszczenia wobec Rosji.

• **Tania Nidaszkiwska opłakuje męża zabitego przez Rosjan w Buczy. 4 kwietnia 2022 r.**
FOT. RODRIGO ABD/AP/EAST NEWS

Z PROF. **KAROLINĄ WIERCZYŃSKĄ**,
EKSPERTKĄ MIĘDZYNARODOWEGO
PRAWA KARNEGO
ROZMAWIA **DAMIAN NOWICKI**

Czy będzie putinowska Norymberga?
– Jako naczelnik sił zbrojnych Putin pono- si odpowiedzialność za swoją armię i po- pełnione zbrodnie wojenne. Ukraina z ko- lei, jako strona konwencji haskich i genew- skich, ma obowiązek je ścigać. W żadnym wypadku nie zakładałabym jednak, że to się wydarzy szybko.

Jak powinna wyglądać prawna proce- dura walki o sprawiedliwość za to, że w trakcie nielegalnej okupacji Ukrainy zabito człowieka strzałem w klatkę piersiową, odcięto mu głowę, a następ- nie spalono ją i ułożono u stóp ofiary?
– W takich sytuacjach najpierw zajmuje się tym ukraiński wymiar sprawiedliwości, ich śledczy, prokuratorzy, którzy ustalają oko- liczności morderstwa: kto, kiedy i jak. Pra- wo międzynarodowe pojawia się w oko- licznościach systematycznych zbrodni ma- sowych, a nie pojedynczych aktów bestial- stwa dokonanych na ludności cywilnej.

Gdy w marcu 2022 roku ukraińska armia odbiła podkijowską Buczę, znale- ziono masowy grób z 57 osobami. Zabito je strzałem w tył głowy i miały związane za plecami ręce. Ustalono też, że zbrod- nię popełniły Wojska Lądowe Federacji Rosyjskiej, co potwierdziła m.in. Orga- nizacja Narodów Zjednoczonych.
– Ciągłe jest to sprawa dla jurysdykcji Ukrainy. Pierwsze działania zawsze podej- muje krajowy prokurator, który rozpoczyna śledztwo i podejmuje decyzję dotyczą- cą kwalifikacji zbrodni.

Ponieważ ofiary zidentyfikowano jako cywilne, to najpewniej nie będzie się dłu- go zastanawiać nad pojedynczym morder- stwem, tylko czy jest to już zbrodnia ma- sowa i czy da się to ująć w ramy zbrod- ni wojennej.

Ukraina jeszcze niedawno nie regulowa- ła w swoim kodeksie karnym zbrodni prze- ciwko ludzkości, jedynie zbrodnie wojen- ne i ludobójstwo. Były to wielka luka i kło- pot, ponieważ wiele zbrodni popełnionych od początku wojny nie będzie prawdopo- dobnie mogło być osądzonych jako zbrod- nie przeciwko ludzkości, ze względu na za- kaz retroaktywnego działania prawa. Trze- ba liczyć na to, że inne państwa podejmą się aktywnie osądzania tych zbrodni.

A jak rozdzielić zbrodnię wojenną, ludobójstwo i zbrodnię przeciwko ludz- kości?

– Te zbrodnie na szczęście mają odrębne ele- menty, więc nie ma problemu z kwalifikacją. Istnieją jednak różne definicje zbrodni prze- ciwko ludzkości, więc jako punkt odniesienia weźmy statut Międzynarodowego Trybuna- łu Karnego w Hadze (MTK).

Podaje on, że zbrodnie przeciwko ludz- kości to czyny popełnione wobec szeroko rozumianej ludności cywilnej, w ramach rozległego, systematycznego i świadome- go ataku.

Taka definicja zbrodni z góry zakłada, że nie może być to jeden akt przemocy, np. morderstwo, tylko one muszą być prowa- dzone na szeroką skalę. Do zbrodni prze- ciwko ludzkości zaliczymy też niewolnic- two, eksterminację czy deportacje ludno- ści cywilnej, o ile są popełnione w ramach rozległego lub systematycznego ataku.

Ludobójstwo z kolei łatwo odróżnić od zbrodni przeciwko ludzkości dlatego, że jest ono skierowane przeciwko konkretnej grupie chronionej. Konwencja dotycząca ludobójstwa podaje, że jest to czyn wymie- rzony z zamiarem wyniszczenia w całości lub części jakiegokolwiek z czterech chro- nionych grup: rasowej, religijnej, etnicznej i narodowej. Natomiast zbrodnią wojenną nazwiemy akty agresji popełniane w cza- sie konfliktów zbrojnych, w ramach reali- zacji jakiegoś planu lub polityki.

Czy istnieje jakaś gradacja bestialstw? „Gorsza” jest egzekucja 57 osób w zbio- rowej mogile czy zgwałcenie i zabicie kobiety, a następnie podpalenie jej ciała i zostawienie na środku ulicy? Wszyst- kie te przykłady pochodzą z Buczy.
– Nie stosuje się żadnego stopniowania, natomiast pojedyncze akty, jakkolwiek be- stialskie czy okrutne, nie mogą być scha- rakteryzowane jako zbrodnie między- narodowe ze względu na brak systemowe- go charakteru.

Moim zdaniem zbrodnie w Buczy nale- ży traktować jako całość; od pojedynczych ciał po masowe mogiły. Podkreślam jed- nak, że to strona ukraińska będzie musiała przyjąć własną metodologię oceny.

Podczas konferencji „United for Justi- ce” we wrześniu 2024 roku prezydent Wołodymyr Zeleński powiedział, że rosyjscy żołnierze popełnili ok. 137 tys. zbrodni wojennych w Ukrainie. Zaznaczył, że są to jedynie zbrodnie, które udało się udokumentować i nie dotyczy to okupowanych terenów. Czy taka liczba kwalifikuje już do rozległego i systematycznego charakteru agresji, za który można oskarżyć Putina?
– Tego nie da się tak przedstawić, ponie- waż jeżeli chcemy postawić przed sądem konkretną osobę, to najpierw musimy udowodnić, że popełniła ona konkretne czyny. 130 tys. zbrodni to jest bardzo dużo, ale równie dobrze mogło być popełnione przez 130 tys. sprawców.

Odwolując się do pani wiedzy – czy proces norymberski był sukcesem i wyznaczył pewien standard, jak sądzić i rozliczać zbrodnie wojenne?
– Na proces norymberski trzeba patrzeć jako na wytwór swoich czasów, gdzie np.

które popełniły zbrodnie międzynarodowe – Hermana Göringa, Rudolfa Heßa, Han- sa Franka....

A jak wygląda ten konflikt na forum międzynarodowym z perspektywy techniczno-prawnej? Gdy Ukraina powoła się na regulacje chociażby kon- wencji genewskich, to czy Rosja będzie mogła powiedzieć: „nie możecie nas oskarżyć o zbrodnie wojenne, bo nie wypowiedzieliśmy Ukrainie wojny”?
– Oczywiście, że nie. To jest normalny, jak- kolwiek źle to brzmi, konflikt między- narodowy, ale bez formalnego dokumentu wypowiedzenia wojny. Cały świat wie, że to jest wojna, a frazę o „specjalnej opera- cji wojskowej” wymyślono na użytek rosyj- skiej propagandy.

Już w 1933 roku powstała konwencja o określeniu napaści, która zwracała uwagę na to, że agresją jest inwazją na cudze terytorium nawet bez formalne- go wypowiedzenia wojny. Co ciekawe, Związek Radziecki był jedną ze stron tej konwencji.
– Kwestie zbrodni wojennych czy też powa- żnych naruszeń prawa humanitarnego regu- luje wiele konwencji haskich i genewskich. Ukraina jest stroną tych konwencji, więc mu- si je wdrożyć najlepiej jak to możliwe do swo- jego systemu prawnego, zapewniając ochro- nę przed takimi zbrodniami, a w przypadku ich popełnienia ściganie ich.

Zatem „rosyjska/putinowska Norym- berga” jest możliwa? Czyli postawienie i osądzenie przed Międzynarodowym Trybunałem ludzi odpowiedzialnych za zbrodnie dokonane w Ukrainie?
– Myślę, że jak najbardziej jest to możliwe, ponieważ po to stworzono MTK, który ma

Po zakończeniu konfliktu i osądzeniu sprawców trzeba przepracować traumy

sądzono in absentia, czyli zaocznie, Marti- na Bormanna. Dzisiaj mamy wątpliwości, czy tak powinniśmy prowadzić procesy.

W kontekście Ukrainy wraca się do te- go pomysłu, ale nadal wielu prawników, ze mną włącznie, ma z tym problem, bo uważa, że procesy in absentia nie zapew- niają wszystkich praw proceduralnych. Bardzo często też określano proces no- rymberski jako victor’s justice („sprawie- dliwość zwycięzcy”), gdzie sprawiedliwość i prawda leżą wyłącznie po zwycięskiej stronie. Sporo jest wątpliwości i zarzutów chociażby o bardzo niską inkluzywność procesu norymberskiego: wyłącznie czte- ry państwa wzięły w nim udział, np. Polacy byli tylko obserwatorami.

To może proces Słobodana Miloszevi- cia z 2001 roku jest lepszym wzorem do naśladowania?

– Moim zdaniem to nie jest dobry przy- kład, bo Miloszević zmarł w trakcie pro- cesu i nie doczekał się osądzenia, a spra- wiedliwość się nie dokonała. Natomiast wracając do trybunału norymberskiego, pozwoliłam sobie na krytyczną jego oce- nę, żeby dzisiaj uczyć się na błędach, któ- re wtedy popełniono, i wyciągnąć wnioski, jak właściwie skonstruować taki trybunał od osądzenia zbrodni w Ukrainie.

Na przykład angażując jak najwięcej podmiotów, zyskalibyśmy także legityma- cję prawną dla takiego trybunału. Jedno- cześnie nie możemy odebrać trybunałowi norymberskiemu jego zasług, bo tak na- prawdę był to pierwszy „nasz” proces, ja- ko społeczności międzynarodowej, w któ- rym udało się skutecznie skazać osoby,

jurysdykcję wobec takich właśnie zbrodni. Ukraina swego czasu wysłała do Trybuna- łu dwie deklaracje, na podstawie których została objęta jego jurysdykcją. Niedawno także zadeklarowała, że w końcu ratyfi- kuje statut Trybunału i stanie się pełnopraw- nym państwem stroną tej umowy między- narodowej. Byłoby to 125. państwo strona statutu MTK.

Jednocześnie w listopadzie 2016 roku Putin opublikował dekret ogłaszający, że Rosja zrywa stosunki z MTK i wycofu- je swój podpis z traktatu założycielskie- go. Czy to oznacza, że Rosja nie może być zaskarżona przez Trybunał?

– To tak nie działa, Rosja nie musi być stroną statutu MTK (zresztą nigdy formal- nie nią nie była, bo podpisanie traktatu nie jest równoznaczne z jego ratyfikacją), żeby jej obywatele mogli podlegać jurysdykcji Trybunału dlatego, że te zbrodnie popeł- niono w Ukrainie.

Składając deklaracje, Ukraina oddała się pod jurysdykcję Trybunału, więc każda zbrodnia tam popełniona może być osą- dzona. Problemem w dyskusji nad utwo- rzeniem trybunału osądzającego zbrod- nie w Ukrainie jest to, że sama agresja i wszczęcie wojny nie mogą być osądzone przed tym trybunałem.

Choć MTK posiada jurysdykcję wo- bec tej zbrodni, to jej definicja nie zosta- ła wprowadzona do tego Trybunału pier- wotnie, ale w ramach poprawki do sta- tutu. W związku z tym dzisiaj jurysdyk- cję wobec zbrodni agresji można sprawo- wać jedynie w odniesieniu do kilkudzie- sięciu państw, które są stronami tej po-

prawki. Ukraina, niestety, nie jest stroną tej poprawki, tak jak nie jest stroną statu- tu, i w związku z tym zbrodnie popełnio- ne w Ukrainie nie mogą być osądzone jako agresja przed MTK.

Dlatego środowisko prawnicze rozma- wia dzisiaj nad utworzeniem alternatyw- nego trybunału do spraw zbrodni agresji w Ukrainie.

W takim razie przed jakim ciałem mogliby albo powinni stanąć rosyjscy sprawcy zbrodni, gdyby Ukrainie udało się rosyjskie wojsko wypchnąć ze swoje- go terytorium?

– Tak naprawdę wszystkie państwa, które się podejmą jurysdykcji w tej sprawie, mo- gą osądzić zbrodnie, w tym jak najbardziej Polska. W naszym kodeksie karnym ma- my możliwość sądenia za zbrodnie mię- dzynarodowe na zasadzie uniwersalnej ju- rysdykcji, niezależnie od tego, czy sprawa jest obywatelem naszego państwa i czy zbrodnie zostały popełnione na teryto- rium Polski.

Teoretycznie, gdyby na naszym lot- nisku pojawił się jakiś sprawca zbrodni z Ukrainy, to nic nie stoi na przeszkodzie, żeby pociągnąć go do odpowiedzialności.

Zalóżmy hipotetycznie, że za minutę dochodzi do pertraktacji pokojowych między Rosją a Ukrainą. Czy w zamian za pokój Rosja będzie mogła stworzyć podpunkt, który „zwolni ją” z odpowie- dzialności i ponoszenia konsekwencji za zbrodnie, do których doszło w trak- cie konfliktu?

– Teoretycznie wszystko jest możliwe, a państwa mogą zawrzeć między sobą ta- kie umowy, jakie sobie życzą. Pytanie, czy te umowy będą mogły być realizowa- ne? Bo to nie jest sposób, w którym moż- na sobie zapewnić niewinność. Prawo międzynarodowe jest jednoznaczne. Nie tworzy furtek nawet dla posiadaczy im- munitetów. Odpowiedzialności za popeł- nienie zbrodni międzynarodowych się nie zaciera i nie zmywa umową międzyaro- dową.

Po wszystkim, co powiedział Putin czy inni kremlowscy oficjele, jestem w stanie sobie wyobrazić jeszcze bar- dziej absurdalne żądania czy roszczenia ze strony Rosji. Tak samo widzę, jak zniszczona wojną oraz „zachęcona” przez poirytowanych zachodnich sojuszników Ukraina, niestety, zgadza się na niekorzystne czy uwłaczające dla niej warunki.

– Może jestem naiwna, ale nie wierzę, że Ukraina obieca Putinowi, że go nie oskar- ży i nie będzie go ścigać. Zresztą, jakiekol- wiek państwo przyrzekłoby taką bezkar- ność, to reszta świata nie jest tą obietni- cą związana.

Pytam, bo coraz częściej pojawiają się plotki, że Waszyngton i Zachód w ogóle są zmęczone pomaganiem, że trudno znaleźć na to pieniądze. Z kolei Rosja wielokrotnie żądała, aby permanentnie zablokować Ukrainie wejście do NATO.
– Rozumiem pańskie wątpliwości, ale za- pewnienie takiej niewinności, na poziomie całego świata i w perspektywie wszystkich praw oraz państw jest nierealne do wdro- żenia. Złamałoby to wszelkie reguły praw- ne, które są zapisane w konstytucjach czy w kodeksach karnych, ale również w umo- wach międzynarodowych.

Oczywiście łapiemy się za głowę, gdy słyszymy, co mówią kremlowscy politycy, albo na myśl o wizycie Putina w Mongolii, która jest stroną MTK, ale go nie przekaza- ła do Hagi, czyli świadomie nie wykonała swojego traktatowego obowiązku wynika- jącego ze statutu MTK.

Mam nadzieję, że nie wszystkie pań- stwa są tak cyniczne jak Rosja, bądź słab- sze i zależne ekonomicznie jak Mongolia, i przy nadarzającej się okazji wydadzą Pu- tina Trybunałowi w Hadze. Myślę, że na- kaz aresztowania prezydenta Rosji wyda-

ny przez MTK zostanie prędzej czy później zrealizowany.

Chciałabym zwrócić uwagę na coś jeszcze niedawno niewyobrażalnego. Ten Trybunał wydał nakazy aresztowania wobec kilku urzędujących głów państw. Prokurator Trybunału i jego sędziowie stoją na przeciw największych, najbardziej wpływowych osób na świecie. To pierwsza taka sytuacja w historii.

To nie są gwiazdy mediów, to osoby, które mają wymierzać sprawiedliwość w imieniu społeczności międzynarodowej. W jej imieniu nie mogą przyszykować oczu na zbrodnie w Ukrainie czy Gazie. Oczekują naszego wsparcia jako społeczności międzynarodowej. Tym bardziej zamiast krytyki za kolejny wydany nakaz aresztowania wobec możliwych tego świata powinni od nas słyszeć: co możemy dla państwa zrobić?

Z perspektywy narzędzi prawnych co stoi na przeszkodzie stworzenia trybunału osądzającego zbrodnie w Ukrainie?

– Między innymi to, że Rosja jest członkiem stałym Rady Bezpieczeństwa ONZ. Niemożliwia to stworzenie trybunału w trybie rezolucji Rady Bezpieczeństwa, jak to miało miejsce w przypadku trybunału jugosłowiańskiego czy rwandyjskiego.

Oczywiście można by spróbować stworzyć taki trybunał na podstawie umowy międzynarodowej, tyle że społeczność międzynarodowa ma chyba świadomość tego, jak długo takie negocjacje trwają. O istniejącym dzisiaj MTK na przykład myślało się i podejmowano różne próby przez prawie pięć dekad, a ostatnie dziesięć lat zajęło tworzenie statutu.

Próbowano wprowadzić także inne inicjatywy, np. myślało się, aby taki trybunał powstał na podstawie rezolucji Zgromadzenia Ogólnego ONZ. Mocno i dosyć aktywnie rozmawiano o tym na początku konfliktu. Teraz te dyskusje przycichły, dlatego że paleczkę przejęła Rada Europy i Unia Europejska, i zaczęto się zastanawiać, czy z tymi organizacjami międzynarodowymi nie związać działania takiego trybunału.

Cały czas dyskusja, która się toczy wokół ukraińskiego trybunału, dotyczy tego, czy dane rozwiązanie będzie miało wystarczającą silną legitymację i czy będzie uznawane w prawie międzynarodowym. Najgorsze, co może spotkać Ukrainę, to nieuznanie takiego trybunału i np. oskarżenie go o manipulowanie wymiarem sprawiedliwości.

Nie mam wątpliwości, że Rosja nie uzna tego trybunału, jakkolwiek byłby zrobiony, ale Rosja to nie cały świat, a nam zależy na tym, żeby jednak zdecydowana większość świata go poparła. Żeby silne państwa powiedziały: tak, to jest ten trybunał.

A gdyby usunąć Rosję z ONZ?

– Społeczność międzynarodowa od dekad prowadzi dyskusję o koniecznej reformie ONZ, zmianie kompetencji jej organów. Gdyby chociaż poszerzyć Radę Bezpieczeństwa o państwa, które moim zdaniem powinny tam być, jak np. Niemcy czy Japonia, to oczywiście rozmowa byłaby pewnie inna.

Na dzisiaj jednak jest to muzyka dalekiej przyszłości i nie da się tak po prostu usunąć członka Rady Bezpieczeństwa. O wykluczeniu członka (czyli państwa) z organizacji decyduje Zgromadzenie Ogólne.

Ale czy rozwiązaniem jest wykluczenie Rosji z ONZ? Niekoniecznie, bo gdzie wtedy będziemy z Rosją rozmawiać.

Abstrahując od woli politycznej oraz militarnych i technicznych możliwości, czy międzynarodowa interwencja w Ukrainie, jak np. w Bośni w 1993 roku, byłaby w ogóle legalna?

– W czasie wojny w Bośni mieliśmy duży udział Rady Bezpieczeństwa, jeśli chodzi o podejmowane decyzje. Pamiętajmy, że wtedy utworzono trybunał jugosłowiański na podstawie rezolucji Rady. Dziś możemy liczyć tylko na aktywność Zgromadzenia Ogólnego, które wydaje jedynie niewiążące rekomendacje, więc interwencja międzynarodowa na ten moment wydaje się dość nieprawdopodobna.

Z perspektywy narzędzi prawnych, jak mógłby wyglądać taki trybunał? Jak sprawiedliwość może się dokonać na poziomie zwykłego obywatela Ukrainy?

– Po pierwsze, liczyłabym na to, że dokonają się sprawiedliwość sądowa, a krzywdy zostaną ukarane, że ukraiński prokurator czy też Trybunał Międzynarodowy wskaże winnych tych zbrodni oraz ich osądzi.

Należy myśleć również o sprawiedliwości w wielu innych, pozasądowych aspek-

Bardzo jednak bym chciała, abyśmy się znaleźli w sytuacji takich rozterek. Bo to by znaczyło, że ustalimy kwestie zawarcia traktatu pokojowego, a tymczasem społeczność międzynarodowa jest jeszcze ciągle w innym miejscu.

W każdym razie w ONZ przyjęto rezolucję, na mocy której zarekomendowano utworzenie rejestru roszczeń w Hadze w celu gromadzenia państwowych i indywidualnych roszczeń odszkodowawczych wobec Rosji związanych z wojną w Ukrainie. I taki rejestr już aktywnie działa.

Więc może przy okazji tego strasznego konfliktu zyskamy pewne doświadczenie w kwestii skutecznego zapewniania odszkodowań dla ofiar. Na przykład już teraz z odsetek z zamrożonych rosyjskich aktywów w UE, a są to miliardy euro, pomaga się Ukrainie, zatem zyskaliśmy z tego konfliktu naukę na przyszłość.

W ciągu minionych 80 lat jak bumerang wraca argument, że „Hitler o niczym nie wiedział”, że np. decyzje wysyłania do obozów zagłady podejmowały inne osoby, więc on nie może ponosić za to odpowiedzialności. Czy Putin mógłby zagrać tą kartą, że to nie ja, tylko generałowie decydowali, na przykład Siergiej Szojgu?

Cieężko mi sobie wyobrazić traktat wskazujący, że Rosjanie muszą zwrócić 30 tys. telewizorów, 20 tys. pralek i 15 tys. lodówek

tach. Po zakończeniu konfliktu i osądzeniu sprawców trzeba przepracować traumy, zrobić miejsca pamięci i napisać wspólną historię, w której jasno powiemy, kto był agresorem, a kto ofiarą.

Docelowo powinniśmy dążyć do tego, aby Ukraińcy pogodzili się z Rosjanami, a zwaśnione narody nauczyły się koegzystować. Pamiętajmy, że mimo wszystko duża część Ukraińców była szczerze zdziwiona agresją i brutalnością własnych sąsiadów, których do czasu inwazji traktowano przyjaźnie. Pokonanie tej traumy i rozliczenie krzywd to jest praca na długie lata i całe pokolenia.

A jak wygląda kwestia odszkodowań? Do kogo powinny się zgłosić te wszystkie pokrzywdzone rodziny po reparacje? Kto będzie wypłacał miliardy dolarów za zniszczone domy i mienie?

– Generalnie odszkodowania dla ofiar są przewidziane w systemie MTK, więc jeżeli doszłoby do osądzeń, to po zakończeniu procesu wobec sprawcy zbrodni, w którym ustalono, że ponosi on winę, i orzeczono karę, następuje proces dotyczący odpowiedzialności odszkodowawczej sprawcy.

Najczęściej sprawca wykazuje, że nie ma pieniędzy, w każdym razie do tej pory to różne państwa wpłacały pieniądze na fundusz, z którego MTK wypłaca odszkodowania dla ofiar.

Inną sprawą są odszkodowania od państw. Po I wojnie światowej to traktat wersalski określał zobowiązania odszkodowawcze Niemiec. W ich ramach Niemcy mieli zwrócić konkretnym państwom sprecyzowaną w traktacie ilość krów, koni, samolotów, statków, węgla, ropy, etc.

Mimo że teraz powinno być dokładnie tak samo, to ciężko mi sobie wyobrazić traktat wskazujący, że Rosjanie muszą zwrócić 30 tys. telewizorów, 20 tys. pralek i 15 tys. lodówek, które namiętnie kradli na początku konfliktu.

– Jako naczelnik sił zbrojnych Putin ponosi odpowiedzialność za swoją armię i popełnione zbrodnie wojenne. Moim zdaniem nie ucieknie przed tą odpowiedzialnością. Mógł oczywiście naprodukować w międzyczasie setki dokumentów, w których nakazuje zaprzestania działań zbrojnych, żeby wykazywać swój brak winy i uzasadnić, że nie może ponosić odpowiedzialności za to, że całe wojsko nie chciało go słuchać i toczyło tę wojnę samodzielnie.

Żarty żartami, ale z całą pewnością Putin nie jest gołąbkim pokoju i wszystko dzieje się z jego pełną świadomością. Nie jestem jednak w stanie przewidzieć, jaka będzie jego linia obrony i jak będzie przebiegał proces karny, jeśli uda się go postawić przed sądem.

Taka dyskusja toczyła się już przy osądzeniu Wilhelma II Hohenzollerna, czyli ponad 100 lat temu! Próbował się ukryć za swoim stanowiskiem i mówił: „jestem przecież cesarzem, więc nie mogę być osądzony za zbrodnie”. Wtedy Stany Zjednoczone i Japonia forsowały ideę, że może on być odpowiedzialny jedynie moralnie. Ale większość państw uważała, że stanowisko i oficjalna pozycja nie mogą sprawić, że dana osoba nie będzie odpowiadać za popełnione zbrodnie.

Coraz częściej trafiam w mediach na argument, że wojna w Ukrainie nie może się skończyć, ponieważ Ukraina oraz kraje zachodnie stosują metody demokratyczne wobec Rosji, która jest niedemokratyczna i nie przestrzega żadnych konwencji, zasad czy praw.

– Trochę jest w tym racji, aczkolwiek oświadczenie widzę w tym rozwój, który osiągnęliśmy. Wydaje mi się, że jako ludzkość możemy się poszczycić tym, że jesteśmy w stanie zagwarantować rzetelny proces z pełnym poszanowaniem praw nie tylko ofiar, ale także sprawców.

Jeżeli ktoś łamie te zasady, to wcale nie znaczy, że my mamy łamać swoje i po-

traktować tę osobę w identyczny sposób. Oczywiście jest pewne poczucie krzywdy, że sprawcom tak okrutnych zbrodni zapewniamy prawa, których oni odmawiali swoim ofiarom, ale tego wymaga status cywilizowanych społeczności.

Demokratyczne rządy czy sądownictwo muszą się odbywać także w okolicznościach wojny i mimo wszystko będą bronić tezy, że nie ma to wpływu na koniec wojny.

A co z zamrożonymi na Zachodzie rosyjskimi aktywami? Skoro Rosja żongluje między prawem a bezprawiem, to może powinniśmy stworzyć takie narzędzia prawne, aby przekazać je Ukrainie?

– W tym momencie społeczność międzynarodowa zastanawia się, jak to przejąć, i szuka rozwiązań, które pozwolą zrobić to legalnie. Na razie postanowiono, co zrobić z odsetkami od aktywów zamrożonych w UE. Co do samych aktywów możliwości jest kilka i ostatecznie od dawna obowiązują zasady, że za wyrządzone krzywdy winni muszą zapłacić. Skoro funkcjonuje to wobec osób fizycznych, dlaczego nie miałyby obejmować aktywów państw, do których mamy dostęp? Wydaje mi się, że to jest słuszną drogą i właściwy środek przymusu wobec agresywnych państw.

Czy jakkolwiek polityk, powiedzmy prezydent Stanów Zjednoczonych, posiada narzędzia prawne, aby przymusić ONZ, MTK albo inne międzynarodowe ciała do bardziej zdecydowanych działań względem Rosji?

– MTK jest i mam nadzieję pozostanie niezależny i poza wpływami polityków. Jeżeli chodzi o ONZ, to jak już wspomniałam, mamy do wyboru działanie w trybie rezolucji Zgromadzenia Ogólnego o nazwie Uniting for Peace, która została przyjęta, gdy nie można było uzyskać konstruktywnego działania ze strony Rady Bezpieczeństwa.

Przypuszcza się, że to mogłaby być pomocna ścieżka dla „siłowego” rozwiązania, gdyby zgromadzenie zarekomendowało użycie siły w celu rozwiązania konfliktu. Na to jednak potrzeba zgody dwóch trzecich członków Zgromadzenia Ogólnego. To dosyć wysoki próg, pewnie dlatego takiej rezolucji do tej pory nie przyjęto, niemniej jednak dzięki tak wysokiemu progowi taka rezolucja zyskuje szeroką legitymację międzynarodową. I akceptację.

W przypadku kolejnej prezydentury Trumpa mam więcej obaw niż nadziei, ponieważ już wcześniej nakładał na amerykańskich pracowników MTK różne ograniczenia, jak zablokowanie ich aktywów bankowych czy wprowadzenie zakazów dotyczących wiz.

Podobnie zresztą zachowuje się Putin, tyle że on wytacza procesy karne sądom MTK.

Podsumowując: czy wierzy pani, że sprawiedliwość dla Ukrainy jest możliwa?

– W świetle prawa i historii tak. Natomiast, powtórzę, to nie wydarzy się szybko. ●



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Karolina Wierczyńska

• profesor nadzwyczajny Instytutu Nauk Prawnych PAN, która specjalizuje się w międzynarodowym prawie karnym



Parlament Europejski

- Projekt WYBIERZMY NASZĄ EUROPEĘ współfinansowany jest przez Unię Europejską w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji.
- Wszelkie informacje i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają wyłącznie poglądy ich autorów. Parlament UE nie uczestniczył w przygotowaniu materiałów, nie odpowiada za ich treść i nie może być pociągany do odpowiedzialności za pośrednie lub bezpośrednie szkody mogące wynikać z realizacji projektu.



• **Obcinałam włosy dziesięć razy, przed każdą chemią. Wokół ścinania włosów robię film „Remember What You Forgot”**
FOT. NAVJUICE

RAK MNIE UWOLNIŁ

Z ARTYSTKĄ
ALEKSANDRĄ KARPOWICZ
ROZMAWIA
JĘDRZEJ SŁODKOWSKI

od polskich traum.
Od ideologii, wierzeń i wartości, które nie były moje.

JĘDRZEJ SŁODKOWSKI: Dzwoni telefon. Odbierasz i słyszysz: „Ma pani raka”. Co się czuje w takiej chwili?
ALEKSANDRA KARPOWICZ*: Szok. To było spotkanie z jednym z moich największych lęków. Wyobraż to sobie: całe życie się czegoś boisz, aż to nagle przychodzi, zagląda ci w twarz i oznajmia: „Witaj, oto jestem!”.

Jak się dowiedziałaś o diagnozie?
– Półtora roku temu przyleciałam z Londynu do Polski. Przy okazji zrobiłam sobie USG. Zwykła kontrola. Szłam na luzie, a wyszłam z informacją, że coś znaleźli. Coś tak poważnego, że trzeba się tym zająć natychmiast. Jeszcze tego samego dnia zrobili mi biopsję. Na wyniki czekałam trzy tygodnie. Pierwszego dnia lata dowiedziałam się, że mam raka. Piersi.

Kiedy odebrałam telefon z informacją, której tak bardzo się bałam, zmroziło mnie. Po szoku przyszła panika. A zaraz potem złość.

„Dlaczego to na mnie padło?”.
– Tak, pamiętam, że sparaliżowana stoję na środku pokoju i myślę: jak to możliwe, że spotkało to akurat mnie? Jestem przecież jeszcze młoda, dbam o siebie, mam wielką świadomość własnego ciała. Przecież to bez sensu!
Potrzebowałam złapać trochę świeżego powietrza. Wyszliśmy z partnerem na spacer. Dosłownie z każdym krokiem złość przeobrażała się w gniew. Powiedziałam na głos: „Ja to zwalczę”.
Tyle że w momencie, gdy to mówiłam, poczułam zarazem, że tu nie chodzi o takie znaczenie słowa „walka”, które od razu nam przychodzi do głowy: związane z siłą, agresją, odrzuceniem, zaprzecze-

niem. Pomyślałam, że ja to zwalczę, ale nie walką. Bo ja całe życie z czymś walczę.
Z czym?
– A ze wszystkim! Głównie z ideologiami i wartościami, z którymi się nie zgadzam. Zawsze byłam aktywistką i cały czas za nią się uważam. Walczyłam o siebie i innych, o sprawiedliwość i o zdrowie, które ostatecznie utraciłam.
Zrozumiałam, że nie walka, ale zaakceptowanie raka jest pierwszym krokiem na drodze do uzdrowienia.
Myślałam już, że powiesz, że zaakceptowanie raka jest pierwszym krokiem, ale na drodze do śmierci.
– No widzisz, a ja właśnie postanowiłam inaczej podejść do choroby. Zaakceptowanie raka nie oznacza,

że choroba ma się rozwijać, a ja nic z tym nie będę robić. Akceptacja pozwala za to na spokojne przeanalizowanie możliwości. Takie zwykłe zastanowienie się: OK, no to co ja mam z tym teraz zrobić?

Zrozumiałam, że zamiast wypierać rzeczywistość, muszę ją do siebie przygarnąć. Bo w przypadku raka działa ten sam mechanizm wypierania rzeczywistości, który stosujemy, żyjąc np. w toksycznym związku. Zamiast sobie powiedzieć, że jest źle i trzeba podjąć bolesne działania, okłamujemy się, że ten partner nie jest dla nas wcale taki zły.

Brzmisz, jakbyś wiedziała, o czym mówisz.

– Bo też to przeżyłam.

Zajęło mi parę tygodni, aby odnaleźć się w nowej sytuacji. Zaczęłam zgłębiać temat. I pomyślałam w ten sposób: rak nie był wrogiem z zewnątrz, który mnie zaatakował. To była zdezorientowana komórka, która zapomniała, że jest częścią całego organizmu. Ta komórka była odizolowana od zdrowych komórek i wierzyła, że nie ma nikogo innego w pobliżu, że jest sama. Ta komórka była tak uszkodzona na poziomie genetycznym, że nie mogła się naprawić tak, jak robią to zdrowe komórki. Jedynym sposobem na przetrwanie było dla niej podwajanie się. I tak komórka zaczęła szybko przechodzić podział komórkowy, a każdy podział przekazywał uszkodzoną informację genetyczną.

Rak jest najsłabszą, najbardziej samotną komórką w ciele. Jest w procesie samozniszczenia oraz niszczenia własnego środowiska. Końcowym rezultatem jest zawsze śmierć raka – albo przez eliminację z zewnątrz, albo przez zniszczenie własnego środowiska. Czy to nie jest mimo wszystko smutne?

Zamiast więc marnować energię na roztrząsanie, „dlaczego ja”, postanowiłam skoncentrować się na procesie zdrowienia. Byłam pod opieką lekarzy, brałam chemię. Jak się zapewne domyślasz, nastawienie psychiczne w tej sytuacji było bardzo ważne, więc włożyłam w nie mnóstwo pracy.

To nastawienie pozwoliło mi się pozbyć gniewu i znaleźć w sobie współczucie dla samej siebie. Część mnie umierała i musiałam pozwolić jej odejść. Najpierw myślałam o tym w wymiarze czysto fizycznym, cieleśnym, ale potem zrozumiałam, że odchodzi też część mojego mentalu. Pewne schematy myślenia, które już mi nie służyły.

Przeszłam głęboką przemianę, która zmieniła mnie na lepsze.

Przepraszam, ale mój mental ledwo nadąży. Poproszę cię o porozkładanie tego wywodu na czynniki pierwsze. Zacznijmy od początku. Przez całe życie balaś się śmiertelnej choroby czy konkretnie raka?

– Raka.

Bo ktoś w rodzinie miał raka?

– Nie tylko dlatego. Moja ciocia, po której mam biżuterię – nawet tę teraz na sobie – zmarła właśnie na raka piersi. U mnie w rodzinie było sporo raków, ale ważniejsze jest to, że moja rodzina szalenie się boi chorób.

W takim sensie, że jesteście hipochondrykami?

– Nie do końca. Chodzi o ogromne lęki, o ciągłe badanie się. OK, hipochondria to też są lęki i ciągłe badania, ale tu chodzi o coś więcej, o brak zaufania do ciała i brak poczucia bezpieczeństwa w ciele.

Pochodzę z rodziny, której członkowie noszą w sobie wielkie traumy. Część tych traum objawia się właśnie lękiem przed utratą zdrowia.

Te traumy towarzyszą mi od pierwszych chwil życia. Kiedy się rodziłam, na brzuch mojej mamy naciskano tak mocno, żebym wreszcie wyszła, że złamano mi obojczyk. Przyszłam na świat w bólu. Urodziłam się za czasów komunizmu, noworodki były odbierane matkom i przynoszone tylko do karmienia. Tylko że mama z tego całego stresu

nie miała mleka. Z pięciu dni, które spędziłyśmy w szpitalu, przez dwa nawet mnie nie zobaczyła. To odseparowanie jest najgorszym, co można zrobić matce i nowo narodzonemu dziecku, bo biologiczne potrzeby obojga nie zostają zaspokojone, w tym potrzeba poczucia bezpieczeństwa. To początek rozstrajania układu nerwowego, za które przyszło mi płacić przez całe moje życie.

W twoim filmie „Eleutherophobia – Fear of Freedom” tytułowego strachu przed wolnością szukasz w narzucanych nam ideologiach i tożsamościach. Próbujesz wyjść poza nie, aż – tak to przynajmniej rozumiem – dochodzisz do wniosku, że jesteś tak naprawdę tym, czym są traumy twojej rodziny. Pokazujesz trupy z getta, Hitlera, Stalina. Czy to są właśnie twoje rodzinne traumy?

– Tak. Ale twoje zapewne przecież też. Bo to są nasze traumy kulturowe.

Polskie?

– Bardzo polskie. My, ludzie wychowani na polskich ziemiach, jesteśmy przeogromnie strauumatyzowani! W naszej kulturze obowiązuje gloryfikacja bólu, cierpienia oraz śmierci w imię ideologii czy religii. Ta gloryfikacja powoduje, że kolektywnie nie mierzymy się z naszymi traumami, a raczej traktujemy je jako coś niemalże pozytywnego.

Rozumiem, że mówisz znów o napięciach wynikających z traum – wojen światowych, przesiedleń, walki o byt za komuny, walki o byt za wczesnego kapitalizmu. A u kobiet dochodzi w ogóle trud bycia kobietą na tym świecie i w tej części świata. Ale czy to nie dotyczy raczej pokoleń starszych od nas, a nie naszego – 30-, 40-latków?

– Po pierwsze, pewnie słyszałeś o epigenetyce. Jest coraz więcej badań pokazujących, jak środowisko i doświadczenia mogą wpływać na ekspresję genów, a traumatyczne doświadczenia mogą wpływać na kolejne pokolenia.

A po drugie, dlaczego uważasz, że skoro urodziłyśmy się pod koniec komunizmu, to wcześniejsze traumy nas nie dotyczą? Ja wychowałam się w czteropokoleniowej rodzinie. Moja prababcia umarła, kiedy miałam 19 lat. Opowiadała mi o głodzie i rewolucji październikowej.

Ale przecież to nie są tylko opowieści rodzinne. Znamy to wszystko ze szkoły, z lekcji historii, z lekcji polskiego. Moi znajomi z zagranicy nie mogą uwierzyć, kiedy opowiadam im, jakie mieliśmy lektury szkolne.

W filmie „Lektury szkolne” wzięłaś na warsztat trzy z nich, czyli „Antka”, „Janka Muzykanta” i „Anielkę”.

– Pamiętam dokładnie ten koszmar ze szkoły. Masz dziesięć lat i czytasz o tym, jak umierają twoi rówieśnicy. I to w sposób dość straszny jak np. Rozalka z „Antka” wsadzona do pieca.

A dla mnie to było dość przezroczyste, trochę taka kontynuacja okrutnych przecież opowieści w rodzaju tej o Jasiu i Małgosi. Pamiętam za to, że ta nasza edukacja w latach 90. była intensywnie bogoojczyźniana. Z jednej strony wzdychasz do niemieckich słodczy, resoraków, lalek, gazet, a z drugiej każą ci śpiewać, że „nie będzie Niemiec pluł nam w twarz”.

– To też był oczywiście hardcore. Ciekawe, że mówisz o tej przezroczystości. Musiałam dopiero wyjechać z Polski, żeby zacząć to dostrzegać. Spojrzeć na to, co uważałam za znane i własne, z dystansu, przez pryzmat kogoś, kto już nie jest częścią tej układanki.

Chociaż, czy na pewno nie jestem? Pewnie mówię na wyrost, bo zawsze będę częścią Polski, a polskość będzie we mnie.

„Lektury szkolne” to jedyny film, który zrobiłam w języku polskim i z myślą o polskiej publiczności. Wiedziłam, że Polacy go zrozumieją, bo jest przecież o nas.



• Performance „In the Name of the Mother, and of the Daughter and of the Holy Spirit” FOT.ARCHIWUM ALEKSANDRY KARPOWICZ

Wszyscy będziemy w życiu cierpieć. Ale od nas zależy, co z tym cierpieniem zrobimy.

Z tekstami lektur zderzasz wideo z twojej pierwszej komunii, przemowy Kaczyńskiego, Rydzyka, Jana Pawła II, urywki ze Strajku Kobiet...

– No właśnie. I wiesz, co zauważyłam? Że ten film przemawia do każdej publiczności. Ludzie z zupełnie innych kręgów kulturowych też go rozumieją. Pewien Hindus z Londynu powiedział mi, że to film o nim, bo też został tak wychowany. W jego kraju – mówił – tak samo wykorzystuje się wiarę, strach, lęki społeczne, aby rządzić ludźmi. System religijny jest inny, ale metody takie same.

Poczekaj, a co do tego wszystkiego ma rak?

– Zaakceptowałam go, a to uruchomiło we mnie proces uwalniania się od tego wszystkiego.

Czyli konkretnie od czego?

– Od tego, co dźwigałam całe życie. Od traum. Od ideologii, wierzeń i wartości, które nie były moje. Zaczęłam zdejmować kolejne maski, które kiedyś mi dano i kazano założyć, a ja nosiłam je przez całe życie, wierząc, że te maski to moja twarz.

Trudne doświadczenia w życiu finalnie bywają niesamowitą możliwością do dokonania zmiany. I ja podeszłam do mojej diagnozy z taką właśnie myślą: że może to jest też dar.

„Zajebicie, mam raka!”?

– Szampana absolutnie nie otwierałam! Ale dzięki temu nastawieniu dziś myślę sobie, że rak nie przyszedł mnie zabić, ale by mnie uzdrowić.

Skupiłam się na tym, by stworzyć wokół siebie otoczenie, w którym będę się mogła leczyć. Otworzyłam się na miłość, przestałam wywierać na siebie presję, dałam sobie spokój.

Czegoś takiego jak film nakręcony przez ciebie, kiedy czekasz na operację usunięcia nowotworu z piersi, jeszcze nie widziałem. Skradasz się po szpitalu do muzyki z „Różowej Pantery”, wyglupiasz się, jakby szpital był najlepszym miejscem do zabawy. Wrzuciłaś to na Instagrama.

– Po usłyszeniu diagnozy obdzwoniłam znajome kobiety, które przeszły przez raka piersi. Pytałam, jak sobie z tym radzić. Jedną z ich rad było śmianie się. Śmiech pobudza

serce, płuca i mięśnie, zwiększa wydzielanie endorfin. A tym samym łagodzi reakcję na stres.

Ja uwielbiam się śmiać, więc nie trzeba mnie było namawiać do wykorzystania tej broni w najbardziej stresujących momentach.

Jednym z nich była moja druga operacja. Opóźniła się o prawie sześć godzin. Siedziałam zamknięta na oddziale i coraz wyraźniej czułam, że panika zaczyna przejmować nade mną kontrolę. Napisałam do mojego partnera, że na chwilę ucieknę z oddziału i żebyśmy się spotkali na korytarzu. Nie wiedzieć skąd przyszła mi do głowy melodia z „Różowej Pantery”. Dałam mu telefon, poprosiłam: „Nagraj mnie, zrobimy coś z ja-jem”. I zaczęłam biegać po szpitalu, chowając się przed wszystkimi. Mieliśmy przy tym świetną zabawę.

Po powrocie na oddział szybko to zmontowałam. Chirurg, pielęgniarki i reszta personelu była potwornie zestresowana z powodu komplikacji przy poprzedniej operacji. Mój filmik rozbroił napiętą atmosferę. A czułam się za nią jakoś odpowiedzialna, bo przecież to oni harowali, a ja leżałam sobie spokojnie w narkozie. Na salę operacyjną poszliśmy wszyscy rozluźnieni, z uśmiechami.

Na ile jesteś szczerą i spontaniczną w takich zabiegach, a na ile forsujesz sytuację, by nie zdawała się aż tak straszna?

– To nie jest forsowanie, to jest znajdowanie narzędzi, które pomogłyby mi przejść przez trudne momenty. Każdy z nas ma jakieś mechanizmy radzenia sobie z problemami. Po otrzymaniu diagnozy wybrałam te, które, co wiedziałam z wcześniejszych doświadczeń, się u mnie sprawdzają: medytację, poranne spacery.

Nie oznacza to jednak, że nie siedziałam godzinami na Netflixie. Że nie płakałam. Że nie miałam ataków paniki. Były dni, kiedy nie chciało mi się wstać z łóżka, bo choroba odebrała mi wiele marzeń i planów, a mogła odebrać też życie. Więc nie chcę, żeby to wszystko brzmiało jak łatwa i przyjemna droga, bo było dokładnie odwrotnie.

W filmikach na Instagramie opowiadałaś też o zaostrożeniach choroby. Jesteś na nich rozzdzierająco smutna.

– Po pierwszej operacji okazało się, że jest gorzej, niż myśleli, i że miałam przerzut. Musiałam przejść przez kolejną operację i chemioterapię, która wcześniej nie była brana pod uwagę.

Więc sam widzisz, że nie zakłamuję rzeczywistości. Nie lubię tzw. toksycznej pozytywności. Dobrze być pozytywnym w życiu, ale, sorry za banał, życie składa się z całego spektrum emocji i doświadczeń życiowych. Nie ma co udawać, że zawsze jest super. Nie jest. Jak wycinają ci piersi, jest ciężko i trzeba się z tym zmierzyć.

Wszyscy będziemy w życiu cierpieć. Ale od nas zależy, co z tym cierpieniem zrobimy.

Czy lekarz powiedział ci: „Zostało pani tyle a tyle”?

– Nie, powiedział tylko, jakie są moje rokowania. Ale przecież tak naprawdę usłyszałam, że mogę umrzeć. A to jest mocne przypomnienie, żeby nie ignorować wartości czasu!

Przy każdym załamaniu próbowałam więc przekierować swoją uwagę do „teraz”.

To znaczy?

– Powiedzmy, że gorzej się czułam. Zamiast myśleć: „Teraz gorzej się czuję, chyba jednak niedługo umrę”, myślałam: „Teraz gorzej się czuję. Czego potrzebuję w tej chwili? Może po prostu położyć się, odpocznę”.

Można sobie to ot, tak przetłumaczyć?

– To wymaga ogromnej pracy mentalnej. Spróbuję ci to wytłumaczyć. Siedzimy tutaj teraz razem przy stole. Czujesz, że jestem całkowicie skupiona na rozmowie z tobą?

Tak.

– No bo jestem. I nie myślę o tym, co będzie na następnym mammografie, bo wtedy nie byłabym w „teraz”, w naszej rozmowie. A „teraz” to jedyne, co mam. Wczoraj już minęło, a jutra mogą nie mieć. Mam tylko tę chwilę, w której z tobą tu siedzę. I chcę ją dobrze wykorzystać.

Myślę cały czas o ironii losu, że z tym rakiem trafiło na artystkę, która w swojej sztuce tak intensywnie zajmuje się ciałem.

– Ha, ha, ha, no właśnie!

Dzięki rakowi rozumiałam jednak, że jest wiele poziomów budowania relacji z ciałem, a przechodzenie przez leczenie nowotworowe znacznie tę relację pogłębia.

Operacje, infuzje, naświetlania, leki powodują, że nie byłam już tym, kim wcześniej. To ciągłe budowanie poczucia bezpieczeństwa w ciele.

Kiedy to rozumiałam, stało się dla mnie jasne, że wcześniej nie żyłam w pełni w zgodzie z ciałem, nie słyszałam wielu jego sygnałów. I że nie do końca byłam dla siebie dobra i życzliwa. Ta choroba się znikąd nie wzięła.

To brzmi trochę tak, jak gdyby chorzy na raka byli winni temu, że zachorowali. A przecież ci, którzy nie palą, nie piją i w ogóle zdrowo się prowadzą, też chorują. – Masz absolutną rację! Na utratę zdrowia wpływa wiele czynników – zewnętrznych i wewnętrznych – i nikt nigdy nie jest winny temu, że zachorował. Wręcz przeciwnie, nie jest łatwo być w pełni zdrowym psychicznie i fizycznie w tym świecie. Żyjemy w ciągłym biegu i stresie, zgodnie z wartościami, które nie są nasze, odseparowani od natury, od siebie nawzajem, a przede wszystkim od naszego „ja”. Choroba może być okazją, aby znaleźć dla siebie więcej współczucia, miłości i zrozumienia.

Ja nigdy nie będę wiedziała, dlaczego zachorowałam. Ale są pewne okoliczności, które na to wpłynęły. Jedną z nich jest przewlekły stres wywołany przez stany lękowe. Jak już wspomniałam, te miałam od dziecka. Nawarstwiały się, aż w pandemii doznałam załamania nerwowego.

O czym nakręciłaś film „Breakdown”: kilkuninutowy zapis twojego krzyku. Czego tylko się domyślały, bo to film niemy. – Sztuka stała się dla mnie sposobem na uwalnianie tych uwięzionych w ciele traum.

A coś konkretnie stało się w pandemii, że się tak załamałaś?

– Mój świat wtedy stanął, a może nawet się trochę zawalił. W 2019 r. miałam wrażenie, że świat stał przede mną otworem! Przez pięć miesięcy miałam wystawę w Wenecji podczas Biennale. Byłam na prestiżowej rezydencji artystycznej w Palazzo Monti we Włoszech. W Wiedniu pokazywałam mój performance „In the name of the Mother, and of the Daughter and of the Holy Spirit” na wystawie m.in. z Mariną Abramović.

W tym projekcie pozujesz topless ustylizowana na Jezusa, prezentując hasła „Bóg nie ma płci”, „Dlaczego wszyscy biskupi to mężczyźni?”. Słyszałaś o paragrafie za obrazę uczuć religijnych?

– Oczywiście. Akurat tę fotografię sprzedawałam w Polsce na aukcji, więc ewidentnie są tutaj ludzie, którzy rozumieją mój przekaz.

A wracając do czasów przedpandemicznych, robiłam też wspólny projekt „Seidr” za kołem podbiegunowym w Norwegii. Składał się z fotografii robionych pomiędzy pełnią a nowiem, z zorzą polarną, a także z rytuału kobiet wikingów odprowadzającego podczas pełni, podczas którego wznosi się modły do bogów nordyckich. Artystka Isabella Steinsdotter, z którą ten projekt realizowałam, odziedziczyła ten rytuał po swojej prababce. Ja w żadnych bogów nie wierzę, tu chodziło o oddanie hołdu wikingom kobietom. Przy okazji była to dla mnie niesamowita lekcja tego, jak można przez umysł kontrolować ciało. Bo było minus 18 st. C,

a my byliśmy w letnich sukienkach i sandałach. I dałyśmy radę.

A, i jeszcze miałam kampanię w Nowym Jorku; zresztą miałam się tam przeprowadzić w 2020 r.

Jaką kampanię?

– Reklamową.

Reklamującą co?

– Ale ciagniesz za język! To była kampania dla producenta wibratorów (*śmiech*)! Bardzo fajna zresztą, bo chodziło o przełamywanie stereotypów. Wzięli mnie, bo jako artystka pracowałam z tematyką seksualną, więc miałam doświadczenie w temacie. No więc przygotowałam wszystko od A do Z, od castingu po finalną produkcję.

Dlaczego to jest coś, o czym nie chciałaś opowiedzieć?

– A, bo my tu o sztuce, rytuałach, a ja wjeżdżam z jakimiś komercyjnymi wibratorami. A chciałam tylko powiedzieć, że przed pandemią miałam poczucie, że lata ciężkiej pracy w końcu zaczęły przynosić rezultaty. Aż w pandemii wszystko się zatrzymało. I załamało. I ja też się załamałam. Zajęło mi kilka lat, żeby zacząć odzyskiwać dawną energię, a kiedy już czułam, że ją odzyskuję, otrzymałam diagnozę. Ale postanowiłam przestać to wszystko rozgrzebywać i zamiast tego skupić się na tym, co jest teraz, i na tym, jak cieszyć się z każdego dnia.

W pokazywanym podczas Biennale w Wenecji i Biennale na Malcie filmie „Body as Home” (Ciało jako dom) mieszkańcy czterech światowych metropolii – Londynu, Nowego Jorku, Cape Town i Warszawy – oraz odwiedzający je turyści, przemierzając nago ulice tych miast, opowiadają o relacjach pomiędzy miastem, ciałem a domem. A ty jak dziś czujesz się w twoim domu ciele?

– Dobrze. Jakbym wróciła do siebie i powiedziała: „Welcome home!”.

Zmieniło mi się też podejście do dyscypliny czy rozmaitych życiowych decyzji, bo zauważyłam, że myślę o nich właśnie pod kątem tego, żeby były dobre dla ciała. I to nie bierze się ze strachu! Jeśli np. decyduję się na to, żeby jeść zdrowo, to nie dlatego, że boję się, że rak wróci, tylko dlatego, że chcę być zdrowa, żeby ciało dobrze się czuło. Ale nie wywieram też na siebie presji. Staram się robić to, co w danej chwili wydaje się dla mnie dobre i sprawia mi radość.

Kiedy i po co wyjechałaś do Londynu?

– To było prawie 14 lat temu. To był dla mnie początek nowego rozdziału. Zaczęłam rzucić z siebie te wszystkie oczekiwania wobec mnie dotyczące tego, kim powinnam być, jak powinnam żyć itd.

Kto ci mówił, jak powinnas żyć?

– (*cisza*)

Zazwyczaj są to rodzice.

– Zazwyczaj są to rodzice. Ale nie warto rzucać wszystkiego na członków rodziny, bo wobec nich też były oczekiwania, którym starali się sprostać. Ta cała presja, kim mamy być i jak mamy żyć, wychodzi daleko poza nasze domy, wynikające z głęboko zakorzenionych i przekazywanych z pokolenia na pokolenie norm społecznych.

A kim miałaś być? Wyjeżdżałaś z Polski już jako dorosła kobieta, ale wcale nie byłaś artystką.

– Bo właśnie w Londynie postanowiłam sobie, że zacznę wreszcie robić coś, co jest mną. Zaczęłam fotografować, poszłam na studia fotograficzne. Zaczęłam myśleć nad trudniejszymi tematami, nie martwiąc się o poprawność polityczną czy oskarżenia o obrazę uczuć religijnych. I tak krok po kroku już poszło.

Ale artystyczna to ja byłam zawsze. Tyle że zawsze słyszałam, że...

...nie będzie z tego pieniędzy?

– Tak!

Ale z politologii, którą studiowałaś, też raczej często nie ma.

– Po politologii można robić wszystko.

No tak, czytałem, że zasiadałaś w radzie nadzorczej spółki skarbu państwa!

– Pracowałam w Ministerstwie Skarbu Państwa i zdałam egzamin dający mi uprawnienia do zasiadania w radach nadzorczych spółek. Ale to kompletnie nie była moja ścieżka. Pracowałam też jakiś czas w Parlamencie Europejskim.

Studia politologiczne były fascynujące. A jeszcze do tego pojechałam na dwie wymiany zagraniczne, na Litwę i do Norwegii, co miało na mnie mocno transformacyjny wpływ. Zwłaszcza przyjrzenie się z bliska zupełnie innemu systemowi norweskiemu.

Tam to dopiero można zrobić zbliżenie na Polskę.

– Po roku w Norwegii nie mogłam się w Polsce odnaleźć, tak bardzo otworzyły mi się oczy na różnice między naszymi społeczeństwami. Pracę magisterską napisałam o wpływie kobiet na politykę w Norwegii, a moja teza była taka, że to właśnie kobiety miały kluczowy wkład w ukształtowanie się socjaldemokratycznego systemu w tym kraju.

Moja sztuka jest polityczna, a jej polityczność bierze się właśnie z tego backgroundu.

A po co taka artystyczna dusza poszła na politologię?

– Od zawsze byłam aktywistką, chciałam zmieniać świat na lepsze. Myślałam, że praca w polityce dałaby mi taką możliwość. Ale w pewnym momencie rozumiałam, że polityka to gra i nie możesz pozostać w niej sobą w 100 proc.



Część mnie umierała i musiałam pozwolić jej odejść

Co to znaczy, że od zawsze byłaś aktywistką?

– Pamiętasz referendum unijne w 2003 r.? Robiłam plakaty zachęcające do głosowania. Sama wymyśliłam nawet hasło: „Zagłosuj »tak«! Twoje dzieci i wnuki będą ci za to wdzięczne” (*śmiech*). To było jeszcze w liceum. Zawsze angażowałam się w rozmaite kampanie społeczne, słałam listy do rzecznika praw obywatelskich w obronie pokrzywdzonych, organizowałam różne akcje, np. kampanię dla Vagina Museum w Londynie po zaostrzeniu prawa aborcyjnego w Polsce. Wszystkie moje performancje są też formą aktywizmu.

Kiedy cię poznałem, nie wiedziałem nic o twojej chorobie. Miałaś króciutkiego języka i myślałem, że po prostu lubisz fryzurę na Sinéad O'Connor, to był dla mnie twój naturalny wygląd, dopiero na filmach zobaczyłem, że wcześniej miałaś długie włosy.

– Nie mogłeś tego wiedzieć, ale kilka dni wcześniej miałam siódmą chemioterapię.

Włosy ścięłam jeszcze przed rozpoczęciem chemioterapii. Była duża szansa, że je stracę. Nie chciałam znajdować ich na poduszce.

Potrzebowałam też zyskać poczucie, że mam nad czymś kontrolę. Bo po takiej diagnozie masz wrażenie, że niczego nie kontrolujesz. Co nie jest oczywiście prawdą, bo wciąż możesz mieć kontrolę nad mnóstwem spraw.

Na przykład nad tym, żeby się leczyć.

– Właśnie! I jak do tego leczenia podejść. I wiesz, że ścinałam te włosy dziesięć razy, przed każdą chemią, ale ich jednak nie straciłam? Za każdym razem mi odrastały. Wokół ścinania włosów robię film „Remember What You Forgot”.

Mówię tam: twoje włosy cię nie definiują. Twoja pleć cię nie definiuje. Twoja rasa cię

nie definiuje. I tak dalej. A w drugiej części mówię o tym, co nas definiuje. A to jest człowieczeństwo. Empatia. To, jak traktujemy innych ludzi i siebie.

To nas definiuje, a nie to, jak wyglądamy.

Rozumiem i popieram ideę wyzwiania się z narzuconych tożsamości i konstruowania własnych, ale muszę tutaj trochę zaprotestować.

– Dobrze, dobrze, podważaj moje pomysły!

Bo to jednak socjologiczna herezja, że pleć czy rasa nie definiują naszej tożsamości. Choćby dlatego, że pleć i rasa to nie tylko wygląd, ale też cały ich kulturowy kontekst. A jeśli wyróżnia nas człowieczeństwo, to w człowieczej tożsamości zapisane jest też kłamstwo i zło.

– Wsadziliśmy kij w mrowisko! (*śmiech*). Chyba nie do końca mnie zrozumiałeś. Zgadzam się z tobą, że pleć i rasa to cały kulturowy kontekst, a nie tylko wygląd. Pytanie jednak, czy to, jak jestem postrzegana w społeczeństwie, czyli np. jako biała kobieta, mówi naprawdę o tym, kim jestem? Czy za tą definicją mnie jest jakakolwiek informacja o tym, jakim jestem człowiekiem? W co wierzę, jak traktuję innych?

Z drugiej strony to, że inni mnie postrzegają w ten sposób, będzie kształtowało moje doświadczenia życiowe, często wbrew mojej woli. Mogę być uprzywilejowana ze względu na kolor skóry lub dyskryminowana ze względu na pleć, wszystko w zależności od tego, jak postrzegają mnie inni, bez względu na to, czy się z tym identyfikuję, czy nie.

I w tym sensie uważam, że ani wiek, ani orientacja seksualna, narodowość czy wyznanie nie mówią o tym, kim jesteśmy jako ludzie. Rozumiem jednak i szanuję tych, dla których te tożsamości są ważne.

Oczywiście, ludzie są też okrutni i źli. Jesteśmy częścią natury, a w naturze – przepraszam znów za banal – wszystko jest i dobre, i złe, jest i piękne, i brutalne. Tylko że jako ludzie mamy dostęp do ogromnego zasobu świadomości. Jesteśmy w stanie spojrzeć w lustro i z całkowitą szczerością powiedzieć: „Mam w sobie i dobro, i zło”. I z tą samą świadomością możemy dokonywać wyborów, decydować, co chcemy zrobić z tą naszą ciemną stroną. Nikt nam nie każe być kłamcami czy destrukcyjnymi tyranami.

Skoro twoja sztuka tak mocno wyrasta z polskości, to może zobaczymy ją wreszcie kiedyś w Polsce? Bo w polski obieg już weszłaś. Wiosną współtworzyłaś kapitałny polski kobiecy pawilon na Malta Biennale stworzony przez OmenaArt Foundation. Pamiętam katartyczną ciszę i lzy publiczności po performansie „Before the Scream, There Was a Whisper”, w którym ruchem, tańcem, bieganiem opowiadałaś o zmaganiu się z chorobą.

– Jestem wdzięczna Omenie Mensah i kura-torce pawilonu Natalii Bradbury, które zaprosiły mnie na Malte i przedstawiły polskiej publiczności odwiedzającej biennale. To było dla mnie magiczne wydarzenie, poznałam tam mnóstwo osób, z którymi miałam momenty połączenia na głęboko ludzkim poziomie. Zobacz, bez tego wzajemnego otwarcia nie byłoby też przecież i naszej dzisiejszej rozmowy. Jestem pewna, że moja sztuka zostanie pokazana w Polsce w podobnie idealnych okolicznościach. ●

*Aleksandra Karpowicz

• rocznik 1984. Artystka zajmująca się kwestiami seksualności, cielesności, tożsamości, polityczności, a ostatnio także własną chorobą nowotworową. Jej prace – fotografie, wideo czy performancje – były prezentowane m.in. podczas Biennale w Wenecji i na Malcie oraz w galeriach w Wielkiej Brytanii, RPA, USA i zachodniej Europy. Sztuką zajęła się po wprowadzce do Londynu w 2011 r. W Polsce pracowała na zapleczu wielkiej polityki.

Wojciech Szot

O "Czesławowi Miłoszowi z pozdrowieniami z Polski. Tadeusz Różewicz". Egzemplarz „**Niepokoju**”, opublikowanego w 1947 r. debiutanckiego tomu Różewicza, z taką dedykacją osiągnął przed trzema laty cenę 3520 zł. – Dziś pewnie kosztowałby powyżej 5 tys. – mówi Marcin Gałązka prowadzący antykwariat Zakładka w Warszawie.

– Ceny książek z autografami, zwłaszcza znanych dla znanych, mogą zaskakiwać – opowiada. Zdaniem Gałązki „ludzie często nie wiedzą, że mają w domu perły”. – Wyglądają niepozornie, a potrafią kosztować powyżej 500 zł – mówi antykwariusz.

O jakich tytułach mowa?

Zaczniemy od rekordów

Polski rynek antykwaryczny nie należy do najdroższych na świecie. Rekordy aukcyjne to m.in. sprzedaż wydanego w 1521 r. egzemplarza „**Chronica Polonorum**” Macieja Miechowity za 141 900 zł oraz 103 tys. zł uzyskane w 2000 r. za pochodzące z 1566 r. drugie wydanie „**O obrotach sfer niebieskich**” Mikołaja Kopernika.

Najdroższym rękopisem książki sprzedanym w Polsce na oficjalnej aukcji jest rękopis „**Wiernej rzeki**” Stefana Żeromskiego – cena wycytowana (bez opłat aukcyjnych) to 240 tys. zł przy cenie wywoławczej 150 tys. zł. Nabyła go Biblioteka Narodowa.

Jednak nawet jeśli nie macie w domu akurat dzieła Kopernika, czy nieznanego listu Mickiewicza (może być wart nawet 130 tys. zł), możecie mieć jedną z wielu poszukiwanych na antykwarycznym rynku książek. Na przykład... tomy poetyckie.

Szyborska „serdecznie a platonicznie”

– Debiuty znanych poetów osiągają rekordowe kwoty – mówi Gałązka. I tak wydany w 1952 r. debiutancki tom Wisławy Szymborskiej „**Dlatego żyjemy**” został sprzedany w styczniu 2023 r. za ponad 1 tys. zł.

A za egzemplarz – z autografem i dedykacją niejakiemu Henrykowi („serdecznie a platonicznie”) – zapłacono aż 1760 zł.

– O cenie decyduje znane nazwisko, ale też niski nakład i stan zachowania – opowiada Gałązka.

Nakład debiutu Szymborskiej zawierającego takie wiersze jak „Gdy nad kołyską Ludowej Konstytucji do wspomnień sięga stara robotnica” wyniósł 1140 egz. Po dwóch latach pojawiło się drugie wydanie w nakładzie 2101 egz. Za tę edycję trzeba dzisiaj zapłacić od 250 do 800 zł.

– Nadal większość książek sprzedaje się z półki. Tylko te najlepsze trafiają na aukcje. Zmieniło się jednak to, że to, co jeszcze parę lat temu można było kupić od ręki w antykwariacie, coraz częściej jest przedmiotem licytacji aukcyjnych.

Książki Szymborskiej należą do najdroższych na antykwarycznym rynku poezji współczesnej. Za jej drugi tom – „**Pytania zadawane sobie**” z 1954 r. – trzeba zapłacić nawet 750 zł. Kolejny – „**Wołanie do Yeti**” – kosztuje na aukcjach od 270 do 900 zł.

Nie zaskakuje, że wysokie ceny osiąga edycje limitowane, jak choćby wydany w Mediolanie w nakładzie 63 egz. jej tomik „**Dodici poesie**” (3,3 tys. zł).

Jeden z antykwariatów od roku wystawia na aukcjach listy ze słynnymi wyklejkami adresowane do Stanisława Balbusa, literaturoznawcy i autora m.in. książki o twórczości noblistki. Na kupno takiej wyklejki trzeba mieć od 3 do 7 tys. zł.

Rozcinanie Herberta

2420 zł – tyle zapłacił nabywca tomu „**Hermes, pies i gwiazda**” Zbigniewa Herberta z dedykacją autora i pieczęcią: „Dowódca Królewskiej Samodzielnej Brygady Huzarów Śmierci. Zbigniew Herbert”. Cena wywoławcza tomiku: 300 zł.

AUTOGRAF POETY *jak* SZTABKA ZŁOTA

„Ludzie często nie wiedzą, że mają w domu perły.”

Od debiutu Wisławy Szymborskiej po „Wiedźmina” Andrzeja Sapkowskiego.
Na półkach możesz mieć fortunę.

Huzarami Śmierci nazywano członków utworzonego w 1920 r. Dywizjonu Jazdy Ochotniczej. Zasłynęli tym, że nigdy nie ponieśli porażki oraz mieli charakterystyczne proporczyki: białe-czarne z przypiętą trupa główką. Można się spotkać z interpretacjami, że Herbert sprofundował sobie pieczętkę w poczuciu duchowej więzi z huzarami, choć w listach używał też takich pseudonimów, jak „emerytowany Dionizos”, „Puchatek” czy „Potwór z Loch Warsaw”.

Jakkolwiek by interpretować, historia, która kryje się za pieczętką, z pewnością wpłynęła na cenę egzemplarza. Bo to, co lubią kolekcjonerzy, to nie tylko mieć pierwsze, najlepiej niezniszczone, wydanie, ale też wejść w posiadanie przedmiotu, za którym stoi ciekawa opowieść.

Debiut Herberta – wydany w 1956 r. tom „**Struny światła**” – na aukcji antykwariatu Rara Avis został sprzedany za 1430 zł. Choć w książce nie ma autografu, atrakcją dla nabywcy była możliwość rozcięcia stron w tej nigdy nieotwieranej książce.

3520 zł – to kwota wycytowana za „**Poemat o czasie zastygłym**”, wydany w 1933 r. debiut Czesława Miłosza z autografem z 1989 r. Jednym z białych kruków jest „**Księga Hioba**” – wydany w Paryżu w 1981 r. przekład biblijnej księgi autorstwa noblisty z ilustracjami Jana Lebensteina. Opublikowano 1 tys. numerowanych egzemplarzy. Cena – od 800 do 1320 zł.

Zaś pierwsze – emigracyjne – wydanie „**Ziemi Ulro**” na aukcji w 2022 r. zostało sprzedane za ponad 500 zł.

Tańszym poetą jest Miron Białoszewski. Debiutanckie „**Obroty rzeczy**” z 1956 r.,

w których znajduje się m.in. słynna „Karuzela z madonnami”, z autografem to koszt od 500 do 1,1 tys. zł. Pierwsze wydanie „**Pamiętnika z powstania warszawskiego**” – z dedykacją – na aukcji w 2022 r. zostało sprzedane za 528 zł.

Wojenne hity aukcyjne

Za cenzurę w polskim kolekcjonerstwie książek uważa się rok 1950. Wtedy zlikwidowano już większość prywatnych wydawnictw i wydawano książki w masowych nakładach. To powoduje obniżenie ich cen w antykwariatach. A ile kosztują polskie książki wydane w czasie II wojny lub tuż po niej? Krocie!

Osobną kategorię stanowią polskie książki wydawane za granicą.

Jak pierwsze wydanie „**Dywizjonu 303**” Arkadego Fiedlera, które ukazało się w Londynie w 1942 r. nakładem założonego przez Ignacego Lindenfelda i Maurycyego Koha wydawnictwa M. I. Kolin Publishers. Antykwariat Sobieski wystawił – współcześnie oprawione – dzieło za 2,6 tys. zł.

A pierwsze polskie wydanie – ukazało się w 1943 r. nakładem Ruchu „Miecz i Plug” – sprzedano w maju 2023 r. za 2860 zł.

Wyjątkową książką są „**Kamienie na szaniec**” Aleksandra Kamińskiego. Wydane pod pseudonimem „Juliusz Górecki” i z podtytułem „Opowiadanie o Wojtku i Czarnym” przez Komisję Propagandy Biura Informacji i Propagandy AK oraz wydrukowane przez Tajne Wojskowe Zakłady Wydawnicze potrafią osiągać cenę nawet ponad 10 tys. zł.

Szczególnie ciekawa historia stoi za pierwszym wydaniem na aukcji w 2021 r. egzemplarzem pierwszego wydania „Kamieni...” z dedykacją Juliana Polan-Haraschina dla Tadeusza Kwiatkowskiego.

Haraschin, zbrodniarz komunistyczny odpowiedzialny za dziesiątki wyroków śmierci wydanych na żołnierzy podziemia, ofiarował „Kamienie...” Tadeuszowi Kwiatkowskiemu, satyrykowi i scenarzyście m.in. „Rękopisu znalezione w Saragossie” Wojciecha Hasa czy serialu „Janosik”.

Haraschin, po 1968 r. tajny współpracownik SB, inwigilował środowiska artystyczne i przedstawiał się jako były członek AK. W rzeczywistości od 1940 r. niemal do końca okupacji pracował w hitlerowskim Biurze Transportu Dyrekcji Monopoli w Krakowie. Egzemplarz z taką historią został sprzedany za 16 500 zł.



Równie cenne, co pierwsze jest drugie wydanie książki. Ukazało się ono kilka miesięcy później i obejmuje wydarzenia do września 1943 r. (pierwsze obejmowało wydarzenia do kwietnia 1943 r.). Książkę zilustrował Roman Hussarski. Najwyższa cena aukcyjna w ostatnich latach to 5060 zł.

Powojenne wydanie „Kamieni...” z 1956 r. z autografem autora to ponad 500 zł.

To wciąż niewiele przy kwotach, które trzeba mieć, żeby nabyć np. pierwsze wydanie „**Quo vadis**” Henryka Sienkiewicza (cena wywoławcza: 20 tys. zł), „**Sanatorium pod klepsydrą**” Brunona Schulza (wywoławcza: 24 tys.) czy specjalną, przygotowaną na Światową Wystawę w Paryżu, edycję albumu „**Polska lotnicza**” z 1937 r.

W tym bogato zdobionym albumie jest m.in. sześć grafik sygnowanych ołówkiem przez Anatola Girsę i Bolesława Barczą, twórców najsłynniejszego przedwojennego atelier projektującego reklamy. „**Polskę lotniczą**” jeden z antykwariatów próbuje od kilku lat sprzedać za 14 tys. zł. Zwykła edycja tej książki kosztuje ok. 1 tys. zł.

Tuż po wojnie. Generał i Książę

17 600 zł na aukcji zapłacono za egzemplarz pierwszego wydania wspomnień gen. Władysława Andersa „**Bez ostatniego rozdziału**”. Książka ukazała się w 1949 r. nakładem oficyny Montgomeryshire Printing Company z walijskiego miasteczka Newtown.

Dlaczego, choć to wydanie można bez przeszkód kupić za 200 zł, ktoś zdecydował się zapłacić taką kwotę? Na karcie tytułowej jest dedykacja Andersa dla jego adiutanta kapitana Eugeniusza Lubomirskiego.

Rekordy bije też pierwsze polskie wydanie „**Małego Księcia**” Antoine’a de Saint-Exupéry’ego. Książka została wydana w 1943 roku w Nowym Jorku, a polski przekład autorstwa Marty Malickiej miał swoją premierę w 1947 r. W 2021 r. za taki egzemplarz „Małego Księcia” zapłacono 8250 zł. Trzy lata później – 9350.

Polski przekład był dopiero drugim tłumaczeniem, po amerykańskiej edycji. Książka – nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Płomienie” – ukazała się w dwóch wersjach oprawy – półpłóciennnej i bardziej eleganckiej – płóciennnej. Właściciele drugiego polskiego wydania z 1958 r. (tłum. Jan Szwykowski) mogą liczyć na zarobek w wysokości nawet 1 tys. zł.



FOT. MATEUSZ KWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Legendarne książki dla dzieci to antykwaryczne białe kruki. Pierwsze polskie wydanie „**Kubusia Puchatka**” (1937 r.) wylicytowano za 9350 zł. A „**Anię z Zielonego Wzgórza**” (1912 r.) – za 5060 zł. Wydanie z 1956 r. można kupić za kilkadziesiąt złotych. Trochę więcej – 500 zł – trzeba dać za pierwsze powojenne wydanie „Kubusia...”.

Fantastyka się ceni

A co, jeśli akurat nasi rodzice czy dziadkowie nie kupowali poezji, nie znali Andersa i zniszczyli książki czytane w dzieciństwie? Być może kupowali **Stanisława Lema**. Najlepiej, gdyby mieli jego powieści, ale ich nie czytali, bo wtedy – w idealnym stanie – mogą osiągać spore kwoty na aukcjach. Oczywiście dotyczy to pierwszych wydań. – Lem jest jednym z niewielu polskich pisarzy popularnych na całym świecie, więc jego książki kolekcjonują nie tylko Polacy – mówi Gałązka, tłumacząc tym samym fakt, że pierwsze wydanie „**Solaris**” osiąga na aukcjach cenę 1,1 tys. zł.

„**Księga robotów**” czy „**Cyberiada**” z ilustracjami Daniela Mroza to ok. 500 zł. Za większość pierwszych wydań książek Lema trzeba zapłacić przynajmniej 200 zł. „Cennym” autorem jest też **Andrzej Sapkowski**. Pierwsze wydanie „**Wiedźmina**” (1990 r.) to od 300 do 500 zł. Kupując, warto sprawdzić, czy na str. 171. wklejono erratę. Do książki dołączona była bowiem kartka do zaklejenia błędnie wydrukowanej strony. Kolejny zbiór opowiadań z wiedźmińskiego uniwersum – „**Miecz przeznaczenia**” – to koszt maksymalnie 200 zł. Książki z autografem pisarza można kupić za ok. 400 zł. Jak to często bywa – polskich autorów pod względem finansowym przebija pisarz zagraniczny. Komplet pierwszego wydania „**Władcy pierścieni**” **J.R.R. Tolkiena** (tłum. Maria Skibniewska, wyd. Czytelnik w latach 1961-63) w czerwcu 2024 r. poszedł na aukcji – mimo naddarcia, drobnych ubytków obwoluty i „małego zaplamienia brzegów bloków” – za 3740 zł, choć jeszcze w 2020 r. kosztował 1320 zł.

Jednak rekordy aukcyjne bije pierwsze wydanie „**Hobbita**” (tłum. Maria Skibniewska, wyd. Iskry 1960) z ilustracjami Jana Młodożeńca. Szczęśliwi posiadacze mogą go sprzedać na aukcji – przed odliczeniem kosztów pośredników – nawet za 4180 zł, jak miało to miejsce w marcu tego roku.

Najdroższe na aukcjach w Polsce

141 900 zł

• za „Chronica Polonorum” Macieja Miechowity z 1521 r. Nasz rekord aukcyjny.

240 000 zł

• za rękopis „Wiernej rzeki” Stefana Żeromskiego. Najdroższy polski rękopis.

1760 zł

• za „Dłatego żyjemy”, wydany w 1952 r. debiut poetycki Wisławy Szymborskiej, ale z autografem i dedykacją.

1430 zł

• za „Struny światła”, wydany w 1956 r. debiutancki tomik Zbigniewa Herberta z jeszcze nierozciętymi stronami.

3520 zł

• za „Poemat o czasie zastygłym”, wydany w 1933 r. debiut Czesława Miłosza z jego autografem z 1989 r.

ponad 10 tys. zł

• za pierwsze wydanie „Kamieni na szaniec” Aleksandra Kamińskiego z 1943 r. (wydane dzięki Komendzie Główniej AK)

17 600 zł

• za pierwsze wydanie wspomnień gen. Andersa „Bez ostatniego rozdziału” z 1949 r. z dedykacją dla jego adiutanta.

75 tys. i 38 tys. zł

• za plansze komiksowe do „Tytusa, Romka i A'Tomka” narysowane przez Henryka Chmielewskiego czyli Papcia Chmiela (polski rekord komiksowy).

Ile za numer do Tokarczuk? A ile za „legendę”

Co ze współczesnymi pisarzami? Zbieranie autografów to inwestycja w przyszłość, ale raczej wnucząt czy prawnucząt. Rekordową była z pewnością zorganizowana w 2021 r. aukcja „okaleczonych” książek **Olgi Tokarczuk**. Najdroższa, wylicytowana za 5101 zł książka to „**Księgi Jakubowe**”, na okładce której znajduje się wykreślona markerem obelga „oszustka”.

„**Annę In w grobowcach świata**” z autografem autorki sprzedano w październiku 2024 r. za 363 zł i jest to jeden z najwyższych wyników aukcyjnych książek noblistki. 500 zł – na tyle ustalono cenę wywoławczą za pierwsze wydanie „**E.E.**” (1995 r.) z autografem autorki i... jej „nieaktualnym numerem telefonu”.

Kolekcjonerzy z pewnością czekają z wystawianiem na aukcjach kolekcjonerskich wydań książek Tokarczuk. Być może czekać będą długo, bo nawet numerowana edycja angielskiego wydania „Ksiąg Jakubowych” nie cieszy się powodzeniem. Na stronie wydawcy wciąż można – mając 510 zł – kupić jeden z 457 egzemplarzy, które pozostały z nakładu liczącego 1 tys. sztuk.

Za pierwsze wydanie „**Wojny polsko-ruskiej...**” z autografem **Doroty Masłowskiej** trzeba zapłacić ok. 250 zł, a sygnowanego „**Króla Szczepana Twardocha** – 110 zł.

Książkom z autografami dobrze robi śmierć autora lub jego przejście do kategorii „legendy”. Niezależnie od tego, z czym te legendy nam się kojarzą.

I tak, 22 tys. zł kosztowało dzieło „**Polityka polska i odbudowanie państwa**” **Romana Dmowskiego** z autografem autora.

A niemal 4 tys. zł. zapłacił miłośnik bądź miłośniczka twórczości **Marka Hłaski** za emigracyjne wydanie zbioru „**Cmentarze. Następny do raj**u” (1958 r.) z dedykacją autora dla krytyka literackiego Henryka Berzy. „*Porozrzucamy więc poronione płody naszego szczęścia, aby śmierdziały po wszystkich kątach ziemi...! Kochany nie zapominaj – Marek*”.

Soczysty fragment nie był jednak autorstwa Hłaski. To cytat z książki Louisa-Ferdinanda Celine’a „Podróż do kresu nocy”.

Co z papierzem?

Choć certyfikowana relikwia „I. stopnia” z fragmentem zakrwawionej sutanny, w którą ubrany był Jan Paweł II w momencie zamachu w 1981 r., kosztuje na aukcji 4 tys. dolarów, to książki z podpisem papieża Polaka są rzadkością.

Encyklikę „Redemptor hominis” z podpisem JP II sprzedano za 3740 zł. Nowojorski antykwariat specjalizujący się w książkach z autografami sprzedał podpisany angielski przekład jego „**Przekroczyć próg nadziei**” za 1295 dolarów.

Dla porównania za „**El hacedor**” z autografem Jorge Luisa Borgesa trzeba zapłacić 500 dolarów więcej.

„**Mistrz i Małgorzata**” Michaiła Bułhakowa od lat nie schodzi z list ulubionych szkolnych lektur. Szczególnie cenne jest zachodnioniemieckie wydanie powieści z 1969 r., w którym po raz pierwszy opublikowano pełny rosyjski tekst książki. Takie wydanie z „niewielkimi otarciami i drobnymi zaplamieniami obwoluty” znalazło w 2023 r. nabywcę za 4180 zł.

Pierwsze polskie wydanie – z 1969 r. w przekładzie Ireny Lewandowskiej i Witolda Dąbrowskiego – na aukcjach osiąga nawet 600 zł.

Nie maleje popularność „**Człowieka bez właściwości**” Roberta Musila (tłum. Krzysztof Radziwiłł, Kazimierz Truchanowski, Janina Zeltzer). Za wydane po polsku w 1971 r. czterotomowe dzieło, w antykwariatach trzeba zapłacić od 300 do 500 zł.

6,5 tys. za komiks o „Solidarności”

Wyjątkowym rynkiem pod względem osiągniętych kwot, ale i wymagań kolekcjonerów, jest rynek komiksu antykwarycznego.

Najdroższe są tzw. plansze komiksowe czyli przeważnie ręcznie rysowane strony z komiksów lub projekty ich okładek.

Ale nie tylko. W kwietniu 2024 r. padł rekord – 6 mln dol. – za **numer magazynu „Action Comics”** z czerwca 1938 r., w którym po raz pierwszy pojawił się **Superman**.

Polskie rekordy należą do **Henryka Chmielewskiego**, słynnego Papcia Chmiela. Za okładowy rysunek **XX księgi „Tytusa, Romka i A'Tomka”** w 2015 r. nabywca zapłacił 75 tys. zł, a za planszę będącą **ostatnią stroną księgi VI** – 38 tys. zł w 2017 r.

Kolekcjonerzy cenią również **Grzegorza Rosińskiego**, współtwórcę „Thorgala”. Planszę–fragment komiksu „**Thorgal. Arachnea**” wylicytowano za 33 tys. 600 zł.

Niewiele mniej – 31 tys. 200 zł – zapłacono w marcu 2023 r. za **alternatywną wersję okładki komiksu „Wiedźmin**” autorstwa Bogusława Polcha.

A ile kosztują dawne komiksy? Tu liczy się przede wszystkim stan. Jak przypomina Gałązka, „nakłady większości komiksów w PRL były olbrzymie, zatem konkuruje się jakością”. Choć wiele komiksów potrafi kosztować od 200 do 500 zł, niewiele na aukcjach przebijalo kwotę 1 tys. zł.

Wśród kolekcjonerskich białych kruków są pierwsze wydania niektórych książ „**Tytusa Romka i A'Tomka**” Papcia Chmiela. Wydana w 1966 r. „**Księga I**” z autografem autora została wylicytowana w czerwcu 2023 r. na aukcji za 5060 zł.

Wyjątkowo autograf Papcia Chmiela nie podwyższa wyraźnie ceny sprzedaży – autor żył 98 lat i zdążył podpisać setki tysięcy egzemplarzy.

Niektóre z pierwszych wydań rysowanego przez Rosińskiego „**Kapitana Żbika**” potrafią na aukcjach osiągać ceny powyżej 1 tys. zł. Rekord został ustanowiony w 2022 r. Za pierwsze wydanie „**Diademu Tamary**” nabywca zapłacił 2420 zł.

Legendarnym białym krukiem komiksowym jest dzieło **Jacka Fedorowicza i Jana Marka Owsieńskiego „Solidarność – 500 pierwszych dni**”. Liczący 16 stron komiks wydano po raz pierwszy w nielegalnym obiegu w 1984 r. Egzemplarze były odbijane na powielaczach i kserokopiarkach. Najdroższy został sprzedany w 2021 r. na aukcji w Desie za 6,5 tys. zł.

A co ze współczesnym komiksem? Tu zaskakująco twórcą, który budzi najwięcej emocji jest **Wilhelm Sasnal**. Słynny malarz nie stronił od komiksów i zinoów. Jego „**Lawa**” z 2014 r. osiągnęła na jednej z aukcji niemal 5 tys. zł. Autobiograficzny komiks „**Życie codzienne w Polsce**” ktoś nabył za 1430 zł, a za zin „**Zeszyt szkolny 16-kartkowy**” uzyskano 660 zł.

Trzeba pamiętać, że wiele komiksów, jak i plansz sprzedaje się poza oficjalnym obiegiem antykwarycznym i aukcyjnym.

Na czym jeszcze można zarobić? I na co uważać?

Inną kategorią książek osiągających wysokie ceny w antykwariatach są drukowane w niewielkich nakładach katalogi wystaw.

I tak katalog „**Henryk Stażewski 28.IX.-2.IX.1980**” wylicytowano za 3450 zł.

Dotyczy to nie tylko książek wydanych przed rokiem 1989. Wydany zaledwie w 800 egz. katalog wystawy „**Zofia Stryjeńska 1891-1976**” potrafił na aukcji osiągnąć nawet 4,4 tys. zł.

Zanim się zdecydujemy na sprzedaż albo na kupno jakiejś dawnej książki, warto porównać ceny.

Na stronie antykwariatu Sobieski można znaleźć „**Solaris**” Lema za 4399 zł czy **debiut Szymborskiej** za 4799 zł.

To ceny kilkukrotnie wyższe od tych, za które książki można kupić na aukcjach. Antykwariaty często podwyższają ceny książek, oprawiając je eleganckimi, „ekskluzywnymi” obwolutami.

A którą książkę poleca Gałązka? Pierwsze wydanie z 1958 r. „**Iwony, księżniczki Burgunda**” Witolda Gombrowicza. Ilustracje do książki stworzył Tadeusz Kantor. Co ciekawe, to jedyna książka zilustrowana przez przyszłego twórcę „Umarłej klasy”. Idealne egzemplarze osiągają w antykwariatach ceny powyżej 200 zł, ale to wciąż niewiele za tak wyjątkowe dzieło. ●

Durnostojki i pierdoły

Do czego potrzebne są
rzeczy niepotrzebne?

Są ludzie, którzy zbierają Kossaki, szable, porcelanowe figurki z Ćmielowa, cukiernice art déco. Rzeczy zabytkowe, raczej cenne, w dobrym guście. To nie będzie o nich.

Emilia Dłużewska

Ia opowieść zaczyna się na śmietniku. Historii, owszem, ale też na śmietniku w sensie dosłownym: w kontenerach, altankach, stertach odpadów wynoszonych z likwidowanych mieszkań. A także w XVI-wiecznych latrynach, na jarmarkach, w piwnicach. Czasem po prostu w błocie. Weźmy taką scenę: jest wiosna. Na bastionach wokół Oplwywu Motławy w Gdańsku krzątają się ludzie. Jedni kopią grządki, inni skarby: XIX-wieczne monety, guziki, porcelanowe główki fajek, fragmenty przedwojennych kafli. Sytuacja jest napięta, interesy sprzeczne, wszyscy płaczą się wszystkim pod nogami. Łatwo by z tego zrobić metaforę. Tu życie, tam śmierć. Tu inwestycja w przyszłość, tam zapatrzenie w przeszłość. Tu pozytywistyczna, organiczna praca, tam – romantyczne rozbabranie.

Kolekcjonerka Kora Tea Kowalska unika łatwych metafor. W wydanej właśnie książce „Patrz pod nogi” przyjmuje perspektywę rewolucyjną: opisuje przedmioty nie jako symbole, metafory czy odsyłacze do przeszłości, ale przede wszystkim, cóż, jako rzeczy.

Pilniczek w służbie denazyfikacji

Weźmy taki grzebyk, kupiony na pchlim targu. „Kieszonkowy i składany, na oko stuletni, w kolorze pożółkłego écu, niektórych ząbków już brak, na zawiasach dwie rączki w szylkretowy deseni” – notuje Kowalska.

Szylkret czy plastik? A jeśli plastik, to jaki? Można powąchać: zapach kamfory zdradza celulozid, formaliny – bakelit, połączony z nutą spalonego mleka – galalit. Jeśli pachnie, jak spalone włosy – to szylkret.

Albo dwie dewizki uplecione z ludzkich włosów w drugiej połowie XIX wieku (niewinnego, nieświadomego konotacji, jakie to tworzywo zacznie mieć za nieca-

le sto lat). Aby włosy zmieniły się w modne akcesorium, należało je najpierw obgotować w sodzie, potem zapieść na specjalnym taborecie, zanurzyć w gorącej wodzie i wysuszyć gorącym powietrzem. Ewentualnie pójść na skróty i kupić gotową dewizkę, wyprodukowaną z włosów sprowadzanych tonami z brytyjskich i francuskich kolonii. Choć można było się naciąć i zamiast w ludzkie włosy przystroić się w zwierzęcą grzywę.

Są też kubki, które latach 50. XX wieku obrotowi Japończycy sprzedawali amerykańskim żołnierzom – ozdobione nagimi postaciami z ruchomymi pierwszo- (mężczyzna) i drugorzędnymi (kobieta) cechami płciowymi. Są celulozoidowe szczo-

tecзки do zębów. Puszka na datki, z której czyjaś ręka dyskretnie spiłowała napis „Geld”, by po nazistowskich Niemczech posłużyła jeszcze Polsce Ludowej. I wiele innych.

„Patrz pod nogi” trudno czytać bez pauz. Nie z winy autorki, wręcz przeciwnie. Kowalska pisze błyskotliwie, gawędziarsko, z humorem. Tak dobrze, że trudno nie poddać się pokusie wejścia na jeden z cyfrowych jarmarków w poszukiwaniu syrenki z bakelitu albo broszki labędzia. Nie ma? Nie szkodzi, jest figurka bociana z dzieckiem, obłożona bakelitem brzytwa, szczotka do okruszków z bakelitową rączką, popielniczka, gniazdko elektryczne – nic z tego mi niepotrzebne, wszystko

zachwycające. Chyba bierze mnie kolekcjonerska gorączka.

Kossaki i gównidełka

To książka również i o niej: o ludzkiej potrzebie zbierania, kompletowania, wygrzebywania, ocalańia, wsadzania w gablotki (choć to ostatnie jest, zdaniem autorki, pogrzebem kolekcji). Skąd się w nas bierze? Teoretycy powiedzą o wypełnianiu samotności, zmniejszaniu lęku, potrzebie zaprowadzania porządku w świecie, choćby wielkości gąbłoty. Pragmatycy – o lokowaniu kapitału. Nigdy nie wiadomo, co za dekadę czy dwie sprzedaje się z zyskiem: zabawki wypchane plastikowymi kulkami, peerelowski magazyn, karta telefoniczna upamiętniająca wizytę Jana Pawła II na Jasnej Górze (100 jednostek, 230 zł).

Są, rzecz jasna, i tacy, co inwestują w rzeczy poważne: Kossaki, zabytkowe szable, porcelanowe figurki z Ćmielowa, platerowane cukiernice art déco. Rzeczy zabytkowe, cenne, w dobrym guście. To nie jest książka o nich. To książka o resztkach, ulomkach, bądziwiu, szpejach. O ekstazie – a czasem i udręce – jaką daje obcowanie z materią. Nasza wzajemna relacja jest skomplikowana. Granica między śmieciem a przedmiotem jest cienka, to banal. Podobnie jak między szlachetnym kolekcjonerem a patologicznym zbieraczem.

Pierwszych w książce reprezentuje Franciszek Starowieyski, malarz i autor „Przewodnika zacnego kolekcjonera” (a także, odnotujmy, „Przewodnika po kobietach według Franciszka Starowieyskiego”). Starowieyski poucza: znaj wartość, nie kupuj gówna, selekcjonuj. A jeśli jesteś kobietą, zwłaszcza przed czterdziestką, najlepiej w ogóle sobie odpuść, bo zamiast rzeczy prawdziwie wartościowych będziesz zbierać słodkie głupotki, „jakieś puszki i inne śmieszności”.



• Kora Tea Kowalska w Gdańsku. Różowego konika autorka i fotografka Alina Żemojdzin znalazły przypadkiem, w drodze na sesję zdjęciową FOT. ALINA ŻEMOJDZIN

Jest w tym pisaniu coś z kolekcjonerskiego obłędu. Ale, po pierwsze, są to znaleziska fascynujące. Po drugie – Kowalska o najbanalniejszych plastikowych pierdołach potrafi pisać tak jak krytycy kulinarni o wykwintnych daniach



Kora Tea Kowalska
„Patrz pod nogi. O zbieraniu rzeczy”
wydawnictwo
Karakter 2024



FOT. KORA KOWALSKA, PRZEMEK DĘBOWSKI

Przykładem drugich są bracia Homer i Langley Collyerowie, którzy w swym nowojorskim mieszkaniu zgromadzili tyle przedmiotów, że w końcu padli ich ofiarami: rzeczy dosłownie przygniotły młodszego z braci. Starszy, sparaliżowany i odcięty od świata, zmarł z głodu. Po odkryciu ciała służby wyniosły z kamienicy 140 ton rzeczy, w dużej mierze w stanie rozkładu.

Kora Tea Kowalska balansuje pomiędzy pierwszym a drugim stanem. Imponującą erudycję i ekspercką wiedzę – jest archeologką, antropolożką kultury, wykładowniczą – łączy z zamilowaniem do „gównidełek”, jak w jej domu rodzinnym tytułowało się rze-

czy „błache, liche, tanie lub przestarzałe, choć nadal pociągające”. Ma w kolekcji i XIX-wieczną kieszonkową spluwaczkę z kobaltowego szkła, jakiej używał w „Czarodziej-skiej górze” Hans Castorp, i zbiór plastikowych misiów sprzedawanych w kioskach za złotówkę w latach 60. XX wieku. Odpad kościarny po wyrobie guzików z XVII wieku i sterty guzików odlanych z granulatu polistyrenowego w zakładzie w Sochocinie 40 lat temu.

Do rzeczy!

Podobną mieszaniną jest sama jej książka. „Patrz pod nogi” to esej meandrujący, Kowalska śledzi historię poszczególnych przedmiotów, referuje teorię kolekcjoner-

stwa i opowiada anegdotki z jego praktyki – wiele jest tu nurkowania po śmietnikach, grzebania w stertach chłamu, kopania w historycznych latrynach, przebijania się przez warstwy czasu. Jednym z bohaterów książki jest też jej rodzinny Gdańsk, miasto postawione najpierw na bagnie, a potem na gruzach (poniemieckich, więc, w przeciwieństwie do gruzów Warszawy, propagandowo nieprzydatnych).

Jest w tym pisanie coś z kolekcjonerskiego obłędu, podsuwania czytelnikowi pod nos coraz to nowych znalezisk. Ale trudno temu obłędowi nie ulec. Po pierwsze dlatego, że to znaleziska fascynujące: w niepozornych drobiazgach,

o istnieniu których często nie mieliście pojęcia, kryje się opowieść o społecznych zmianach, pragnieniach i aspiracjach, o globalnych wędrówkach idei i potrzeb, a niekiedy samych wzorów, jak w przypadku sprzedawanych za złotówkę plastikowych misiów, których przodków można szukać w Danii, Hongkongu i Japonii.

Po drugie, po wszystkich tych meandrach Kowalska zawsze ostаточно dochodzi do rzeczy. O najbardziej plastycznych przedmiotach potrafi pisać tak jak krytycy kulinarni o wykwintnych daninach. Materia ma w jej książce ciężar, zapach, fakturę i smak. Kruży się, łamie, rozpada, topi, klekoce i trzeszczy.

Żyjemy w świecie ostrego podziału. Z jednej strony dane przechowywane w chmurze, cyfrowe tokeny, bezdotykowe transakcje i halucynująca sztuczna inteligencja. Z drugiej – przedmioty masowo konsumowane i wyrzucane, w mgnieniu oka zmieniające się w topiące planetę śmieci. Materia ma status podejrzany, jej bezwstydną zmysłowość może wydać się luksusem lub pułapką. Choć przecież przedmioty wraz z cyfryzacją nie znikają, a status śmiecia, jak udowadnia Kowalska, może być odwracalny – czasem wystarczy wygrzebać, podnieść, umyć i znaleźć dla niego miejsce. Trzeba tylko patrzeć pod nogi. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

34351414

WSPRZEDAŻY

TEMAT NUMERU:
Życ po swojemu

ZWIĄZKI:
Kto płaci na randce?

SEKS:
Apartamenty do realizowania fantazji

wysokieobcasy
extra



NUMER DOSTĘPNY
Z PREZENTEM:
odnawiający peeling
kwasowy





FOT. MATEUSZ SKWARCEK / AGENCIA WYBORCZA.PL

Z AKTOREM
**SEBASTIANEM
STANKIEWICZEM,**
ROZMAWIA
DAWID DRÓŹDŹ

Nie można się poddawać

– Nigdy nie słyszałem słowa „synu”. Kiedy Maciek Damiński zaczął się do mnie zwracać w ten sposób, poczułem się dobrze – mówi Sebastian Stankiewicz, którego możemy zobaczyć w filmie „Cisza nocna”.

Bycie tzw. aktorem charakterystycznym jest przywilejem czy utrudnieniem?

– Sam się nad tym zastanawiam. Niektórzy mówią, że to przywilej, bo zawsze znajdzie się jakaś praca – role drugoplanowe czy epizody. Kino jest zbudowane nie tylko na głównych bohaterach, ale też na tych kolorowych postaciach, które są wokół nich. Wiem, jak wyglądam. Nie da się uciec od swoich warunków. Chciałbym grać główne role, ale reżyser musi mieć na mnie pomysł.

A może to problem kina, że sformatowało określone typy bohaterów? Kochanków grają zazwyczaj przystojni, szczupli mężczyźni.

– Pytanie, czy warto ryzykować. Czy warto np. obsadzić kogoś takiego jak Mateusz Damiński, który ma delikatny typ urody, w roli kibola? Producenci filmu „Furioza” podję-

li ryzyko, które im się opłaciło. Tylko że jak dobrze wypadniesz w jakiejś kreacji, to wsadzają cię do kolejnych szufladek. I później ktoś, kto dobrze zagrał kibola, dostaje mnóstwo takich samych propozycji. Widać, według jakiego klucza tworzy się obsadę np. w kinie komediowym – w wielu produkcjach powtarzają się te same nazwiska.

A jednak twoje warunki fizyczne sprawiają, że jesteś rozchwytywany. W 2023 r. premierę miało siedem filmów z twoim udziałem, a w 2024 – sześć. Do tego dochodzą jeszcze seriale, spektakle telewizyjne, sztuki teatralne. Jesteś najbardziej zapracowanym aktorem w Polsce?

– Czuję, że doszedłem do ściany, potrzebuję odpoczynku. Od wyjścia ze szkoły teatralnej pracuję non stop. Zrobiłem mnóstwo filmów, seriali, programów telewizyjnych, teledysków, reklam. W tym zawodzie dotknąłem wszystkiego. Teraz chciałbym skupić się na rzeczach, które będą mnie fascynowały.

A wcześniej brałeś wszystkie projekty, jak leci?

– Na pewnym etapie kariery brałem wszystko, żeby grać, coś robić, pokazywać się. Aktorstwo jest przede wszystkim zawodem, z którego się utrzymuję. Cieszę się, że miałem okazję zagrać w wielu bardzo różnych produkcjach. Natomiast z czasem uzmysłowiłem sobie, że nie da się robić wszystkiego,

co do ciebie przychodzi. Każdej roli trzeba poświęcić czas – nie da się dobrze przygotować do trzech rzeczy na raz.

Lubię zmiany. Dlatego jakiś czas temu podjąłem decyzję, żeby zrezygnować ze współpracy z serialem codziennym. Uważam, że trzeba w życiu podejmować ryzyko i wychodzić ze strefy komfortu. Postanowiłem poczekać na role, które będą wychodziły poza moje emploi aktora komediowego.

To jakie role chciałbyś grać?

– Chciałbym pofantazjować na temat tego, w czym sam siebie bym widział. W ostatnich latach zrobiłem dwa filmy krótkometrażowe z Michałem Toczkiem – „Martwe małżeństwo” i „Być kimś” – tragikomedie o zwykłych ludziach, którym przydarzają się niezwykle historie. Czuję, że taka konwencja jest mi bliska.

Sprawiasz wrażenie człowieka, który ma do siebie ogromny dystans.

– Mam do siebie dystans, ale bywają dni, w których potrafię być bardzo autokrytyczny. Spoglądam codziennie w lustro. Widzę, że wypadają mi kolejne włosy, zmieniam się na twarzy. Ale nie trzeba się tego bać. Być może z tą zmieniającą się fizycznością przyjdą kolejne role, kolejne ciekawe wyzwania.

Świat goni za młodością, próbujemy zatrzymać czas. Pięćdziesięcioletkowie chcą wyglądać jakby mieli 20 lat. Nie na

tym polega życie. Człowiek się rodzi, przechodzi przez te wszystkie etapy i nieuchronnie zbliża się do śmierci. Warto to zaakceptować.

Boisz się starości?

– Jeszcze nie. (śmiech)

W „Ciszy nocnej” Bartosza M. Kowalskiego wcieliłeś się w mężczyznę w średnim wieku, który podejmuje trudną decyzję o oddaniu swojego ojca do domu starców.

– Opowiadamy o emerytowanym aktorze, który nagle zaczyna tracić pamięć. To historia o przemijaniu i odchodzeniu w samotności. I o strachu. Moja rola jest nieduża, ale istotna. Do tej pory nie grałem tego typu bohaterów.

Na planie spotkałeś się ze zmarłym przed rokiem Maciejem Damińskim, dla którego była to pierwsza główna rola w karierze.

– Spędziliśmy na planie w sumie dwa dni. Na pierwszej próbie powiedział do mnie: „Cześć, synek”. Od razu wcielił się w rolę mojego ojca. Nie rozmawialiśmy za dużo, po prostu zaczęliśmy spędzać ze sobą czas.

Reżyser Bartosz M. Kowalski razem ze scenarzystką i producentką Mirellą Zaradkiewicz powiedzieli, że chcą, abym zagrał syna Macieja Damińskiego, bo widzą pomiędzy nami podobieństwo. Zapytałem,

dłaczego nie obsadzą po prostu jego prawdziwego syna – Mateusza Damięckiego. Powiedzieli: „Bo ty jesteś bardziej podobny do Maćka” (śmiech).

Ostatnio Mateusz powiedział mi: „Zadzroszczę ci, że w ostatnim filmie, w którym mój ojciec zagrał pierwszą główną rolę, wcieliłeś się w jego syna”.

Domyślam się, że dla ciebie także to była bardzo osobista rola.

– Mój ojciec zmarł, gdy miałem kilka miesięcy. Słowo „tato” jest dla mnie czymś abstrakcyjnym. Zawsze, gdy gram ojca albo syna, to muszę sobie wszystko na nowo zbudować. Takie role trafiają do moich intymnych miejsc, zmiękcza mi się podbrzusze. Nigdy nie słyszałem słowa „synu”. Kiedy Maciek zaczął się do mnie zwracać w ten sposób, poczułem się dobrze.

W wielu wywiadach podkreślasz wpływ, jaki miały na ciebie mama i babcia. W jaki sposób ukształtowało cię to kobiece wychowanie?

– Dostałem od nich jakiś rodzaj wrażliwości. Najważniejszy jest dla mnie szacunek wobec drugiego człowieka. Staram się nie oceniać ludzi, szanować różnorodność. Zawsze chciałem żyć w świecie, który jest otwarty, ale wiem, że to były mrzonki, utopijne myślenie. Tak po prostu świat nie wygląda.

A jak wyglądało dzieciństwo w Głogowie? Podobno mieszkaliście naprzeciwko siedziby PZPR.

– To akurat wiązało się ze strachem. Pamiętam, jak podczas jakichś zamieszek, babcia krzyczała z okna: „Uciekajcie! Uciekajcie!”. Milicja rozganiała ludzi, którzy rzucali w siedzibę PZPR kamieniami. Widziałem samochody z działkami wodnymi. Czulem się jak na wojnie.

Ale w moim dzieciństwie było mnóstwo szczęśliwych chwil. Babcia pracowała w kinie objazdowym, dostawałem od niej bilety. Z rówieśnikami chodziliśmy do kina Jubilat. Nie było telefonów komórkowych, większość zabaw wymyślaliśmy ad hoc. Żyliśmy w małej społeczności, w której bardzo się wspieraliśmy.

Byłeś uparty – do szkół filmowych próbowałeś dostać się przez sześć lat. Ostatecznie poszedłeś na wydział lalkarski we Wrocławiu.

– Borykałem się z tak prozaiczną rzeczą jak wada zgryzu. Wtedy nie wiedziałem, jak ważna w aktorstwie jest dykcja. Założyłem aparat ortodontyczny. Dopiero po zdjęciu tego ustrojstwa – gdy miałem 24 lata – zacząłem przechodzić kolejne etapy rekrutacji. Marzyłem o studiowaniu w łódzkiej Szkole Filmowej. Niestety byłem pierwszy pod kreską.

Przyjaciel, który także nie przeszedł rekrutacji, namówił mnie, abyśmy pojechali na wydział lalkarski do wrocławskiej filii Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Krakowie. Skończyłem tę szkołę, a potem pojechałem do Warszawy. Z perspektywy czasu widzę, że nie miałem na siebie planu B.

W międzyczasie był jeszcze Kabaret Inteligentny.

– Przed dostaniem się na PWST poszedłem do policealnego studium animatorów kultury i bibliotekarzy „SKiBA”. Miałem kategorię A, więc jakbym nie poszedł do szkoły, to wzięliby mnie do wojska. W szkole wraz z kolegami założyliśmy kabaret. Występowaliśmy przed znajomymi w klubie filmowym FOSA. Okazało się, że na nasze występy przychodziło coraz więcej ludzi. W końcu zaczęliśmy jeździć po festiwalach.

Podobno wasz entuzjazm zgasił Jacek Federowicz.

– Pojechaliśmy na festiwal do Elku. Zaprezentowaliśmy skecz, w którym parodiowaliśmy facetów ćwiczących na siłowni. Naśladowaliśmy mocno zbudowanych mężczyzn, którzy rozmawiają o sztuce wysokiej, ale używają przy tym wulgarnego języka.



• Kard z „Ciszy nocnej”. Maciej Damięcki i Sebastian Stankiewicz. W filmie Bartosza M. Kowalskiego zagrałi ojca i syna FOT. FORUM FILM POLAND

Miałem do zagrania epizod, w którym mówiłem: „**W dupie, podaj te knedle!**”. Powtarzałem tę kwestię kilkadziesiąt razy. Za każdym razem coś było nie tak

To było mało profesjonalne. Nie mieliśmy mikroportów, więc nie było nas słychać. Niecenzuralne słowa, których używaliśmy, wtedy zostały uznane za coś niedopuszczalnego. Jacek Federowicz, który zasiadał w jury, powiedział: „Po chuj wy wychodzicie na scenę?!” (śmiech).

Ta anegdota pokazuje, jak zmienił się świat. Wtedy problemem był brak mikroportów. A teraz każdy może być nadawcą i mieć swoją widownię – wystarczy mieć TikToka czy Instagram. Okazuje się, że niecenzuralne słowa też nie są problemem – jeśli są użyte w dobrym kontekście.

Ciągnęło cię do kabaretu – później występowałeś w nieco bardziej profesjonalnej grupie Kabaret na Koniec Świata działającym przy Teatrze Dramatycznym w Warszawie.

– Na planie niezależnego filmu „Bobry” (2013) poznałem Wojtkę Solarza, który był członkiem Kabaretu na Koniec Świata. Mieśliśmy podobne poczucie humoru. Wojtek wraz z Pawłem Domagałą zaproponowali mi, abym do nich dołączył. Komentowaliśmy rzeczywistość za pomocą absurdu. Taki humor jest potrzebnym wentylem w czasach, w których żyjemy.

Zanim odkryło cię kino, ludzie mogli kojarzyć cię z telewizji. Wczoraj odnalazłem serię spotów promujących Warszawski Festiwal Filmowy, w których wcielasz się w postać Macieja Rolki, w programie „Wstawaj! Grammy!” na Polsacie przeprowadzałeś sondy uliczne, reklamowałeś także sieć Simplus.

– Reklamy Simplusa były kreatywne. Nawiązywały do znanych filmów – „Gwiezdnych wojen”, „Titanica” czy „Gorączki sobotnie nocy”. Wcierałem się w jednego z braci z filmu „Blues Brothers”. Krótkie formy mogą być jakościowe artystycznie. Reżyserem reklam Simplusa był Janek Komasa.

W życiu tak bywa, że projekty trafiają do ciebie przypadkiem. Po przyjeździe do Warszawy znajomy reżyser Konrad Aksinowicz wziął mnie do spotów promujących Warszawski Festiwal Filmowy. Później producent z Polsatu, który widział te filmiki, zaproponował mi robienie sond ulicznych w porannym programie „Wstawaj! Grammy!” – wymyśliłem Mariana Skowronka, moje kolejne komediowe wcielenie.

Kiedy pojawił się YouTube, wielu znajomych namawiało mnie do założenia konta i stworzenia jakiejś postaci à la Maciej Rolka czy Marian Skowronek. Ale wolałem iść własną ścieżką. Przeszedłem długą drogę od epizodów do bardzo różnorodnych, dużych ról filmowych.

Czyli nie będziesz gwiazdą Instagrama?

– Scrollowanie telefonu nic nie wnosi do mojego życia, tylko zabiera czas. Ulegam temu, ale później sobie myślę: „Po co ja to robię?”. Myślę o wycofaniu się, skupieniu na dobrych filmach i książkach. Ostatnio niewiele rozmawiamy o ważnych sprawach.

To wina nowych mediów?

– Teraz wszyscy mogą wypowiadać się na każdy temat. Aktorzy zaczęli być influencerami. Oczywiście mamy demokrację i każdy ma prawo zabierać głos w mediach społecznościowych. Nie możemy tego ludziom odebrać. Należy jednak segregować informacje, sprawdzać źródło każdej wiadomości, która do nas dociera. Dlatego staram się słuchać rzetelnych mediów i wiarygodnych ekspertów, aby móc samodzielnie wyrobić sobie zdanie na dany temat.

Niektórzy ludzie ze świata kultury uważają, że ich obowiązkiem jest zajmowanie stanowiska w sprawach ważnych dla kraju. Nie czułeś na sobie presji, aby np. poprzeć Strajk Kobiet albo protesty przeciwko władzy PiS?

– Żeby się wypowiadać na jakieś poważne tematy, trzeba mieć wiedzę.

Wydaje mi się, że wiele wynika też z wychowania. Mateusz Damięcki czy Maciek Stuhr wynieśli z domu przekonanie, że należy walczyć o pewne wartości takie jak demokracja. W mojej rodzinie byli solidarnościowcy, ale też komuniści. Zawsze chciałem wszystkich godzić. Być może dlatego nie lubię opowiadać się za żadną ze stron.

Czyli nie poprzecz żadnego z kandydatów na prezydenta w przyszłym roku?

– Najpierw dowiedzmy się, kto będzie startował (śmiech).

Zdarzają się jednak akcje społeczne, w które się angażuję. Kilka lat temu wziąłem udział w spocie zachęcającym do pójścia na wybory. Nie będę jednak wskazywał ludziom, na kogo mają głosować.

Biorę też udział w kampaniach charytatywnych – co roku wspieram akcję Jurka Owsiaka. Byłem nawet wolontariuszem podczas drugiej edycji WOŚP. W tego typu inicjatywach upieram się, że warto brać udział. Natomiast politykę staram się obserwować z pewnej odległości.

Wróćmy zatem do kina. Pamiętasz spotkanie z Januszem Kondratiukiem?

– Pamiętam! Tak bardzo chciałem zagrać u Janusza Kondratiuka, że jak już do tego doszło, to nie byłem w stanie wypowiedzieć jednego zdania. Miałem do zagrania epizod, w którym mówiłem: „W dupie, podaj te knedle!”. Powtarzałem tę kwestię kilkadziesiąt razy. Za każdym razem coś było nie tak. Zapadłem się w siebie, totalnie nie widziałem, jak to zrobić, czulem się zagubiony. Janusz Kondratiuk mi podziękował i powiedział, że tę rolę zagra ktoś inny.

Po wielu latach spotkaliśmy się na festiwalu w Gdyni – odbierałem nagrodę za najlepszą rolę drugoplanową w filmie „Pan T.”. Pan Janusz zrobił wtedy przepiękny film „Jak pies z kotem” o swojej relacji z bratem. Złożyłem mu gratulacje. Powiedział: „Był pan taki zestresowany. Może się wtedy pomyliłem...”.

Jak przeżyłeś tamtą porażkę?

– Jak czasem opowiadam tę historię moim kolegom, to mówią: „Stary, że ty się podniosłeś...”. Myślałem, że skończę z tym zawodem. Pomyślałem, że jeśli nie jestem w stanie wypowiedzieć jednego zdania, to moja działalność nie ma sensu. Ale taki jest ten zawód – nie można się poddawać.

Tomek Kot powiedział mi, że wszystko, co mogę zrobić, jest tu i teraz. Bo tylko to zostanie zapisane. Trzeba dawać z siebie wszystko w momencie, w którym się jest. Za inne rzeczy nie jesteśmy odpowiedzialni.

Miałeś w swoim życiu zawodowym spotkanie, które odmieniły twoje życie?

– Ostatnio pracowałem przy serialu „Edukacja XD”, kontynuacji „Emigracji XD”. Miałem okazję spędzić 30 dni na planie z Janem Fryczem. Wiele u niego podpatrzyłem. Jan na koniec zdjęć powiedział: „I co? Miałeś kurs aktorstwa?”. Odpowiedziałem: „I to darmowy!”. Przy filmie „Kulej. Dwie strony medalu” pracowałem z kolei z Andrzejem Chyrą.

Czego można nauczyć się od takich aktorów na planie?

– Podpatrujesz, jak kombinują. Ja raczej gram intuicyjnie, nie jestem typem analityka. Tymczasem Jan Frycz czy Andrzej Chyra przeprowadzają dogłębną analizę postaci – pracują nad każdą sceną z reżyserem, chcą dowiedzieć się, dlaczego ich postać zachowuje się tak a nie inaczej. Szukają czegoś więcej niż to, co zapisane w dialogu.

Masz jeszcze jakieś marzenie zawodowe?

– Zawsze marzyłem, żeby zagrać z Bogusławem Lindą. To moje marzenie, odkąd zobaczyłem „Kobietę samotną” i „Przypadek”. ●

Sebastian Stankiewicz

• Aktor i artysta kabaretowy urodzony w 1978 r. w Bolestawcu. W 2006 r. ukończył studia na Wydziale Lalkarskim we wrocławskiej filii Akademii Sztuk Teatralnych w Krakowie. Zagrał w takich filmach jak: „Człowiek z magicznym pudełkiem” Bodo Koxa, „Gierek” Michała Węgrzyna, „Niebezpieczni dżentelmeni” Macieja Kawalskiego czy „Akademia Pana Kleksa” Macieja Kawulskiego, a także w serialu „Sexify”. Nagrodzony na festiwalu w Gdyni za drugoplanową rolę w filmie „Pan T” w reż. Marcina Krzysztowicza. Od lat związany jest ze sceną kabaretową oraz teatralną. Współpracuje z Teatrem Dramatycznym im. Jerzego Szaniawskiego w Wałbrzychu, Teatrem Muzycznym Capitol we Wrocławiu i Teatrem Dramatycznym w Warszawie. Współtworzy Kabaret na Końcu Świata.

Jezus z dwoma mieczami

Wiedźmin jest prawy.
Wiedźmin jest Skrzetuskim z Kaer Morhen

Ziemowit Szczerek

Kiedyś Polska kojarzyła się na świecie głównie z pierogami i Lechem Wałęsą. Oraz Janem Pawłem II, biedą, antysemityzmem i wódką. Później do zestawu doszedł Robert Lewandowski. No i oczywiście – wiedźmin Andrzeja Sapkowskiego, choć – nie ma co ukrywać – głównie za sprawą gier, a potem serialu. Który i tak przez wielu światowych odbiorców uważany był za „serial na podstawie gry”.

„The Witcher” stał się naprawdę popularny. Nawet Elon Musk, wanna-be-Lex Luthor i, jak się żartem mówi, „adoptowany syn Donalda Trumpa”, wrzucał swego czasu na swój profil na swoim portalu X (dawniej Twitter) piosenkę „Toss a Coin to Your Witcher” wykonywaną przez serialowego Jaskra w serialu nakręconym przez „Netflix”.

Ale na ile „polski” jest wiedźmin Geralt, ten stworzony przez Sapkowskiego? Jak przez jego pryzmat widać dzisiejszą Polskę?

Andrzej Sapkowski przecież jest Polakiem nie lada: ma wąsy, zawiesziste, jeśli trzeba, poczucie humoru, potrafi zrobić Zagłobę i w ogóle umie, jeśli chce, w sarmacką gawędę, ba, nawet latynizmy i inne makaronizmy wplata gdzie się da i gdzie tylko można, co, jak wiemy jeszcze ze szkoły, było dawną polską tradycją.

Pan Andrzej, zwany przez swój fandom „Panzejem” albo „Pandzejem”, ogłaszany już nie raz i nie dwa „literackim synem Henryka Sienkiewicza”, jest jednak także Europejczykiem nie lada.

Nie dość, że interesuje się i zna dogłębnie historią i kulturą Europy, to jeszcze wdarł się bez żadnych kompleksów w sam środek europejskiego świata ze swoimi słowiańsko brzmiącymi nazwami i imionami.

Bo Słowiańszczyzny u takiego, powiedzmy, J.R.R. Tolkiena czy R. E. Howarda, szukać ze świecą – u Tolkiena słowiańskie pochodzenie może mieć ewentualnie imię czarodzieja Radagasta, a słowiańsko brzmiący Boromir to jednak najpewniej zbitka germańska.

A u Sapkowskiego słowiańszczyzny jest mnóstwo: stolica wiedźmińskiego świata nazywa się Novigrad, król najpotężniejszego z królestw Północy, Redanii, ma na

imię Vizimir, nauczyciel wszystkich wiedźminów z Kaer Morhen – Vesemir, jedna z ważniejszych twierdz wiedźminlandii nosi miano słoweńskiego Mariboru, wpływowy prorok zowie się Lebioda, ważną rzecką, właściwie graniczną dla Królestw Północy jest Jaruga, a imiona czy przydomki pokażnej grupy bohaterów brzmią często tak, jakby wymyślił je pijany student slawistyki na imprezie w akademiku, by przywołać choćby Osiwuję czy Pudloraka.

Czasem pojawi się nawet jakiś Gonschorek. Sapkowski jednak dystansuje się się od przypisywanych mu intencji niesienia w świat fantasy pochodni słowiańszczyzny, bo słowiańskie tropy są tylko częścią onomastyki wiedźmińskiego świata, który czerpie z całej historii Europy i jej kolonii.

Bo mamy też, wiadomo, uniwersytet w Oxenfucie, oberszpiega Dijkstrę, szefa kaedweńskich służb – da Cunhę, marszałka Menno van Coehoorna, i tak wymieniać można bez końca.

Wszystko zresztą może posłużyć Sapkowskiemu jako inspiracja. W którymś ze starych wywiadów mówił, że w PRL-u, w czasie, gdy zajmował się handlem zagranicznym, zobaczywszy w Kanadzie nazwę sieci sklepów Holt Renfrew, od razu zrobił z tego „Renfrew” – imię Renfri. A i stamtąd wzięło się zapewne nazwisko wiedźminarona Prestona Holta.

Ale mimo wszystko ta sławizacja następuje. Słowiańszczyzna dzięki Sapkowskiemu stała się immanentną częścią świata fantasy, będącego przecież często – jak u choćby wspomnianych Tolkiena, Howarda, George’a R. R. Martina z jego „Grą o Tron” – odbiciem Europy i jej fantazji o sobie samej.

No więc tak, jest ta słowiańszczyzna. Krajobrazy w sadze o wiedźminie są często swojskie: to kryte strzechami chałupy (a przecież nie wszędzie, mimo wszystko, w średniowieczu – a na średniowiecze właśnie z grubsza jest modelowany wiedźmiński świat – tak to właśnie wyglądało).

Ba, żartem nawet można powiedzieć, że i ruiny dawnej, elfiej cywilizacji, która istniała na Kontynencie (tak nazywa się w fandomie świat, w którym dzieje się akcja „Wiedźmina”) przed przybyciem ludzi i pośród których snują się bohaterowie, zapewne pomyślane jako odpowiednik dawnych rzymskich ruin, na których powstał świat średniowiecznej Europy, jakoś dziwnie jednak, w tym słowiańskim kontek-





• **Mural poświęcony Wiedźminowi na łódzkim osiedlu Manhattan**

FOT. MARCIN STEPIEN /
AGENCJA WYBORCZA.PL

ście, przypominają sytuację na poniemieckich ziemiach zachodnich, na których dziś rządzi i gospodaruje Polska, nadal próbując – z marnym często skutkiem – wybić się ponad to, co na tych ziemiach zastała.

A taka Redania, najpotężniejsze, jak się rzekło, państwo Wiedźminlandii, już zupełnie wymodelowana jest na jakąś potężniejszą, bardziej zborną niż w rzeczywistości historyczną Polskę, z Novigradem jako wolnym i mocno odrębnym od reszty kraju Gdańskiem. Choć, tu trzeba przyznać, bardziej w grach, będących jednak interpretacją wiedźmińskiego świata, niż w intencji samego Sapkowskiego.

Plus – cóż. Polskie ślady i nawiązania do swoich realiów widzimy w świecie wiedźmina co chwila. A to ktoś rzuci, ni- by Beata Szydło, „nie pochwalam, ale rozumiem” w kontekście gwałtów „wyposzczonych” żołdaków na kobietach, a to ktoś sprzedaje na lewo materiały na budowę dróg, a to ktoś uprawia kreatywną księgowość i zawiąza na umowach stawki za wiedźmińskie usługi, a to pod klasztorem kapłanek zajmujących się pomaganiem kobietom w usuwaniu niechcianych ciąży pojawiają się protestujący fanatycy religijni.

Niby sprawy dla świata uniwersalne, ale – z drugiej strony – jakieś swojskie. Tu trzeba jednak przyznać Sapkowskiemu rację: słowiańszczyzna słowiańszczyzną, Polska – Polską, ale Sapkowski sięga szeroko i nie zadowala się opisywaniem proble-

kowski miał świadomość, że będzie musiał mierzyć się z Geraltem przez następnych prawie czterdzieści lat, był jeszcze Geralt zimnym skurwysynem.

A to potrafił wiedźmin przekroczyć w sposób kwalifikowany granice obrony koniecznej i rękę odciąć jakiemuś cwaniaczynie tylko dlatego, że go rzeczony cwaniaczyna w karczmie zaczepił, a to wydać umiał na pożarcie stryżdy knującego wielmożę.

Później jednak, gdy wiedźmin zażarł i już było wiadomo, że trzeba było zrobić z niego bohatera opowiadań i wielotomowej sagi, te jego cechy zaczęły ewidentnie autora uwierać. Nie wiadomo, czy na dłuższą metę nie potrafił się wczuć w Geralt – drania i sadystę, czy trudno by mu było podczas pisania znajdować co chwilę uzasadnienie dla obojętnego skurwielstwa wiedźmina – dość, że Geralt stał się właściwie, zachowawszy proporcje, Jezusem z dwoma mieczami.

Tak jest, Geralt jest dobry. Geralt jest sprawiedliwy, i to od samego właściwie początku. Owszem, pozwala sobie czasem na jakieś drobności i błędy. Tu pochędoży kogoś, kogo nie powinien, czasem rzuci sek-sistowski, a pewnie i zarazem klasistowski żart. Na przykład ten z „Sezonu burz”, że coś jest „wątpliwe jak cnota panienki raniem po wiejskim festynie”, za który dziś pewnie wiedźmin zostałby scancelowany.

Ale wiedźmin jest prawy. Wiedźmin jest Skrzetuskim z Kaer Morhen. Skrzetuskim, a tego przecież Bolesław Prus określił ja-

Pod klasztorem kapłanek pomagającym kobietom w usuwaniu niechcianych ciąży pojawiają się protestujący fanatycy religijni

mów świata widzianego wyłącznie w swoim zaścianku.

Jego świat jest pełen nietolerancji ludzi przejawianej wobec „niełudzi”: elfów, krasnoludów i tak dalej (krasnoludy w ludzkich miastach żyją w gettach). Elfy zresztą, jak Indianie w westernach, z jednej strony walczą z próbującymi wyrugować ich z ich ziem ludźmi, ale z drugiej służą też często ludziom jako zwiadowcy – jak indiańscy scouts dla amerykańskiej kawalerii.

Mamy w Wiedźminlandii i Wikingów (wyspiarze ze Skellige), i Rzymian (Nilfgaard), i handlowe republiki wzorowane na Niderlandach (Kovir i Poviss), i niejasne zapowiedzi odkryć geograficznych (konie w białe i czarne pasy daleko na południe).

Ale i mamy opis czegoś, co wygląda na satyrę na rozbiór Polski: u Sapkowskiego rozebrana przez królestwa Temerii i Redanii została kraina zwana Emblonią. A rozebrana została z tej racji, że o ile w krajach ościennych „wiejscy głupkowie nie zostawali trybunami ludowymi”, „do polityki nie pchali się psychopaci, cudaki, rarogi i idioci”, rządy, mimo wszystko, przede wszystkim rządziły a nie kradły, a ludzie myśleli perspektywicznie a nie „żyli wyłącznie dniem dzisiejszym i dzisiejszą wódką”, to w samej Emblonii było dokładnie odwrotnie. I dlatego kraj ten upaść musiał.

Ale polskość, co by nie mówić, z Sapkowskiego nie paruje. Jest on po prostu Polakiem wrzuconym w szeroki świat, co prawda bez kompleksów (co u Polaków rzadkie), ale z polską jednak perspektywą od której uciec jest trudno.

Najlepszym przykładem niech będzie sam wiedźmin Geralt. W pierwszym opowiadaniu pod tytułem zresztą „Wiedźmin”, opublikowanym w „Nowej Fantastyce” pod koniec 1986 roku, zanim jeszcze Andrzej Sap-

ko „Jezusa Chrystusa w roli oficera jazdy”. Trudno, szczerze mówiąc, o coś bardziej polskiego: stworzenie bohatera, owszem, połamanego, ale nie umiędząc na stałe wyposażyć go w charakter inny, niż charakter jednoznacznie dobrego zbawcy świata. Polska jest Chrystusem narodów, to co, nasz wiedźmin miałby nim nie być?

Więc tak, polski wiedźmin. W młodości – zadziorny, ale już cwany. Wiedzący, kiedy się odezwać, a kiedy zamilczeć. Patrzący, skąd wieje wiatr i jak działają świata mechanizmy, żeby nie dać się temu światu zrobić w wała.

W wieku dojrzalszym – zgorzkniały i pełen pretensji wobec ludzkości. Z ciągłym rozgoryczeniem wynikającym z poczucia bycia prześladowanym, i – nie da się ukryć – będącym prześladowanym.

„W końcu – kto lubi Rivów?” – pyta narrator w pierwszym opowiadaniu z wiedźmińskiej serii. No i, oczywiście, nikt nie lubił wiedźminów, choć mało kto jest w wiedźmińskim świecie, pełnym potworów, tak potrzebny jak wiedźmin właśnie.

„Monstrum, albo wiedźmina opisanie”, antywiedźmiński pamflet funkcjonujący w Wiedźminlandzie, który doprowadził do pogromu wiedźminów w Kaer Morhen, przypominać może zresztą „Protokoły mędrców Syjonu”: rzecz niby nie dotycząca Polaków bezpośrednio, ale przez wspólnotę losów z Żydami – jakoś bliska.

Wiedźmin jest swojski, a zarazem obcy, pogardzany – a zarazem uwielbiany. Wzgardzony – okryty chwałą. Ciągłe i uparcie próbujący być wobec świata w porządku, choć świat mu się bynajmniej tym samym nie odwdzięcza. No i w końcu, cóż: umierający, jak Chrystus narodów, za ludzkie grzechy. W szlachetnym porwie broniący niewinnych przed pogromem.

W końcu, jak wiemy, wszyscy Polacy tak robią. ●

Grzegorz Przebinda*

dy w lutym 1987 r. przeprowadzałem w Paryżu wywiad z Natalią Gorbaniewską, nie zadałem jej - a szkoda - ani jednego pytania o Ukrainę. Jednak sama Natasza - wtedy już zastępczyni Władimira Maksimowa w paryskim, solidarnym z całą Europą Wschodnią, Środkową i Zachodnią kwartalniku „Kontynent” - parokrotnie podczas rozmowy do palących tematów ukraińskich wracała.

Była już wtedy sygnatariuszką proukraińskiego apelu Rosjan na emigracji opublikowanego w paryskiej „Kulturze” (maj 1977), a zaraz potem i w „Kontynencie”. Końcówka apelu brzmi do dziś wyjątkowo dobitnie: „Wzywamy ze szczególnym naciskiem rosyjski ruch opozycyjny w ZSRR i rosyjską emigrację polityczną do umacniania i pogłębiania współpracy z bojownikami o niezależność Ukrainy”.

Mówiąc o wielonarodowym ruchu dysydenckim w ZSRR, Gorbaniewska podkreślała wielką rolę, jaką odegrali w nim obrońcy praw człowieka w ówczesnej radzieckiej Ukrainie. Przywoływała z bólem ukraińskiego poetę Wasyla Stusa, który 4 września 1985 r. umarł podczas głodówki w karczerze w lagrze permskim. Skądinąd było to - co do dnia! - 20 lat po apelu Stusa w obronie więźniów politycznych w kijowskim kinie Ukraina...

Sama Natasza w 1987 r. podkreślała, że jedną z dwóch podstawowych dla jej pokolenia lektur o prześladowaniu obrońców praw człowieka w radzieckiej Ukrainie i radzieckiej Rosji w latach 1965-67 było samizdatowe „Mądre mu biada” (1967) Władimira Czornowila po ukraińsku, za które autor zapłacił trzyletnim pobytom w lagrze (potem było jeszcze kolejne 14 lat).

Druga zaś wspomniana przez Gorbaniewską w tym samym kontekście książka, o dysydentach rosyjskich, została wydana w podziemiu w 1967 r. przez Rosjanina Anatolija Marczenkę pod tytułem „Moje świadectwa”. (Był on jednym z nielicznych robotników w ruchu dysydenckim, który w dodatku twierdził, że wielki wpływ na jego rozwój ideowy wywarła lektura „Mistrza i Małgorzaty” i „Wspomnień” Nadieжды Mandelsztam).

Gorbaniewska nie zapomniała też o Waleriju Marczen - kolejnym Ukraińcu - też dysydencie i lagierniku, ale zarazem filologu i tłumaczu. W latach 1973-81 przebywał w lagrach permkich i na zesłaniu w Kazachstanie, gdzie zdołał przetłumaczyć z angielskiego na ukraiński: „Deklarację niepodległości” Jeffersona, poezje Roberta Burnsa czy Williama Butlera Yeatsa, jak też prozę Edgara Allana Poe.

Po drugim aresztowaniu, już w październiku 1983 r., Walerij Marczenko został przetransportowany z obozów permkich do szpitala więziennego w Leningradzie, gdzie zmarł w październiku roku następnego. Były to jeszcze czasy dogorywającego genseka Czernienki. A Anatolij Marczenko (zbieżność nazwisk przypadkowa) zmarł w lagrze 8 grudnia 1986 r., już za czasów Gorbaczowa.

W sierpniu 1968 r. Gorbaniewska wyszła na pl. Czerwony m.in. wraz z drugą żoną Anatolija Marczenki Łarisą Bogoraz-Bruchman, z którą była serdecznie zaprzyjaźniona. Nasza paryska rozmowa z lutego 1987 r. miała miejsce niecałe dwa miesiące od śmierci Marczenki w lagrze w Czystopolu w Tatarstanie. Usłyszałem wtedy takie wyznanie:

„Tak bardzo żałuję, że nie byłam obok Łarisy, gdy umarł Tola... Łarisa dla mnie to nie tylko żona Marczenki i obrończyni praw człowieka, lecz przede wszystkim przyjaciel, najukochańszy w świecie”.

A jednocześnie obciążała za tę śmierć wchodzącego na centralną scenę polityczną Gorbaczowa. Stwierdziła wręcz, że „czasy Gorbaczowa niczym istotnym od stalinowskich się nie różnią”. Potem już takich rzeczy nigdy na szczęście nie powtarzała, wszak jeszcze w grudniu 2005 r. w opublikowanym w „Wysokich Obcasach” pasjonującym wywiadzie dla Joanny Szczęsnej i Anny Dodziuk mówiła:

„Od początku miałam nieufny stosunek do Gorbaczowa (...) i do dziś jestem pewna, że on chciał ocalić komunizm, a jego reformy to miały być ćwierćreformy, chodziło mu tylko o to, by ZSRR znów stał się imperialną potęgą. Ale się przeliczył. I tyle jego zasługi, że nie umiał dobrze liczyć”.

Mnie samemu znacznie bliższe jest jednak to, co usłyszałem w listopadzie 1994 r. od wielkiego Bułata Okudźawy podczas rozmowy w jego moskiewskim mieszkaniu w Bezbożnym Pierieulku:

„Kiedyś Gorbaczowowi ludzie postawili pomnik. Czy tego chciał, czy nie - dokonał jednak rzeczy wielkiej. Dzisiejsze losy Europy, Polski, Rosji są związane z jego imieniem...”. Choć „być może nie chciał tego i wyszło mu przy padkowo”.

Gdy jeszcze jesienią 1990 r. Gorbaniewska przyjechała do Krakowa, w wywiadzie - jaki przeprowadziliśmy wspólnie z dzisiejszym znanym profesorem historii Andrzejem Nowakiem dla „Czasu Krakowskiego” - skrytykowała w kontekście Gorbaczowa również i postawę swojego skądinąd przyjaciela Adama Michnika:

„Dziwi mnie jego szaleństwo na punkcie Gorbaczowa. Wiem, że Adam zawsze popierał wszystkie ruchy wolnościowe, które wiele lat temu rodziły się w Związku Sowieckim. (...) Może Michnik wyobraża sobie, że Gorbaczow jest potajemnym przywódcą tamtych ruchów? Jeśli tak jest, to myślę, że Adam się myli. Im bardziej będzie w to brnąć, tym bardziej będzie to niebezpieczne.

Chociaż (...) na szczęście Adam jest człowiekiem dość emocjonalnym i porywczym, a przy tym uczciwym. Gdy zrozumie swą pomyłkę, powie o tym głośno. Pytanie - czy zrozumie?”.

No cóż... cała Natasza!

Z kolei o drugim polskim heroldzie pieriestrojki, Andrzeju Drawiczu, pisała w roku 2006 już w „Nowej Polsce”, że pod koniec lat 80. zaczął on „pod niebiosą wysławiać Gorbaczowa”, a jego ówczesne teksty w „Tygodniku Powszechnym” traktowała jako „niepostrzymaną, choć może i szczerą, ale jednak dezinformację”.

Dodawała wszak, że choć Drawicz „rozpowszechniał w »TP« szkodliwy punkt widzenia”, to jednak, gdy spotkali się w Warszawie w roku 1990, nic mu w tej kwestii nie powiedziała: „Byliśmy w końcu starymi przyjaciółmi, więc po co?”.

Ciekawe, czy poznała opublikowany już rok później w „TP” tekst Drawicza, gdzie pisał on o „moralnie dwuznacznej emigranckiej ANTYPIERESTROJKOWEJ gorliwości Natalii Gorbaniewskiej i Michaila Hellera”. Sądzę, że jednak nie, bo w innym razie na pewno by się na Drawicza śmiertelnie obraziła, a nic mi o tym nie wiadomo. A przecież spotykałem się z Nataszą już po tej dacie wielokrotnie, goszcząc ją pod swym dachem w Krakowie, a i samemu mieszkując u niej w Paryżu, widząc się z nią również parę razy to w Warszawie, to Lublinie.

11. rocznica śmierci Natalii Gorbaniewskiej (2)

Wszystkie miłości dzielnej Nataszy

Miałam paszport sowiecki, potem uchodźczy, wreszcie polski. Ale zawsze byłam poetką rosyjską

Wręcz przeciwnie, w 1997 r. przetłumaczyła i opublikowała z własnej inicjatywy w emigracyjnej „Russkiej Mysli” mój esej żalobny z „Tygodnika Powszechnego” o Andrzeju, „Pielgrzym urzeczony”.

Z Michnikiem Gorbaniewska zażyjała się jeszcze w 1976 r. w Paryżu, jak sama wspominała, podczas węgiersko-polskiego sympozjum „1956-1976”. W 2004 r. w rozmowie z Karoliną Ziolo-Pużuk mówiła:

„W kwietniu 1977 r. Michnik szedł się do powrotu i zapytał mnie: »Czy zadedykujesz mi wiersz, jeśli mnie aresztują?«. Powiedziałam: »Tak. Pierwszy wiersz, który ułożę«. I rzeczywiście, aresztowano go (...). A ja wywiązałam się z obietnicy”.

Napisała notabene „Trzy wiersze dla Adama Michnika” opublikowane w „Kontynencie”, na polski przetłumaczone przez Wiktora Woroszyłskiego, którego uważała niezmiennie aż do śmierci za swego największego polskiego przyjaciela. Tyle że i on bynajmniej nie zawsze się z Gorbaniewską zgadzał.

Sam byłem naoczny świadkiem, jak w 1990 r. nadesłał do Paryża, do Iriny Ilowajskiej-Alberti, szefowej „Rus-

skiej Mysli”, wielce krytyczny list o tekstach Nataszy z pasją odrzucającej wówczas polski Okrągły Stół. I wysławiającej pod niebiosą wyłącznie Solidarność Walczącą Kornela Morawieckiego.

O tym też trzeba dziś pamiętać, zwłaszcza gdy słusznie przypominamy teksty Gorbaniewskiej publikowane w stanie wojennym, a wydane potem w książeczce „Niezlomna Polska na stronicach »Russkiej Mysli«” (1984).

Borysa Jelcyna, pierwszego prezydenta Rosji, Natalia Gorbaniewska przyjęła w 1991 r. całym sercem i rozumem - tak jak jej szefowa Irina Ilowajska-Alberti i cała redakcja „Russkiej Mysli”.

Gdy w październiku 1993 r. Jelcyn rozprawił się krwawo z Radą Najwyższą - ówczesnym, bądź co bądź, parlamentem Rosji - Gorbaniewska, znowu wraz z towarzyszami z „Russkiej Mysli”, nie tylko go poparła, ale wręcz okłaskiwała. Uważała bowiem konsekwentnie aż do śmierci, że było to już drugie, po tym z sierpnia 1991 r., stłumienie przez Jelcyna komunistycznego puczu.

Czyniła tak skądinąd zdecydowanie wbrew Władimirowi Maksimowowi, niegdyś szefowi swemu szefowi w „Kontynencie”, tak samo jak przeciw lewicującemu liberalowi Andriejowi Siniawskiemu, którego na emigracji - idąc śladami Maksimowa i Solżenicy - zawsze ostro zwalczała.

Gdy Andriej Donatowicz w październiku 1993 r. przybył z żoną Marią Rozanową do Krakowa, a my z Andrzejem Romanowskim - dziś znanym profesorem polonistą - przygotowaliśmy z nimi wywiad „Gdy państwo depce prawo” dla „Tygodnika Powszechnego”, usłyszeliśmy od samego Siniawskiego:

„Tygodnika »Russkaja Mysl« ja już teraz czytać nie mogę. Bo choć jest on obecnie jedyną emigracyjną gazetą rosyjską w Europie, to jego obecna linia - tak ostentacyjnie projelcynowska - bu-

Mówiąc o wielonarodowym ruchu dysydenckim w ZSRR, Gorbaniewska podkreślała wielką rolę, jaką odegrali w nim obrońcy praw człowieka w ówczesnej radzieckiej Ukrainie



dzi we mnie zdecydowany sprzeciw. (...) Pytają mnie czasem dziennikarze: »A może Rosja nie jest stworzona do demokracji?«. Dopuszczam taką możliwość. Ale nawet i wtedy inteligencka mniejszość winna stać za demokracją. Być może polityka Jelcyna okaże się skuteczna, ale co z tego? Moje sumienie i tak każe mi nadal być przeciw jego metodom”.

Nie dziwota, że Gorbaniewska po przeczytaniu tego natychmiast do mnie zadzwoniła, pytając dramatycznie: „Dlaczego?”. I żądając kategorycznie, aby i jej dać prawo głosu w czytanim przez nią systematycznie „TP”.

Przeprowadziłem w odpowiedzi trzeci i już ostatni w życiu wywiad z Nataszą, zapisany niedługo po wyborach parlamentarnych w Rosji w grudniu 1993 r. Wygrała je wchodząca na scenę neofaszystowska Liberalno-Demokratyczna Partia Rosji z Żyrinowskim, więc jedno z moich pytań brzmiało: „A może mają rację ci, którzy nie wierzą dzisiaj w szansę demokracji dla Rosji?”.

W odpowiedzi usłyszałem: „Trzeba uczyć się demokracji w biegu, nic innego Rosji nie pozostaje. Jeżeli zaś nie wierzymy w możliwość zaistnienia demokracji w Rosji, to konsekwentnie nie możemy wierzyć w jej skuteczność w jakimkolwiek innym postkomunistycznym kraju (...). To przecież jest pierwszy, ale nie ostatni parlament wybrany w wolnych wyborach”.

No bo skąd mogła Natasza przewidzieć, że pełniący na początku funkcję blazna Żyrinowski stanie się niebawem właścicielem 10 proc. głosów podczas każdego wyborów, a w czasach Putina już jawnie będzie śmiertelnym wrogiem Ukrainy, Polski i całej Europy z Ameryką. I wreszcie, że 22 grudnia 2021 r. będzie publicznie namawiał Putina w Dumie, by ten wszczął „wojnę prewencyjną” przeciw Ukrainie - i to 22 lutego 2022 r. o czwartej nad ranem, bo „nigdy więcej nie może się powtó-

• **Natalia Gorbaniewska w karczerze byłego obozu w Permie, rok 2008.**

FOT. ROBERT KOWALEWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

rzyć 22 czerwca tamta czwarta rano [1941 r., gdy Hitler napadł na ZSRR]. Lepiej niech już będzie 22 lutego 2022 roku, też czwarta rano”.

Zaledwie dwa dni później tak się stało.

• W lutym 1994 r. Natalia mówiła w wywiadzie dla „Tygodnika Powszechnego”, że „o Polsce pisała w tych latach, gdy wydarzenia tu zachodzące miały podstawowe znaczenie dla całego obozu socjalistycznego”. A kiedy uznała, że „dzięki Bogu Polska stała się normalnym krajem”, pisać o niej mogła zdecydowanie mniej.

Jednak i to zmieniło się jesienią 1999 r., gdy Jerzy Pomianowski - niedawny emigrant, współpracownik paryskiej „Kultury”, zarazem wybitny tłumacz, m.in. Solżenicyna i Babla - przyjechawszy do Krakowa, zaprosił ją do udziału w kolegium redakcyjnym powołanej właśnie do życia „Nowej Pol-szy”, gdzie pozostawała aż do śmierci 29 listopada 2013 r.

Gdy 24 października 2008 r. przyjmowała w Lublinie doktorat honoris causa UMCS, list gratulacyjny przysłał prezydent Lech Kaczyński. Wyrażał Gorbaniewskiej wielkie uznanie „za inspirujące świadectwo”, czyniąc to „jako działacz dawnej antykomunistycznej opozycji demokratycznej oraz prezydent RP”. I dodawał (było to już po jego pamiętnym wystąpieniu w Tbilisi 12 sierpnia 2008 r. podczas inwazji Rosji na Gruzję): „Życzę wielu lat satysfakcjonującej, owocnej pracy na rzecz wzajemnego poznania i zbliżenia między narodami polskim i rosyjskim”.

Pomianowski zaś powiedział w laudacji, że Gorbaniewska w pełni zasłu-

guje na tytuł, bo „już tylko posłowie do książki »Dwunasta w południe« spełnia wymogi wzorowej pracy naukowej”.

Ja sam - jako członek bliskiej Nataszy „łóży filologów” - muszę podkreślić, że książką tą nie tylko uwieczniła demonstrację w obronie Czechosłowacji w sierpniu 1968 r. na pl. Czerwonym, ale w ogóle uratowała od zapomnienia. Tak jak to słusznie podkreślało podczas procesu w lipcu 1970 r. oskarżenie: oto z mało istotnej awantury grupki szaleńców ta „schizofreniczka bezobjawowa” uczyniła wydarzenie na skalę planetarną. Scripta manent.

Dodać należy, że miesięcznik „Nowąją Polszą”, kontynuujący tradycję „Kultury” i „Kontynentu”, Pomianowski założył na wyraźne życzenie Giedroycia w duchu propagowania idei porozumienia polsko-rosyjskiego, przy zachowaniu trwałej niepodległości Ukrainy, Litwy i Białorusi.

Gorbaniewska była w tym kolegium - w którym sam miałem zaszczyt uczestniczyć z woli Pomianowskiego - osobą naprawdę szczególną. Jako nasza przyjaciółka Moskalka niezmiennie wierna idei niepodległości ULB. Ale przecież także obywatelka III RP, bo obywatelstwo polskie otrzymała w kwietniu 2005 r. od prezydenta Kwaśniewskiego.

Skądinąd sama się o nie zwróciła, choć głównie ze względów praktycznych, bo po utraceniu, jeszcze w grudniu 1975 r., obywatelstwa (ros. „poddaństwo”) radzieckiego pozostawała na emigracji w Paryżu bezpaństwowcem z paszportem nansenowskim. To zaś w nowej sytuacji politycznej bardzo jej utrudniało podróżę do Rosji. Znamienne, że trudności robili jej od 1997 r. sami Francuzi podczas wylotów, a ona często powtarzała, że czuje się w sercu paryżanką i zostanie nad Sekwaną do końca swoich dni.

W ówczesnym wywiadzie, który Elżbieta Sawicka przeprowadziła z nią dla „Rzeczpospolitej”, na pytanie „Jak się czuje poetka rosyjska z polskim paszportem?”, odpowiadała we właściwy sobie sposób: „Poetką rosyjską byłam z paszportem sowieckim, potem z uchodźczym, teraz z polskim. Jakże to ma znaczenie?”.

A przecież często Polskę wtedy odwiedzała, bo była zaangażowana w organizowanie we Wrocławiu konkursów przekładów poetyckich z polskiego na rosyjski, najpierw Miłosza, a potem Różewicza, którego pod sam koniec życia na nowo dla siebie odkrywała. Opowiadała z wielką pasją o tym wszystkim mnie i mojej żonie Annie, gdy widzieliśmy się z nią po raz ostatni, jak się okazało, 22 czerwca 2013 r. w Krakowie.

Odważyłem się zapytać ją wtedy w kawiarni na Plantach, czy nie przetłumaczyłaby dla „Nowej Pol-szy” na rosyjski tak oburzającego ją w swoim czasie naszego z Romanowskim wywiadu z Siniawskimi. O dziwo, odparła z ujmującym uśmiechem, że chętnie, bo przecież złagodniała... Tyle że już nie zdążyła.

• W sprawach zasadniczych pozostała niezłomna do końca. 25 sierpnia 2013 r. wzięła udział w demonstracji na pl. Czerwonym, w 45. rocznicę tamtej, historycznej. I nadal pod hasłem „Za wolność waszą i naszą”, tym razem już o wymiarze antyputinowskim. Pół roku przed aneksją Krymu. Transparent z nieśmiertelną inskrypcją rozwinęła teraz na placu grupa 12 ludzi, z których dziesiątkę zatrzymała policja. Nataszy aresztować już się jednak nie odważyli. Co do Putina Gorbaniewska nie żywiła najmniejszych iluzji od począt-

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Urszula Kozioł*

Legenda gołębia

*A to była tylko legenda
że gołębnik w jego jest kraju
sternik zwabił Pablowego gołębia
i utopił w modrym Dunaju.*

*prawdę świadczy skrwawiona ziemia.
na sternika straszną padł płamą
szamoczący się cień gołębia
nim utonął w modrym Dunaju.*

*komu dzisiaj cisza i błękit
kiedy wolny krzyk grzęźnie w krtani
Pablo, nie ma twego gołębia
jest Dunajem sternik zbryzgany.*

JESIEŃ 1956



***Urszula Kozioł** - ur. w 1931 r., poetka, pisarka, autorka felietonów, wieloletnia redaktorka magazynu literackiego „Odra”. Wiersz za: Urszula Kozioł,

„Raptularz”, PIW, Warszawa 2023. Za ten tom otrzymała w tym roku Nagrodę Literacką „Nike”.

FOT. KORNELIA GEOWACKA-WOLF / AGENCJA WYBORCZA.PL



***Grzegorz Przebinda**

• ur. w 1959 r., rusycysta i historyk idei, profesor UJ. W 2023 r. ukazał się w Znak-u jego dziennik pierwszego roku wojny Rosji przeciwko Ukrainie - „Ostatnia wojna Putina. Rozprawa filologiczna z Rosją”.

Tytuł tekstu - „Wyborcza”.

ku. Ta niechęć, a wkrótce i obrzydzenie wobec satrapy na Kremlu narastały od wojny Rosji przeciw Gruzji w sierpniu 2008 r. i od stłumienia antyputinowskich demonstracji w Moskwie na przełomie 2011 i 2012 r.

Dziś widzimy, że w putinowskiej Rosji śladem dzielnej Gorbaniewskiej, ale także Siniawskiego i Daniela, Aleksandra Ginzburga, Jurija Galanskowa, Łarisy Bogoraz, Olgi Joffe i rzeszy innych, idą kolejni ludzie niezłomni, płacąc za odwagę wolnością i zdrowiem, a czasem życiem: Aleksiej Nawalny, Władimir Kara-Murza młodszy, Ilja Jaszyn, miejski deputowany Aleksiej Gorinow, ptasznik Aleksiej Moskalow, kolejarz Michail Simonow, student Dmitrij Iwanow, młoda reżyserka teatralna Żenia Berkowicz, dziennikarka i aktywistka Maria Ponomarienko, też notabene „leczona” psychicznie za sprzeciw wobec wojny.

Na emigracji również występują przeciw Putinowi liczni pisarze i artyści: Ludmiła Ulicka (skądinąd serdeczna przyjaciółka Nataszy z Moskwy), Boris Akunin (w Spec-Federacji Rosyjskiej uznany, po orwellowsku, za „terrorystę”), Władimir Sorokin, Wiktor Jerofiejew, Wiktor Szenderowicz, Dmitrij Głuchowski, Michail Szyszkin, Dmitrij Bykow, Boris Griebienszczikow, Andriej Makarewicz, Oleg Kuwajew, Maksim Pokrowski, Alla Pugaczowa i Maksim Gałkin, Liza Monietoczka, Julia Łatynina, Andriej Zwiagincew czy Iwan Wyrypajew.

Po heroicznej demonstracji grupki sprawiedliwych na pl. Czerwonym w sierpniu 1968 r. praska gazeta „Literární listy” pisała, że istnieje przynajmniej „siedem przyczyn, dla których nie możemy nienawidzić Rosjan”. Dzisiaj ci, którzy życząc racjonalnie zwycięstwa Ukrainie, nie popadają jednocześnie w ślepą nienawiść wobec wszystkich Rosjan, mają po temu powodów jeszcze więcej. ●

ALEHISTORIA

Lech Wałęsa ustalił z żoną, że to ona odbierze Nobla.
Ale kto zdecydował, że zabierze ze sobą syna? Nie wiadomo.
– Nie stawiałem oporu, zawsze byłem maminsynkiem
– opowiada Bogdan.

Danka,
POJEDZIESZ DO OSŁO

• Bogdan Wałęsa (ur. 1970), najstarszy syn Danuty i Lecha Wałęsów. Pracował w Urzędzie Ochrony Państwa, na emeryturze zajął się prowadzeniem Instytutu Lecha Wałęsy

FOT. MARTYNA NIECKO / AGENCIA WYBORCZA.PL

1 RP

Z BOGDANEM WAŁĘSĄ ROZMAWIA DOROTA KARAS

DOROTA KARAS: W biurze Lecha Wałęsy nie ma nikogo poza nami?

BOGDAN WAŁĘSA: Ojciec czeka w tej chwili na wypis ze szpitala. Właśnie dostałem SMS-a, że szykuje się już do wyjścia do domu. Ostatnio gorzej się czuł, ledwo namówiliśmy go na badania.

Będzie teraz dłużej odpoczywał?

– A gdzie tam! Jutro przyjdzie już do pracy. Upewniał się, czy dziś na pewno nie ma czegoś w kalendarzu.

Pamięta pan moment, kiedy jesienią 1983 roku dowiedzieliście się o Pokojowej Nagrodzie Nobla dla Lecha Wałęsy?

– Kiedy wracam do tamtego czasu, cofam się do pamięci 13-letniego dziecka. Będę opowiadał tak, jak wtedy to widziałem i słyszałem.

Chyba była sobota. Ojciec zapakował nas, dzieci, do samochodu i powiedział, że jedziemy za miasto. Rodzice wiedzieli, że będzie ogłoszony werdykt, mama chciała mieć w domu spokój. Nam było to na rękę.

Wysiedliśmy przy leśniczówce na Kaszubach. Za nami ciągnął się sznur dziennikarzy. Któryś z nich powiedział, że to już na 100 procent potwierdzone. Jest nawet amatorski film z tego momentu. Ojciec roześmiany, ale dalej powtarza, że nie wierzy. Ktoś przyniósł radio i złapał jakąś zagraniczną rozgłośnię, która podawała wiadomość o Noblu. Jeden z wujków, kuzyn i znajomi, którzy byli z nami, złapali ojca i podrzucili do góry kilka razy. Tę scenę dokładnie zapamiętałem.

„Danka, pojedziesz do Oslo” – tak Lech Wałęsa ustalił z żoną, że odbierze za niego nagrodę. Kto zdecydował, że pan będzie jej towarzyszył?

– Rodzice, szczególnie mama, bardzo nas chronili przed polityką, tymi wszystkimi brudnymi i bolesnymi rzeczami. Żyliśmy jak pod parasolem. Nagroda Nobla to była pozytywna wiadomość, ale niewiele wiedziałem, co się wokół tego działo. Ktoś zdecydował, że mama powinna zabrać mnie. Trzynastolatka nikt nie pytał o zdanie. Nie stawiałem oporu, zawsze byłem maminsynkiem.

Czuł pan, że ma być podporą dla mamy?

– Dopiero jako dorosły tak to widzę. Było jej różnie z mną, bo otaczali nas prawie sami obcy ludzie. W hotelu długo uczyła się przy mnie czytać przemówienie, wspierałiśmy się nawzajem. To był dobry pomysł, że pojechaliśmy razem.

Kuratorium oświaty musiało wydać zaświadczenie, żeby zwolnili pana z lekcji na czas wyjazdu do Oslo. Jak reagowano na to w szkole?

– Zawsze znajdowali się złośliwi, którzy wbijali szpile, i tacy, którzy byli pozytywni. Bilans wychodził na zero. O Nagrodzie Nobla dla ojca nikt w szkole nie mówił, bo tej informacji nie było w rządowej telewizji ani prasie. Przypominam sobie jakieś drobne złośliwości, prztyczki, ale żadnej rozmowy na ten temat nie było.

Jaką miał pan pozycję w klasie: przywódca czy raczej outsider?

– To drugie. Zawsze stałem raczej z boku, nie pchałem się do przodu. Nie tylko w szkole. Kiedy po strajku w sierpniu 1980 roku dostaliśmy mieszkanie i przeprowadziliśmy się ze Stogów na Zaspę, zmieniłem szkołę. Byłem wtedy w czwartej klasie, przyszedłem w połowie ośmioletniej edukacji podstawowej. Moi koledzy i koleżanki znali się już cztery lata. Na początku czułem się trochę wyobcowany, ale zawsze byłem wycofany i trochę nieśmiały. Mieliśmy świetną wychowawczynię, później zgraliśmy się z kolegami. Z kumplami z podstawówki spotykamy się do dziś. I do dziś ja stoję trochę z boku.

Oceny jakie były?

– Państwowe.

Czyli trójki?

– Trzy z plusem. Byłem takim słabym średniakiem. Najbardziej lubilem grać w piłkę na WF. Chemia czy matematyka nigdy mi nie leżały.

Przed wyjazdem do Oslo ktoś was przygotowywał, jak się zachowywać podczas wręczania Nobla?

– Dopiero w Oslo, przed audiencją u króla Olafa V, przeszliśmy dłuższe szkolenie z protokołu. Mama uczyła się, w którym momencie trzeba dygnąć. Mnie tłumaczono, że mam pocałować w rękę księżniczkę, jeśli wyciągnie do mnie dłoń w rękawiczce. Ale król i księżniczka rozbili nam całe to szkolenie – byli serdeczni, żartowali. Taki ludzki król, powiedziałbym. Jedyny, jakiego poznałem.

Na dziecku wychowanym w PRL-u Oslo zrobiło duże wrażenie?

– Nieskromnie powiem, że już dwa lata wcześniej zaliczyłem zagraniczną wycieczkę do Szwajcarii. Zorganizowali ją dla dzieci opozycjonistów ksiądz Jankowski i szwajcarski biznesmen polskiego pochodzenia. W dwóch turach wyjechało

na koniec. Do dzisiaj za nim przepadam. Ale poza tym niewiele jedliśmy.

Z wrażenia?

– Mama zamówiła nam do pokoju pieczonego kurczaka. W domu obiad był zawsze o 13, przyjęcie zaczynało się po południu. Byliśmy głodni, więc zjedliśmy tego kurczaka i poszliśmy już najedzeni.

Denerwował się pan, gdy mama czytała przemówienie?

– Jest film z uroczystości, w pewnym momencie kamera kieruje się na mnie. Siedzę z zaciśniętymi dłońmi, trzymam za mamę kciuki. Stałem przy mamie, gdy wręczano jej dyplom. Ja dostałem do potrzymania medal. Po latach dziennikarka zapytała mnie, jaką miał wagę. Myślałem, że chodzi o sam medal, więc odpowiedziałem: „Nie był zbyt ciężki”. Dotąd śmieję się sam z siebie.

Lech Wałęsa ocenił występ Danuty w Oslo na trzy z plusem. Pan jaką dałby ocenę?

– Nie jestem obiektywny, ale to była na prawdę solidna czwórka z plusem. Przemówienie było przeczytane wzorcowo, bez zająknięcia, z odpowiednim uczuciem. Ekstra to wyszło.

OJCIEC ŻYJE TYM, CO SIĘ DZIEJE DZIŚ. Ewentualnie jeden dzień do przodu. Raz, że przeszłość go nie obchodzi, dwa – jego zdaniem wspomnianie nie jest męskie

co najmniej kilkadziesiąt dzieciaków. To było latem 1981 roku. Mieszkaliśmy u szwajcarskich rodzin. Wtedy przeżyłem szok. Raj totalny – kolorowo na ulicach, sklepy pełne towarów. Coś pięknego. Tak mi się podobało, że poczułem nawet miłość do języka niemieckiego, którego potem się uczyłem.

Co zapamiętał pan z Oslo?

– To był już czas przedświąteczny, więc na ulicach też było żywo, wesoło. Inny świat. Kiedy mama miała jakieś spotkanie, zabrali mnie do muzeum, w którym oglądałem tratwę Kon-Tiki. Bardzo fajna rzecz, zrobiła na mnie wrażenie.

Mieszkaliście w centrum miasta, w Grand Hotelu.

– Pamiętam, że wychodziliśmy z pokoju na taki wielki balkon, na dole była masa ludzi. Szli z pochodniami, dosłownie rzeka ludzi. Norwegowie i Polacy przyszli okazać wsparcie „Solidarności”. Jurek Owsiak mówił, że też tam wtedy był. Marziliśmy na tym balkonie, więc co jakiś czas chowaliśmy się z mamą do pokoju, żeby się ogrzać, a potem znów wychodziliśmy i machaliśmy do ludzi. Jak jakaś para królewska.

Pamięta pan, co jedliście na przyjęciu?

– Po wręczeniu nagrody był 12-daniowy obiad, chyba nawet król brał w nim udział. Stoły ustawiono w kóło, przy talerzach cały rząd widelców różnej wielkości. Uczyli nas, który do czego służy. Na początek były sery, potem to danie z francuską nazwą, o którym śpiewa Karolina Kazon w piosence „Danuta odbiera Nobla” w musicalu „1989”. Najbardziej smakował mi tort bezowy, który podano

Przywiózł pan sobie coś na pamiątkę z Oslo?

– Na konferencji ktoś zapytał mnie, jakie mam hobby. Wtedy akurat zacząłem zbierać znaczki. Następnego dnia ktoś przyniósł wielką torbę znaczków z całego świata, powycinanych albo powyrywanych z kopert. Chyba ze dwa kilo. Dostałem też olbrzymie pudło z volkswagenem garbusem na baterie. Auto trzeba najpierw złożyć. Na szczęście, jak wróciliśmy, ojciec był przeziębiony, siedział kilka dni w domu i poskładał mi je.

Trzecią rzeczą były narty biegówki. W Polsce wtedy niewiele osób jeździło na nartach. Po powrocie do Gdańska poszedłem na górkę na Zaspę. Pojeźdżałem sobie, ale trudno było się na nich utrzymać. Ktoś mi dopiero wytłumaczył, że to są narty do biegania.

Volkswagen wzbudził wśród braci podziw. Szybko jeździł, długo się nim bawiliśmy.

Lechowi i Danucie urodziło się najpierw czworo synów. Daliście rodzicom popalić?

– Mama świetnie sobie z nami radziła, nawet z ósemką potrafiła wszystko zorganizować. Jak byliśmy mali i musiała wyjść na zakupy, wyciągała klamkę z drzwi naszego pokoju. I po sprawie. W oknach też nie było klamek, bo mieszkaliśmy na pierwszym piętrze. Najgorzej miały kwiaty, mało który przetrwał przy czwórce chłopaków skaczących po meblach jak małpy. Do dzisiaj nie wiem, jak udało nam się nagryzmościć coś na środku sufitu.

Pod ścianą stała szafa, na którą wchodziłiśmy. Raz się przewróciła i mnie przygniotła, ale jakoś ją podnieśliśmy. Innym razem

przewrócił się segment i pękło lustro w środku. Postawiliśmy go, ale mówię do braci: „Idziemy spać, bo jak wrócą rodzice, to będzie dyń”. Miałem rację. Wyplata była.

Wyplata, czyli lanie?

– Pasem po tyłku. Zlecała mama, wykonawcą był ojciec. Dzisiaj uważam, że się należało.

Pamięta pan jakieś zabawy z ojcem?

– Zajmowaliśmy się sami sobą. Ja się urodziłem w 1970 roku, po mnie co dwa lata byli kolejni bracia: Sławek, Przemek i Jarek. Jak już trochę podrosłem, opiekowałem się młodszymi. W latach 70. ojcu starczało czasu na tyle, żeby czasem z nami popać piłkę. To też rzadko, bo albo gdzieś działał, chodził na tajne zebrania albo był aresztowany. Zabierał nas też na ryby, ale wiadomo, że wędkarz musi mieć spokój, więc tylko pokazał nam, jak to robić, i sami łapaliśmy. Często przynosiliśmy większe sztuki od niego, bo on głównie na okonki się nastawiał.

Mama nas uczyła różnych rzeczy: jak nie tabliczki mnożenia, to zegarka albo liter.

Pamięta pan jakąś radę, którą dostał od ojca?

– Byliśmy kiedyś w lesie i ostrzyłem patyk do kielbasek. – Nie rób do siebie, tylko od siebie, żebyś się nie skaleczył – tłumaczył mi. Kiedy byłem starszy, miałem problemy z dziewczyną czy z żoną, zawsze mówił o kompromisie. Ale jemu jakoś ten kompromis nie zawsze wychodził.

Rzadko mieliśmy takie rozmowy. Teraz mam ojca częściej dla siebie, bo jestem na emeryturze i prowadzę jego instytut.

Więcej teraz rozmawiacie, wracacie do przeszłości?

– Z ojcem się tak nie da, on żyje tym, co się dzieje dziś. Ewentualnie jeden dzień do przodu. Raz, że przeszłość go nie obchodzi, dwa – jego zdaniem wspomnianie nie jest męskie. Mnie zdarza się to coraz częściej, wtedy wypytuję o sprawy, które on pamięta, widzi je inaczej. Trochę go rozmiękczam.

Do 1980 roku Lech Wałęsa był nieznanym nikomu elektrykiem, po podpisaniu Porozumień Sierpniowych stał się sławnym na całym świecie przywódcą „Solidarności”. Z waszego mieszkania nie wychodzili dziennikarze. Straciliście wtedy prywatność?

– A jednocześnie wyszliśmy z klatki. W mieszkaniu na Stogach mieliśmy dwa małe pokoje, mikroskopijną kuchnię i łazienkę. Spaliśmy z braćmi w czwórkę w jednym łóżku. W 1979 roku urodziła się Magda, tuż przed strajkami – Ania. One spały w pokoju rodziców. Było absurdalnie ciasno.

Przeprowadzka na Zaspę, do ogromnego mieszkania, była dla nas kompletną rewolucją, choć mieszkanie było strasznie zapuszczone. To był lokal po spółdzielni mieszkaniowej: na podłodze linoleum, brudne ściany. Kiedy się wprowadziliśmy, trwał remont. Ale od tej pory mieszkaliśmy po dwie osoby w pokojach, przed blokiem był plac zabaw.

Do domu weszła wam też polityka.

– W centralnym miejscu mieszkania był duży pokój, który służył jako biuro. Nasze pokoje były po dwóch stronach korytarza. Widzieliśmy i słyszeliśmy, co się tam dzieje. Czuliśmy też, bo wszyscy palili wtedy bez opamiętania. Goście niczym się nie przejmowali, szli do mamy do kuchni i pytali, czy mogą dostać kawę, herbatę albo kanapeczkę. Mama w końcu pękła: nie dość, że miała całą gromadkę dzieci, to trzeba było jeszcze wykarmić tych darmozjadów.





• Oslo, 10 grudnia 1983 rok. Danuta Wałęsa odbiera w imieniu męża Pokojową Nagrodę Nobla, Bogdan z lewej z medalem noblowskim

FOT. PAP/ARCHIWUM



Później siedziały w tym pokoju panie sekretarki, między innymi Bożena Grzywaczewska, które ogarniały cały ten ruch.

Którąś z tych osób przewijających się przez wasze mieszkanie szczególnie pan wspomina?

– Kiedy ojca internowali, Mietek Wachowski był bardzo oddany naszej rodzinie. Był takim drużynowym. Zabierał nas w różne miejsca, jeździliśmy z nim na plażę. Pływaliśmy w Bałtyku do końca września. Praktycznie nas wychowywał. Ze Sławkiem Rybickim z kolei kopaliśmy piłkę.

Wiedzieliście, że w domu jest podsłuch?

– W centralnym pokoju widziałem nieraz dorosłych, którzy rozmawiali ze sobą przez zabawkowe węże. Były w tym czasie w sklepach takie plastikowe karbowane rury, jak się nimi kręciło, to wydawały różne dźwięki. Zastawiałem się, dlaczego starzy ludzie się tak bawią. A oni wiedzieli, że u nas są podsłuchy, i używali tych węży, żeby nie było ich słychać.

Mieszkanie też było objęte obserwacją.

– Pod domem zawsze stał samochód SB. To się nazywało „tajna obserwacja”. Ojciec

miał busa i nieraz im uciekaliśmy. Próbowali nas gonić dużymi fiatami, ale nie mieli szans.

Z niektórymi funkcjonariuszami, którzy stali pod naszym domem, spotkałem się później, gdy pracowałem w UOP-ie. Przeszli weryfikację i zostali w służbach. To było ciekawe doświadczenie.

Musielście sobie coś wytłumaczyć?

– W jednym przypadku skończyło się to przyjaźnią.

Może się pan narazić przyznaniem się do przyjaźni z funkcjonariuszem SB.

– Różne sytuacje bywały. Przekonałem się na własnej skórze. Mielśmy kiedyś stłuczkę w Żukowie. Nie było żadnych ofiar, tylko samochody potłuczone. Zaraz się na nas rzucili esbecy, którzy za nami jechali. Jedni robili jak najwięcej zdjęć, żeby pokazać, że Wałęsa spowodował wypadek. Drudzy ruszyli na pomoc. Innym razem pokłóciłem się z koleżanką pod blokiem. Przyszła jej mama i mnie zrugowała. Jeden z esbeków wysiadł z samochodu i poklepał mnie po ramieniu: „Nie przejmuj się, z dziewczynami tak bywa”. Później pomógł mi się dostać do pracy, był moim szefem. Do dziś mamy dobry kontakt.

W latach 90., kiedy ojciec został prezydentem, zostaliście z mamą w Gdańsku.

Tabloidy i tygodnik „Nie” chętnie się rozpisowały o ekscesach synów Lecha Wałęsy. Żałuje pan czegoś z tamtego czasu?

– Tygodnik „Nie” nawet sobie chwałę, bo jako jedyni mieli świetne zdjęcia z mojego wesela, które odbyło się w 1990 roku w Domu Harcerza w Gdańsku. Zrobili z tego rozkładówkę, nawet ja nie miałem takich fotografii.

Potem było trochę gorzej, bo mnie obsmarowali. Oczywiście z mojej winy, to nie ulega żadnej wątpliwości. Nie potrafiłem sobie poradzić z tym wszystkim.

Z czym konkretnie?

– Wziąłem ślub w wieku 20 lat, przeprowadziłem się do mieszkania w Rumi, które kupił mi ojciec. Zaraz potem urodziła się córka. Byłem za młody na założenie rodziny, absolutnie nic nie wiedziałem o życiu. Uciekałem od problemów, miałem uczucie, że wszystko mnie przerasta. Brnąłem w używki, żeby nie zderzyć się rzeczywistością. A przy tym pozjadałem wszystkie rozumy, czułem się najmądrzejszy na świecie. I tak to wszystko się nakręcało.

Co chciał pan robić w życiu?

– Po powrocie ze Szwajcarii myślałem o tym, żeby zostać stomatologiem, bo

dowiedziałem się, że dentyści zarabiają piękne pieniądze i mają fajne domy. Nie spieszyło mi się jednak na medycynę. Przez jakiś czas myślałem, że może zostanę księdzem. Zaczęły mi się podobać dziewczyny, więc już nie wypadało. Po maturze poszedłem na ekonomię na Uniwersytecie Gdańskim, bo wszyscy wtedy ten kierunek wybierali. Wytrzymałem rok, ale poległem na matematyce. Potem dwa lata studium ekonomicznego, ale upomniało się o mnie wojsko. Na rok trzeba było pójść w kamasze. Byłem sternikiem-nawigatorem na ORP „Wodnik”.

Jak znalazł się pan w UOP-ie?

– Przez jednego z funkcjonariuszy SB, który w latach 80. inwigilował ojca. Po 1989 roku został zastępcą szefa delegatury UOP-u w Gdańsku. To on wytłumaczył mi, jak wygląda cała ścieżka zawodowa. Po wstąpieniu do UOP-u zrobiłem licencjat w szkole policyjnej w Szczytnie. Nie żałuję, podobała mi się ta robota.

Czym się pan zajmował w służbach?

– Na początku to był biały wywiad: analiza gazet, telewizji, radia, pozyskiwanych rozmów. Potem zajmowałem się łącznością bezprzewodową i przewodową, cyberbezpieczeństwem.

Nazwisko nie przeszkadzało w tej pracy?

– Tak jak w szkole bilans zwykle wychodził na zero. Za czasów ekip prosolidarnościowych przełożeni bali się mnie nagradzać, żeby nikt im nie zarzucił, że odbyło się to po znajomości. Najbardziej awansowałem pod rządami lewicy – liczyło się tylko to, co robię, ocena była merytoryczna. Kiedy przyszedł PiS, zaczęło się koszenie. Ostatnie osiem lat było najgorsze. Mocno z nimi wojowałem, ale była to walka z wiatrakami. Poprosiłem dyrektora delegatury o wyjaśnienie, co robię źle, że jestem ciągle wycinany. Odpowiedział, że nie musi mi się tłumaczyć. Kiedy mówiłem o tym ojcu, radził mi, żebym zmienił nazwisko. Ale przecież nie tędy droga.

Dopracowałem więc do emerytury, odebrałem jubileuszową nagrodę, która należała mi się po 30 latach pracy, i odszedłem.

Jako najstarszy syn w rodzinie czuje pan odpowiedzialność za rodziców i rodzeństwo?

– Na emeryturze zacząłem prowadzić Instytut Lecha Wałęsy. Trzy dni w tygodniu współpracuję z ojcem, wtorek i czwartek jestem u mamy. Codziennie rano robię jej zakupy i słucham, co trzeba załatwić: a to cieknie kran, a to nie działa telewizor, a to trzeba kupić słuchawki, bo ojciec za głośno słucha programów. Sprawami zdrowotnymi rodziców też się zajmuję.

Ojciec już wie, że jak wybierze mój numer i ma jakąś sprawę, to może na mnie liczyć. Fajnie się z tym czuję.

A rodzeństwo? Trzymacie się razem?

– Było nas ośmioro, ale faktycznie każde z nas czuło się jak jedynek. Kompletnie się od siebie różnimy. Namawiam każdego z osobna, żebyśmy się spotkali choć raz w roku na święta i znów na chwilę poczuli się rodziną. Ale każdy jest dorosły, większość ma swoje rodziny. Za daleko pewne rzeczy poszły. Przemka już z nami nie ma. Miał duszę artysty, psychika go wykończyła. Sławek znalazł się też po złej stronie mocy, jest alkohikiem, nie mamy na niego wpływu. Szkoda faceta, był informatykiem samoukiem, niesamowity mózg.

Kiedyś na wigilię do rodziców przychodziło nawet 30 osób. Teraz jak uzbiera się nas dziesięcioro, to jest osiągnięcie. Mama tradycyjnie wszystko robi sama, a potem jest wymęczona i narzeka, że to już ostatni raz. Ale jak tylko przebakujemy, że zamówimy jakiś catering, to nie ma mowy. Póki ma siły, lepi pierogi i smaży ryby. ●

Kiedyś na wigilię do rodziców przychodziło nawet 30 osób. Teraz jak uzbiera się nas dziesięcioro, to jest osiągnięcie. Mama tradycyjnie wszystko robi sama, a potem jest wymęczona i narzeka, że to już ostatni raz.

WYBIERZMY NASZĄ EUROPE

Atomowe SZACHY EUROPY

Gdy na początku zimnej wojny Europa żyła w strachu przed nowym, światowym konfliktem, a gwarancje bezpieczeństwa ze strony USA stały się niepewne, dwa państwa próbowały uruchomić własny program jądrowy.

Marek Wąs

Atmosfera zagrożenie wróciła. Po zgodzie Joego Bidena na użycie przez Ukrainę amerykańskich rakiet dalekiego zasięgu wewnątrz Rosji Władimir Putin zmienił doktrynę nuklearną tego kraju. Przewiduje ona teraz, że każdy konwencjonalny atak wspomagany przez mocarstwo jądrowe może być uznany za uderzenie dokonane wspólnie, teoretycznie umożliwia to użycie przez Moskwę broni atomowej.

Obawy przed użyciem taktycznej broni jądrowej obecne są od samego początku wojny w Ukrainie. Na Zachodzie politycy i analitycy dyskutują o tym zawzięcie.

W Niemczech rozgorzała debata, czy ten kraj nie powinien mieć własnej broni jądrowej. Prasa spekulowała też o wspólnej niemiecko-polskiej albo unijnej – walizka z guzikami do odpalania rakiet rotacyjnie krążyłaby między państwami członkowskimi.

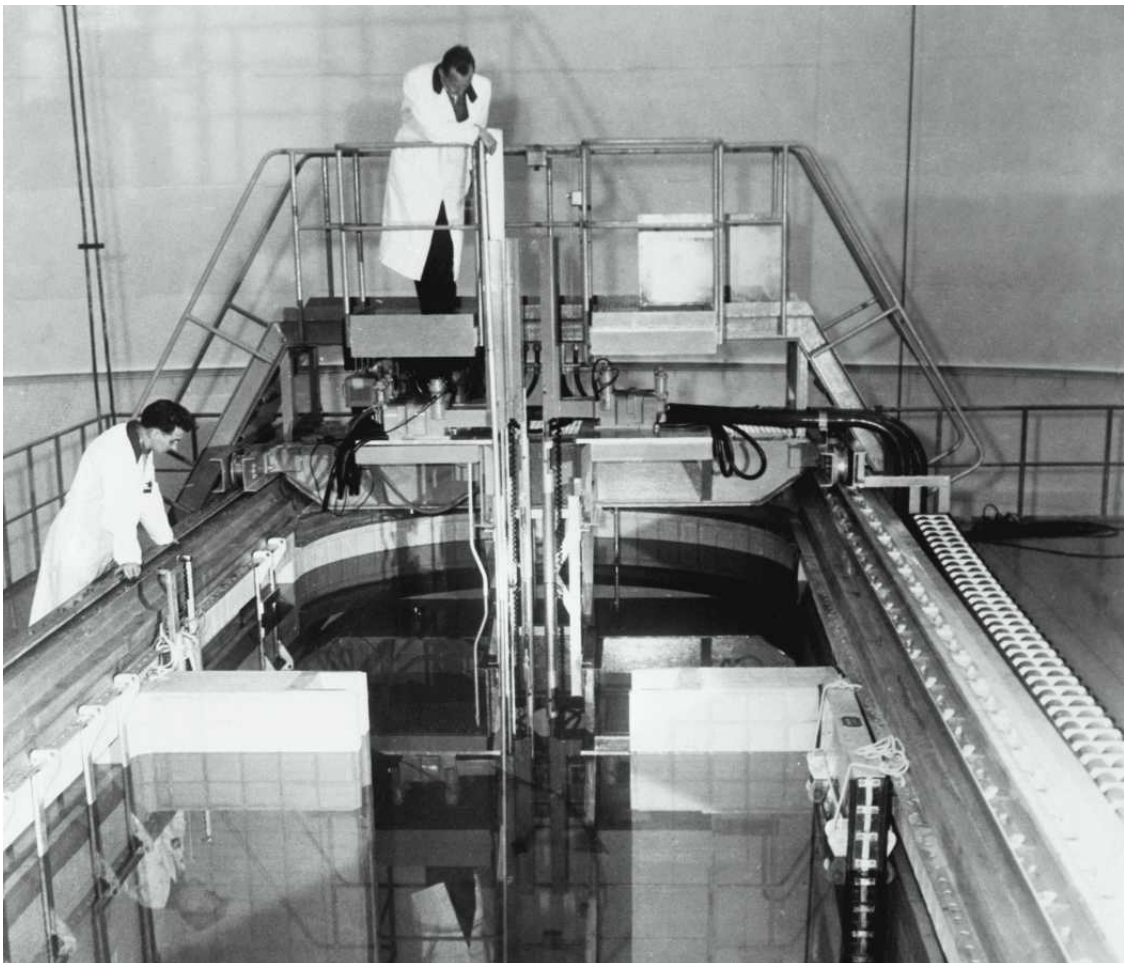
Emmanuel Macron sugerował roztoczenie francuskiego parasola atomowego nad Europą, ale już bez oddawania komukolwiek guzika. Natomiast Andrzej Duda kilka miesięcy temu mówił o włączeniu Polski do programu „Nuclear sharing”.

Nie wiadomo, jaka będzie polityka Donalda Trumpa wobec walczącej z najazdem Rosji Ukrainy. Prezydent elekt zapowiada jej zmianę, ale na czym będzie ona polegać?

Europa już kiedyś znalazła się w podobnej sytuacji – na początku lat 50. XX wieku stanęła w obliczu niepewnych gwarancji bezpieczeństwa ze strony USA. W obawie o swoje bezpieczeństwo Szwecja i zachodnie Niemcy rozpoczęły wówczas działania polityczne i technologiczne mające zapewnić im własną broń jądrową.

BOMBA ADENAUERA

Od zakończenia II wojny światowej rosła wrogość między Sowietami a zachodnimi aliantami. Złudzenia o pokojowej współpracy i zjedno-



• Niemieccy naukowcy na mostku reaktora jądrowego zbudowanego w Monachium. Powstał w ramach programu „Atom dla Pokoju”, którego nazwa nawiązuje do przemówienia prezydenta Dwighta Eisenhowera wygłoszonego w ONZ 8 grudnia 1953 r. w apogeum zimnej wojny FOT. BETTMANN ARCHIVE / GETTY IMAGES

czonych Niemczech prysły ostatecznie w 1949 roku, gdy USA i ich sojusznicy powołali do życia Pakt Północnoatlantycki, a z amerykańskiej, brytyjskiej i francuskiej strefy okupacyjnych powstała RFN. Nie dysponowała własną armią, na początku lat 50. jej siły porządkowe liczyły ledwie kilkadziesiąt tysięcy policjantów wyposażonych jedynie w broń osobistą.

Stany Zjednoczone konsekwentnie odmawiały Niemcom prawa do posiadania wojska. Zmieniły zdanie w 1950 roku, gdy wybuchła wojna koreańska. Stało się jasne, że potrzebują na zachód od Łaby silnej armii. Najlepiej niemieckiej.

23 października 1954 roku na konferencji w Paryżu RFN uzyskała suwerenność i zaproszenie do NATO. Alianci zdecydowali o zakończeniu okupacji Niemiec. Chadecki kanclerz Konrad Adenauer zobowiązywał się, że na terenie RFN nie będzie wytwarzana broń atomowa, chemiczna i biologicz-

na (ABC). Jednocześnie Niemcy uzyskały prawo i obowiązek posiadania własnej armii. Wyniszczony wojną kraj zmagął się jednak z ciągłym niedoborem mężczyzn potrzebnych w przemyśle. Rozpoczęła się gra o gwarancje bezpieczeństwa dla Niemiec i ich wkład w bezpieczeństwo Zachodu.

7 czerwca 1955 roku w skład rządu RFN po raz pierwszy wszedł minister obrony, działacz związkowy Theodor Blank z CDU, który miał przekonać robotników do idei remilitaryzacji. Niemcy zobowiązały się do wystawienia półmilionowej armii i wprowadzenia obowiązku półtorarocznej służby wojskowej. Napotkało to ogromny opór socjaldemokratów. Plany NATO zakładały, że Amerykanie i Anglicy zapewnią zachodniej Europie odstraszanie atomowe, natomiast Niemcy, od 1955 już członek Paktu, będą musiały stawić opór Sowietom w polu.

Latem 1956 roku w dzienniku „New York Times” ukazał się

artykuł, który zapowiadał ogromną redukcję amerykańskich wojsk w Europie. W razie sowieckiego ataku Niemcy mieli się utrzymać na linii Renu, Anglosasi zaś po zmasowanym ataku jądrowym przejść do kontrofensywy. Niemcy stałyby się polem atomowej bitwy mocarstw – dla Adenauera było to nie do przyjęcia.

W grudniu 1956 roku szef rządu RFN stwierdził na posiedzeniu gabinetu: „Należy wspierać działania, które przyspieszą utworzenie Bundeswehry, pchnąć do przodu integrację Europy i umożliwić budowę broni nuklearnej w Niemczech”.

Groźba stworzenia niemieckiej bomby atomowej miała się stać kartą przetargową w uzyskaniu jak największych gwarancji bezpieczeństwa od USA. Nowa strategia zakładała sabotowanie planów NATO i utrzymywania armii na tak niskim poziomie, aby nie przedstawiała większej war-

tości bez uwzględnienia użycia taktycznej broni nuklearnej w obronie terytorium RFN.

Adenauer chciał wzmocnić bezpieczeństwo Niemiec we współpracy z Francją. Poparł więc projekt Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej mimo sprzeciwu własnego ministra gospodarki i przyszłego kanclerza Ludwiga Erharda. Zbliżenie z Niemcami było też wówczas na rękę Francuzom – ich relacje z USA uległy gwałtownemu oziębieniu po kryzysie sueskim z jesieni 1956 roku, gdy USA wspólnie z ZSRR wymusiły zakończenie agresji Francji, Anglii i Izraela na Egipt.

W marcu następnego roku podpisano traktaty rzymskie, tak zaczęła się historia Unii Europejskiej.

TAJNE PRZEZ POUFNE

W październiku 1956 roku ministra Blanka zastąpił Franz Josef Strauss, szef bawarskiej CSU. Opowiadał się za skróceniem służby wojskowej, ograniczeniem liczebności armii i jawnie wspierał pomysł wyposażenia jej w taktyczną broń nuklearną. Strauss wcześniej kierował resortem badań nad energią atomową. Bundeswehra od początku była organizowana w taki sposób, by taktyka przyszłej walki uwzględniała użycie broni nuklearnej. W miejsce dużych 15-tysięcznych jednorodnych dywizji podstawowym związkiem stała się trzykrotnie mniejsza brygada złożona z różnych rodzajów broni. Do końca 1958 roku niemiecka armia liczyła zaledwie 180 tys. ludzi.

Gdy 4 października 1957 roku Sowieci wynieśli na orbitę okołozemską pierwszego sztucznego satelitę, wywołało to na Zachodzie panikę, ale nadało też tempo francusko-niemieckiej współpracy. W listopadzie na polecenie premiera z socjalistycznej Partii Radykalnej Félix Galliera do Niemiec przybył sekretarz stanu francuskiego MSZ Maurice Faure. W willi Konrada Adenauera w nadreńskim miasteczku Rhöndorf dyplomata postawił sprawę jasno – kontynentalna Europa nie może pozwolić na to, by jedynie Anglosasi dysponowali bronią jądrową. Wkrótce rozpoczęły się prace nad francusko-niemiecką bombą. Wspólne projekty dotyczyły zarówno z techniki nuklearnej, jak i rakietowej, gdyż po debiucie sputnika stało się jasne, że to właśnie rakiety staną się najgroźniejszymi nośnikami bomb atomowych.

W styczniu 1957 roku Strauss spotkał się ze swoim francuskim odpowiednikiem Jakiem Chabanem-Delmacem na pustyni we francuskiej jeszcze wówczas Algierii. Miejsce rozmów było znaczące – sugerowało pełną dyskrecję i wspólnotę interesów. Niemcy wciąż posiadały doskonałe zespoły badawcze, natomiast Francja znacznie większe moralne prawo do zbudowania bomby i tereny do przeprowadzenia prób jądrowych – na Saharze czy w koloniach na Pacyfiku.

Traktaty zakazywały produkcji broni ABC na terytorium Niemiec, dlatego miała być produkowana we Francji. Powstał wspólny komitet wykonawczy i Instytut Badań Rakietowych, RFN miała objąć





udziały we francuskim zakładzie wzbogacania uranu w Pierrelatte. Tych działań nie udało się utrzymać w tajemnicy, ale Strauss lgał w żywe oczy: „Rząd Federalny nie posiada planów dotyczących produkcji broni ABC we współpracy z innymi krajami NATO” – mówił w lutym 1958 roku.

NIEOKRZESANY CZŁOWIEK

Debata o wyposażeniu armii RFN w taktyczną broń nuklearną objęła całą Europę. Adenauer i Strauss dowodzili, że to nic innego jak ulepszona artyleria. Popierał ich brytyjski sekretarz generalny NATO lord Hastings Ismay i jego następca, belgijski socjalista Paul-Henri Spaak. Odbyla się nawet debata w Bundestagu. Stało na niczym, ale spór był na tyle gorący, że wiosną 1958 roku powstał Kampf dem Atomtod – komitet Walka Śmierci Atomowej, do którego weszli liczni socjaldemokraci, działacze ewangeliccy czy pisarz Heinrich Böll.

Demonstracje przeciwników szły ulicami Bremy i Hamburga. W czerwcu Bundestag odrzucił jednak wniosek socjaldemokratów o przeprowadzenie plebiscytu na temat nuklearnego uzbrojenia Bundeswehry. Przeciwno bombie w specjalnym apelu powiedziało się 18 niemieckich fizyków atomowych, w tym nobliści Max Born, Otto Hahn i Werner Heisenberg.

Adenauer odpowiedział im arogancko: „Ażeby ocenić to oświadczenie, trzeba mieć wiedzę, której ci panowie nie posiadają, gdyż nie zjawili się u mnie”. Bardziej zniechęconym od Adenauera był tylko Strauss. Otto Hahn tak podsumował rozmowę z ministrem: „Przez godzinę złość i przekleństwa. Nieokrzesany człowiek”.

DE GAULLE MÓWI: „NIE”

Projekt francusko-niemieckiej bomby pogrzał ostatecznie Charles de Gaulle, który w grudniu 1958 roku został pierwszym prezydentem V Republiki. Uznał, że Francja powinna mieć broń jądrową, ale nie do spółki z kimkolwiek. 13 lutego 1960 roku Francuzi detonowali swoją pierwszą bombę, a ostatnim, który żywił jakieś złudzenia, był Strauss, który uchodził wręcz za zachodniemieckiego gaullistę. W grudniu 1962 roku został zmuszony do odejścia po skandalu z nadużyciami wobec liberalnego tygodnika „Der Spiegel” – Strauss nakłaniał do zastosowania represji wobec redakcji, która opisała fatalny stan Bundeswehry.

Stopniowo pod naciskiem USA Niemcy zaczęli zwiększać swoją armię. Świat się zmieniał – prezydent John Kennedy coraz mocniej angażował Amerykę w wojnę w Indochinach, 13 sierpnia 1961 roku rząd NRD rozpoczął budowę muru berlińskiego. Sześć lat po tym, gdy stanął, Bundeswehra osiągnęła rekordowy poziom 460 tys. żołnierzy. Plany pozyskania własnej bomby przez Niemcy upadły ostatecznie 1 lipca 1968 roku, gdy USA, ZSRR i Wielka Brytania zawarły traktat o nierozprzestrzenianiu broni nuklearnej. Plany

te od początku były mrzonką, ale atomowy szantaż odniósł pewien skutek – do końca zimnej wojny USA utrzymywały nad Renem potężne siły. Bundestag ratyfikował traktat o nierozprzestrzenianiu dopiero w roku 1974 roku. W tym czasie już od 13 lat do niemieckich domów płynęła energia z elektrowni jądrowych. Ostatecznie w RFN powstało ich 30.

NEUTRALNOŚĆ PO SZWEDZKU

Szwecja nie wzięła udziału w II wojnie. Przywiązanie do idei neutralności było bardzo silne – kraj nie prowadził wojen od 1814 roku. Jego neutralność miała jednak zupełnie inny charakter niż np. Szwajcarii. Szwedzi nie stali na uboczu – angażowali się w działalność ONZ, w 1948 roku przystąpili do planu Marshalla, rok później do Rady Europejskiej, w latach 50. i 60. XX wieku działali w międzynarodowych komisjach w Korei, Kongo, na Cyprze. Było jasne, że zarówno kulturowo, jak i politycznie Szwecja jest częścią Zachodu.

Obawa przed ZSRR, który politycznie podporządkował sobie bliską Szwedom Finlandię, sprawiała, że społeczeństwo szwedzkie akceptowało potrzebę zbrojeń. W 1952 roku służba wojskowa została przedłużona do ponad roku. W czasie wojny koreańskiej powołano nawet pod broń część rezerwistów. W latach 50. i 60. za zwiększaniem budżetu wojskowego głosowały zgodnie wszystkie partie.

Szwecja usiłowała zachować dystans wobec obu tworzących się bloków wojskowych, zabiegała o utworzenie niezależnej, skandy-nawskiej grupy obronnej. Projekt spalił na panewce w 1949 roku, gdy Dania i Norwegia przystąpiły do NATO. Gorącą kampanię, by pójść w ślady sąsiadów, prowadził wpły-wowy dziennik „Dagens Nyheter”, ale projekt nie znalazł większości w Riksdagu. W społeczeństwie panowało przekonanie, że właśnie neutralność uchroniła kraj przed wojną.

CICHY SOJUSZ Z NATO

Jednocześnie dla szwedzkich elit politycznych od początku było jasne, że zarówno dla bezpieczeństwa, jak i gospodarki kraju niezbędna jest bliska współpraca z USA. Po klęsce III Rzeszy możliwości eksportu na zniszczony kontynent były bardzo ograniczone, a import ze Stanów Zjednoczonych kluczowy. Stąd udział Szwecji w planie Marshalla. Ceną za amerykańską pomoc była tajna wymiana informacji wywiadowczych, która rozpoczęła się w 1949 roku.

Od lat 50. samoloty NATO systematycznie korzystały z tajnej trasy przelotowej nad południową Szwecją zwaną „Amber Nine”. Informacje mające klauzulę „poufne” przekazywano do Sztokholmu automatycznie, za pośrednictwem Norwegii. W 1953 roku Regionalne Dowództwo NATO dla Europy Północnej (AFNORTH) opracowało plan obrony całej Skandynawii, a szwedzcy oficerowie łącznikowi zostali umieszczeni w bazie sił powietrznych USA w Wiesbaden, w Waszyngtonie, Londynie, Kopenhadze i Oslo. W połowie lat 50. Szwedzi zmodernizowali swoje lotniska, by mogły przyjmować największe

amerykańskie samoloty, i ustanowili procedury identyfikacji statków powietrznych USA.

Wszystko działo się w ścisłej tajemnicy. Gdy tylko Szwedzi nabierali podejrzeń, że o ich kontaktach z Londynem czy Waszyngtonem może się dowiedzieć Moskwa, natychmiast zawieszali poufne rozmowy. A potem je wznowiali. Wymiana informacji wywiadowczych często oparta była na nieformalnych, osobistych kontaktach. Najważniejsze przekazywali sobie ustnie premier Tage Erlander i prezydent Harry Truman czy szwedzki pułkownik Thord Bonde i dowódca amerykańskiej armii w Europie Clyde D. Eddleman.

Cale to „ciche partnerstwo” irtowało obie strony. Amerykanie woleliby widzieć Szwecję jako kraj członkowski NATO. Mimo że na terenie Szwecji nie powstały żadne instalacje Paktu, w razie wojny musieliby jej bronić. Z kolei Szwedzi zdawali sobie sprawę, że nie mają żadnych formalnych gwarancji bezpieczeństwa. Alians nie był pewien dla nikogo. Remedium miało się stać pozyskanie przez Szwecję własnej bomby atomowej.

GOŁĄBEK POKOJU BUDUJE BOMBĘ

Ten postulat część szwedzkich wojskowych i polityków zgłosiła zaraz po Hiroszimie. Oficjalnie chodziło o pozyskanie wiedzy na temat nowej technologii, aby zabezpieczyć się przed atakiem, ale jednocześnie szacowano warunki i koszty pozyskania tej broni. Zadanie rozpoczęcia przygotowań do programu atomowego otrzymał powołany już w 1945 roku Instytut Badawczy Obrony Narodowej. Rok później powstała państwowa spółka AB Atomenergi, która miała pracować nad cywilnym programem wykorzystania energii z atomu. Prace nad bombą Szwedzi zawsze prowadzili pod płaszczykiem badań cywilnych.

Program wojskowy zaczął się w 1948 roku, gdy na polecenie armii Instytut opracował stosowną analizę. Mimo że Szwedzi posiadali własne złoża uranu, podjęli starania pozyskania łatwiejszego do stworzenia bomby plutonu. Potencjał badawczy mieli ogromny – w prace zaangażowani byli trzej laureaci Nagrody Nobla z fizyki – Niels Bohr, Theodor Svedberg i Hannes Alfvén. Czas prac nad szwedzkim programem jądrowym przypada na długi okres sprawowania urzędu premiera przez socjaldemokratę Tage Erlandera – od 1946 do 1969 roku. Konsekwentnie realizował on ideę państwa opiekuńczego, a na arenie międzynarodowej uchodził za gołąbka pokoju wspierającego państwa Trzeciego Świata. W sprawie bomby siedział okra-kiem na barykadzie.

W 1954 roku szwedzcy dowódcy wprost zażądali jej od polityków. O ile w sprawie wzmocnienia armii w kraju panował konsensus, o tyle w kwestii wyposażenia jej w taktyczną broń jądrową pojawiły się różnice zdań. Zwolennikami byli konserwatyści i Partia Centrum, natomiast wśród rządzących socjaldemokratów zdania były podzielone. W 1955 roku Erlander oficjalnie zadeklarował, że Szwecja nie planuje pozyskania broni atomowej,

ale jednocześnie powołał komitet do ponownej oceny sprawy. Jego raport z 1959 roku był swego rodzaju unikiem – Szwecja nie potrzebuje bomby w tej chwili, ale niewykluczone, że będzie potrzebowała jej w przyszłości, dlatego trzeba kontynuować badania.

OLOF PALME NIE CHCE BOMBY

Gdy w 1954 roku pod Królewskim Instytutem Technologii w Sztokholmie rozpoczął prace pierwszy szwedzki reaktor, plany pozyskania bomby przedostały się do opinii publicznej. Grupa Działania przeciw Szwedzkiej Bombie Atomowej (AMCA) skupiająca pacyfistów, pisarzy, uczonych i działaczy Kościoła organizowała manifestacje. Ich stronnikiem był socjaldemokratyczny minister spraw zagranicznych Östen Undén, który w 1961 roku na forum ONZ wystąpił z projektem utworzenia klubu krajów nieposiadających broni nuklearnej.

Podczas gdy Undén zgłaszał inicjatywę rozbrojeniuowe, Szwecja konsekwentnie zbliżała się do finału prac nad bombą. Opracowano środki przenoszenia, doktrynę jej użycia, rozbudowano lotniska, wyznaczono nawet cele na terenie ZSRR. Zdaniem większości analityków w końcu lat 60. Szwecja była o krok od dołączenia do atomowego klubu.

O tym, że nie zdecydowała się na produkcję bomby, zdecydowała polityka. W 1962 roku szefem MSZ został Torsten Nilsson, który poprowadził Szwecję w kierunku aktywnej polityki neutralności. Jej twarzą został ostatecznie Olof Palme, wielki krytyk amerykańskiej interwencji w Wietnamie, choć potępił również sowiecką interwencję w Czechosłowacji. Gdy w 1968 roku kraj podpisał układ o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej, program atomowy zaczął być stopniowo wygaszany, rok później Palme zastąpił Erlandera na stanowisku premiera.

Ostateczne anulowanie programu w 1972 roku można tłumaczyć uzyskaniem silnych gwarancji bezpieczeństwa od USA, choć przecież w tej sprawie niewiele zmieniło się w porównaniu z poprzednimi latami, bo gwarancje były nieformalne. Szwedzi powrócili do starej, powojennej koncepcji strategii marginalnej. Zakładała ona, że kraj może się stać ofiarą wojny tylko w przypadku konfliktu dwóch wielkich bloków, a wówczas ZSRR skieruje do Skandynawii niewielką część swoich sił, których odparcie powinna umożliwić „obrona totalna” wsparta możliwie silną, nowoczesną armią. Tak czy inaczej, decyzja o zakończeniu programu była czy-sto polityczna – wbrew opiniom armii zdecydował o tym Palme.

ATOMOWY KLUB ROŚNIE

W 1964 roku Chiny jako ostatnie z państw stałych członków Rady Bezpieczeństwa ONZ stworzyło własną bombę atomową. Wielka piątka, czyli USA, ZSRR, Wielka Brytania, Francja i Chiny, zaczęła skutecznie torpedować nuklearne programy innych państw. Udało się je zrealizować jeszcze tylko pięciu krajom. W 1974 roku – Indiom, w 1979 – Izraelowi, w 1998 – Pakistanowi, w 2006 – Korei Północnej. W latach 80. kilka głowic zbudowała RPA, ale po zakończeniu apartheidu zlikwidowała swój arsenał jądrowy.

Próby dojścia do statusu mocarstwa atomowego trwają do dziś. Zależało na tym przede wszystkim państwom arabskim. Nuklearne instalacje w Iraku i Syrii zniszczyło izraelskie lotnictwo. Bardziej lub mniej zaawansowane programy prowadziły: Egipt, Libia i Algieria. W Ameryce Południowej Argentyna i Brazylia, a spośród państw szeroko rozumianego Zachodu: Kanada, Australia, Szwajcaria, Tajwan, Korea Południowa, również Hiszpania gen. Franco. W niektórych opracowaniach mowa też o atomowych planach: Norwegii, Włoch, Tajwanu, Jugosławii i Rumunii.

Dziś najgłośniejszy jest o programie irańskim i ambicjach Arabii Saudyjskiej, która ponoć automatycznie ma otrzymać bomby z Pakistanu, gdy tylko w ich posiadanie wejdzie Teheran. Ale do zbudowania własnego arsenału jądrowego praktycznie z dnia na dzień, łącznie z rozpoznaniem i środkami przenoszenia, zdolne są dwa państwa Dalekiego Wschodu – Japonia i Korea Południowa. Sytuacja tej ostatniej przypomina dylemat, przed jakim w czasie zimnej wojny stały RFN i Szwecja, a dzisiaj stoi Polska. W ub. roku prezydent Korei Południowej Yoon Suk Yeol powiedział na posiedzeniu rządu: „Możliwe, że nasz kraj rozmieści taktyczną broń nuklearną lub zbuduje ją na własną rękę. W takim przypadku możemy dość szybko mieć własną broń nuklearną, biorąc pod uwagę nasze możliwości naukowe i technologiczne”.

Po takich wypowiedziach Stany Zjednoczone natychmiast potwierdzają swoje gwarancje bezpieczeństwa dla sojusznika i organizują potężne ćwiczenia wojsk koreańskich i amerykańskich. ●

Korzystałem m.in. z: J. Krasuski, „Historia Niemiec”, „Historia RFN”, A. Kersten, „Historia Szwecji”, R.M. Czarny, „Ewolucja neutralności Szwecji w XX wieku”, opracowania internetowe, m.in. Ośrodka Studiów Wschodnich, „The Military Magazine”, „Polski Zbrojnej”, WNPiSM UW, „Kwartalnika Bellona”.



Projekt **WYBIERZMY NASZĄ EUROPE** współfinansowany jest przez Unię Europejską w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. PE nie uczestniczył w przygotowaniu materiałów; podane informacje nie są dla niego wiążące i nie ponosi on żadnej odpowiedzialności za informacje i stanowiska wyrażone w ramach projektu, za które zgodnie z mającymi zastosowanie przepisami odpowiedzialni są wyłącznie autorzy, osoby udzielające wywiadów, wydawcy lub nadawcy programu. Parlament Europejski nie może być również pociągany do odpowiedzialności za pośrednie lub bezpośrednie szkody mogące wynikać z realizacji projektu.

Wczoraj, czyli dziś

Mezalianse w kręgach władzy

7 grudnia 1550 roku na Wawelu koronowana została Barbara Radziwiłłówna, bohaterka najstynniejszego mezaliansu w polskiej historii. Prawie 300 lat później na koronę liczyła też Eliza Radziwiłłówna.

Maciejewska

Beata Maciejewska
– historyczka,
dziennikarka
„Gazety
Wyborczej”



Mezalianse, czyli małżeństwa nierówne, nieodpowiednie i niestosowne, zawsze wywoływały napięcia w rodzinach. Ale mezalianse na szczytach władzy trzęsły tronami i prowokowały poddanych do niezdrowego zainteresowania królewskimi łożnicami. A właściwie wciąż prowokują. Wystarczy przypomnieć początki miłości księżniczki Wiktorii Bernadotte, następczyni tronu Szwecji, i Daniela Westlinga, właściciela siłowni w Sztokholmie. Królowa i trener fitness? „Tak być nie może” – orzekła opinia publiczna oraz król Karol XVI Gustaw, ale księżniczce udało się pokonać wszystkie trudności. Od momentu opublikowania pierwszego zdjęcia księżniczki całującej potomka chłopów do dnia ich prawdziwie królewskiego ślubu w 2010 r. upłynęło aż osiem lat. Ale Daniel Westling tak dobrze przygotował się do nowej roli, że dzisiaj tworzy z Wiktorią parę idealną i jest bohaterem gazetowych opowieści o żabie przemienionej w księżkę. Szczęśliwe zakończenia mezalianców nie są niczym nadzwyczajnym, związek Zygmunta Augusta i Barbary Radziwiłłówny też w zasadzie mieści się w tej kategorii. Król nie tylko ożenił się ze swoją poddanką, ale doprowadził do jej koronacji. A to się często nie zdarzało, bo Kopciuszkom proponowano zazwyczaj małżeństwo morganatyczne, bez awansu społecznego.

Wybranki władców (męska wersja Kopciuszka to rzadkość, ale występuje w naturze, patrz: druga żona Napoleona, cesarzowa Maria Luiza i jej marszałek dworu, mąż numer trzy) musiały się zadowolić miłością, co na dłuższą metę bywało mało satysfakcjonujące. Potomstwo z takiego związku nie miało praw do tytułów, funkcji i dóbr dziedziczonych w rodzinie małżonka wyższego stanu. Barbara Radziwiłłówna dostała koronę, a jej potomstwo mogłoby przedłużyć dynastię Jagiellonów; kres szczęściu żony Zygmunta Augusta położyła śmiertelna choroba, a nie rozwścieczona teściowa, prymas lub senatorowie. Zyskała jednak wielką sławę, zawładnęła wyobraźnią malarzy – uwiecznili ją na płótnie Matejko, Gerson i Simmler – literatów i filmowców, pogrążając przy okazji niewinną królową Bonę, która została wskazana jako trucielielka zarówno w sztuce Alojzego Felińskiego z 1811 r., jak i w filmie Józefa Lejtesa z 1936 r. Po śmierci wygrała. Jej drogą miała pójść Eliza Radziwiłłówna, córka księcia Antoniego Radziwiłła, namiestnika Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Równie piękna jak Barbara, ale bez tzw. przeszłości. Żadnych kochanków ani mężów, znakomita opinia, staranne wychowanie i wspaniałe pochodzenie, bo jej matką była księżniczka pruska Luiza, wnuczka króla Fryderyka Wilhelma I i bratanica Fryderyka Wielkiego. Okazało się jednak, że pochodzenie nie jest wystarczająco dobre, by mógł ją poprowadzić do ołtarza książę Wilhelm, syn króla Fryderyka Wilhelma III. Młodzi spotykali się w Berlinie i na Dolnym Śląsku, bo letni pałac Radziwiłłów znajdował się w Ciszycy, a rezydencja królewska w sąsiednich Myślakowicach. W pięknych okoliczno-

ściach karkonoskiej przyrody uczucie rozkwitało, a wieść o przyszłym małżeństwie tak się szeroko rozniosła, że zaczęli się już zgłaszać kandydaci na służbę u młodej pary. Przeszkody jednak rosły, część rodziny i pruskich polityków stanowczo sprzeciwiała się takiemu mariażowi. Wilhelm był wprawdzie drugi w kolejce do tronu, ale starszy brat cierpiał na zaburzenia psychiczne – określane mianem „zmiękczenia mózgu” – i nie miał potomstwa. Na Wilhelma przeszedł więc obowiązek przedłużenia dynastii i małżeństwo morganatyczne w grę nie wchodziło. Na pole bitwy o miłość wkroczyli prawnicy, którzy przygotowali kilkadziesiąt opinii za i przeciw. Ba, pojawiły się nawet tak upokarzające dla Radziwiłłów pomysły jak adopcja Elizy przez cara Rosji, co by nic nie dało, bo o równości rodowej decydowała krew, a nie nazwisko. Radziwiłłowie wynajęli Karla Friedricha Eichhorna, który był jednym z głównych autorytetów w dziedzinie niemieckiego prawa konstytucyjnego i miał udowodnić równość (Ebenbürtigkeit) rodu Radziwiłłów z suwerennymi książętami Rzeszy. Powoływali się na casus Barbary Radziwiłłówny koronowanej na królową Polski i przypominali Hohenzollernom, że Ludwika Karolina Radziwiłłówna była margabiną brandenburską oraz księżną neuburską. Z kolei przeciwnicy małżeństwa dowodzili, że już Luiza Pruska popeliła mezalians i wychodząc za Radziwiłła, musiała zrzec się praw do tronu i dziedziczenia dla swych potomków, a więc również dla Elizy. Sam Wilhelm przypuszczał, że powodem braku zgody króla na małżeństwo była nielojalność niektórych członków rodu Radziwiłłów wobec Prus. Książę Antoni opowiadał się za

odbudową państwa polskiego (pod ewentualnym przewodnictwem Prus), jego brat Michał zaś walczył w polskim powstaniu pod wodzą Józefa Poniałowskiego oraz Tadeusza Kościuszki, a później wstąpił do armii Napoleona, więc skazy były. I Wilhelm przestał walczyć o małżeństwo. Gdy w czerwcu 1826 roku król Fryderyk Wilhelm III zakazał listownie swojemu synowi małżeństwa z Radziwiłłówną, książę napisał do ukochanej i jej matki: „Węzeł miłości między mną i Elizą jest rozwiązany – niech pozostanie mi jej przyjaźń – aż do śmierci!”. Książę Radziwiłł był głęboko urażony pohańbieniem swojego prastarego rodu przez młodszą pruską arystokrację i wieloletnim trzymaniem jego córki w niepewności. Eliza miała już 23 lata, wszystkie przyjaciółki wyszły za mąż, a jej pozostała sława anioła z przetrąconymi skrzydłami. Zmarła na gruźlicę w panieńskim stanie osiem lat później. Wilhelm ożenił się z Augustą, księżniczką von Sachsen-Weimar, którą traktował okropnie (siostrze napisał, że człowiek może się w życiu zakochać tylko raz), dawał do zrozumienia, że wziął, bo musiał, i do końca życia trzymał na biurku fotografię Elizy. Bauer Oswald na kanwie tego romansu napisał powieść „Engel von Ruhberg” („Anioł z Ciszycy”) sfilmowaną w 1938 roku pod tytułem „Preussische Liebesgeschichte” („Pruska historia miłosna”) z Lidą Baarovą, prywatnie kochanką ministra propagandy III Rzeszy Josepha Goebbelsa, jako Elizę. Kilka miesięcy później wybuchła jednak wojna i film zniknął w archiwum. W niemieckich kinach można go było zobaczyć dopiero w 1950 roku; jest obecnie dostępny na YouTube. Ten mezalians okazał się wyjątkowo nieopłacalny. ●

Nagroda Moczarskiego dla Grzegorza Motyki

– Od historii wiele osób chętnie odwraca wzrok, natomiast im bardziej nie wyciągamy z niej wniosków i im słabiej ją znamy, tym chętniej ona do nas powraca – powiedział autor książki „Akcja »Wisła« ’47. Komunistyczna czystka etniczna”. W niedzielę w Bibliotece Narodowej w Warszawie po raz 16. została przyznana Nagroda Historyczna m.st. Warszawy im. Kazimierza Moczarskiego dla najlepszej książki dotyczącej historii Polski po 1918 r. Jej laureatem został Grzegorz Motyka za książkę „Akcja »Wisła« ’47. Komunistyczna czystka etniczna”. – Grzegorz Motyka podważa rozpowszechniany przez dziesięciolecia pogląd, że akcja „Wisła”



• Prof. Grzegorz Motyka, laureat 16. edycji Nagrody Historycznej m.st. Warszawy im. Kazimierza Moczarskiego

FOT. DAWID ŻUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

była koniecznością strategiczną – miała odciąć zaplecze nadal groźnej partyzantki – mówił w laudacji prof. Andrzej Friszke, przewodniczący jury. – Dowodzi, że celem była czystka, pozbycie się ludności ukraińskiej z terenów, gdzie zamieszkiwali przez setki lat, postawiono cel ich rozproszenia w drobnych grupach na wielkim obszarze Ziemi Zachodnich i stopniowej polonizacji. Prof. Friszke powiedział, że książka jest napisana „skrupulatnie, zarazem z wielką kulturą opisu i z zaakcentowaną oceną moralną”. A autor wiele uwagi poświęcił zwykłym ludziom „zaplątanym w wielki konflikt i płacącym ogromną cenę utraty swej małej ojczyzny, dobytku, wolności, nieraz zdrowia i życia”. Zwycięzca otrzy-

mał statuetkę – replikę temperówki patrona nagrody – oraz 50 tys. zł. Grzegorz Motyka jest historykiem i politologiem związanym z Instytutem Studiów Politycznych PAN, dyrektorem Wojskowego Biura Historycznego i członkiem Kolegium IPN wybranym przez Senat RP. Zajmuje się problematyką stosunków polsko-ukraińskich po 1939 r. oraz kwestią antykomunistycznego oporu w Europie Środkowej po 1944 r. Ponadto Olówek, nagrodę przyznaną przez uczniów szkół ponadpodstawowych z Młodzieżowych Klubów Historycznych im. Kazimierza Moczarskiego, otrzymała Kalina Błazejowska, autorka książki „Bezdušní. Zapomniana zagłada chorych”. ● Igor Rakowski-Kłós

Wojna zimowa

A SPRAWA POLSKA



85 lat temu Armia Czerwona napadła na Finlandię. Fiński historyk Kimmo Rentola twierdzi, że niekorzystny dla Sowietów przebieg wojny wpłynął na decyzję Stalina o wymordowaniu polskich oficerów w Katyniu.

Piotr Głuchowski

W

W słynnym tajnym protokole do zawartego w sierpniu 1939 roku paktu Ribbentrop-Mołotow III Rzesza i Związek Sowiecki umieściły Finlandię – razem z państwami bałtyckimi i wschodnimi połaciami Polski – w strefie wpływów Moskwy.

Po upadku II Rzeczypospolitej i wejściu Armii Czerwonej na terytorium Litwy, Łotwy i Estonii Stalin przekazał Finom ultimatum. Jeżeli chcą uniknąć podobnej okupacji, muszą przekazać Sowietom m.in. bazę wojskową na południowym krańcu państwa – półwyspie Hanko, a także sąsiadujący z obwodem leningradzkim fragment Przesmyku Karelskiego pomiędzy Zatoką Fińską i jeziorem Ładoga.

Jako że teren ten był główną rubieżą obronną Finlandii (biegła tędy linia umocnień autorstwa przewodniczącego Rady Obrony Państwa marszałka Carla Mannerheima), spełnienie sowieckich żądań równało się w praktyce rozbrojeniu kraju.

Finowie odmówili.

PRZYWIEZIEMY WAM RZĄD

W efekcie 26 listopada 1939 roku sowiecka artyleria ostrzelała własną miejscowość – położoną przy fińskiej granicy Mainilę. A następnie rząd w Moskwie oskarżył o to Finów, zarzucając im zerwanie zawartego siedem lat wcześniej paktu o nieagresji. Cztery dni po tej prowokacji Armia Czerwona ruszyła do ataku bez wypowiedzania wojny. Specjalna operacja polityczno-wojskowa miała trwać kilka tygodni. Już 1 grudnia w zajętej przez Sowietów pogranicznej miejscowości Terijoki zainstalowano nowy rząd, na którego czele stanął sekretarz Międzynarodówki Komunistycznej Ville Kuusinen.

Było to powtórzenie operacji z 1920 roku, gdy atakujący Warszawę Sowietci na plebani w Wyszkowie zainstalowali przysłany ze Smoleńska Tymczasowy Komitet Rewolucyjny Polski pod wodzą Juliana Marchlewskiego. Miał objąć władzę, gdy tylko stolica zostanie zdobyta. Bitwę Warszawską wygrali jednak Polacy.

W Finlandii zanosilo się na to, że zdrajcy z Terijoki ją przejmą. Zimą 1939-40 Sowietci dysponowali na odcinku fińskim blisko milionem żołnierzy, których wspierało 6 tys. czołgów i wozów bojowych oraz przeszło tysiąc samolotów, które od razu zaczęły bombardować Lahti, Tampere i Helsinki. Finowie mieli jedynie 300 tys. żołnierzy, 80 czołgów i 160 maszyn latających.

Jak pisze w książce „Finlandia kontra Stalin” historyk Kimmo Rentola: „Mocarstwo napadło małego sąsiada w sposób przypominający działania nazistów w Polsce”, gdyż lotnictwo robotniczo-chłopskiej Armii Czerwonej „bombardowało cele cywilne, w tym domy robotników”.

„Na szali nie leżały już zatem korekty graniczne, ale przetrwanie kraju”, w związku z tym rząd w Helsinkach zgodził się

pójść na ustępstwa. Związek Sowiecki „odrzucał propozycję rozmów, oświadczając, że... nie jest w stanie wojny z Finlandią. Wręcz przeciwnie, wszystkie kwestie dotyczące przyszości kraju zostały już uzgodnione z rządem Kuusineną”.

ŚNIEG, BIAŁA ŚMIERĆ I KOKTAJLE

Wśród tych kwestii znalazła się konieczność pochwylenia i ukarania nastawionych antysowiecko Finów, dla których ludowy komisarz spraw wewnętrznych Ławrientij Beria szykował już miejsca w obozach. Czerwona ofensywa utknęła jednak na Linii Mannerheima. Lepiej poszło agresorom na północ od Ładogi, gdzie obrońcy niemal poszli w rozsypkę, lecz i tutaj nie udało im się osiągnąć zamierzonych celów – w tym przecięcia Finlandii na pół szybkim marszem.

Druga część grudnia oraz styczeń i luty upłynęły wśród morderczych walk pozycyjnych w temperaturach spadających poniżej minus 40 stopni. W tych warunkach walczący w znanej sobie okolicy fińscy żołnierze działali sprawniej od poborowych sowieckich, spędzonych głównie z południowych republik, co było podyktowane obawą Stalina, że wojsko z terenów sąsiadujących z Finlandią może zmienić front.

Kolejnymi atutami Finów były: umiejętność niszczenia czołgów z pomocą niewielkich, szwedzkich armatek przeciwpancernych Bofors oraz butelek z benzyną, które pierwsi nazwali koktajlem Mołotowa; znajomość terenu, obycie ze śniegiem (oddziały narciarzy) i obecność w armii zawodowych myśliwych – strzelców wyborowych zwanych białą śmiercią, spośród których tylko jeden, kapral Simo Häyhä, zaliczył ponad 700 śmiertelnych trafień wroga.

NA POMOC FINOM

Dzięki takim jak Häyhä rząd w Helsinkach wciąż trwał i nerwowo prosił o pomoc w zachodnich stolicach. „Londyn i Paryż zaczęły nawet rozważać wspólne działania zbrojne przeciw Związkowi Sowieckiemu” – pisze Rentola. Możemy sobie jedynie wyobrazić, jak potoczyłaby się historia, gdyby w 1940 roku z powodu Finlandii Zachód znalazł się w stanie wojny nie tylko z III Rzeszą, ale i z Sowietami...

Ostatecznie jednak Francuzi i Anglicy ograniczyli się do wsparcia Finów bronią, amunicją, zimowymi kombinezonami, plecakami górskimi, wreszcie oficerami wojsk inżynieryjnych i ekspertami od obrony fortyfikacji. A także samolotami – wysłano ich kilkaset z Francji, Wielkiej Brytanii i USA. Wiedząc o tym, ludowy komisarz spraw zagranicznych Władysław Mołotow przekonał Stalina, że

„istnieje wielkie ryzyko obcej interwencji”, w związku z czym Armia Czerwona powinna jak najszybciej „wyjść z niebezpiecznej strefy”. Tym bardziej że we Francji formują się dwie dywizje „wygnanych Polaków”, którzy mieliby walczyć po stronie Helsinek.

To ostatnie było prawdą – plan wykorzystania polskich sił zbrojnych na uchodźstwie do walki w Finlandii faktycznie był rozważany przez Paryż, Londyn i władze na emigracji.

POLAKÓW WYMORDOWAĆ

Rentola: „W tej atmosferze paniki, zagrożenia i kompromitacji Stalin popełnił zbrodnię ogromną nawet jak na jego standardy. Rozkazał wymordować polskich oficerów, gdyż, jak mówił ludowy komisarz spraw wewnętrznych Ławrientij Beria, każdy z nich czeka na wolność, by mieć okazję czynnie wystąpić do walki z władzą sowiecką (...). Wobec niebezpieczeństwa zachodniej interwencji w wojnie fińskiej to stwierdzenie (...) było wyrazem prawdziwego niepokoju, gdyż Stalin z pewnością miał w pamięci precedens z czasów wojny domowej w Rosji, gdy zwolnieni z niewoli jeńcy czechosłowaccy sformowali legion i przez pewien czas stanowili śmiertelne zagrożenie dla bolszewików”.

Wojna zimowa – pisze fiński historyk – „nie została wspomniana w decyzji sowieckiego kierownictwa o wymordowaniu polskich oficerów, mimo to wielokrotnie mówiono [w biurze politycznym partii] o potrzebie zwiększenia pojemności obozów dla przyszłych jeńców fińskich. Był to jeden z czynników, który wpłynął na potraktowanie Polaków przez Stalina. Tuż przed podjęciem decyzji o ich straceniu wódz musiał zrezygnować z myśli o wymordowaniu podobnej grupy Finów”.

Dlaczego?

„Decyzja katyńska” została podjęta w Moskwie 5 marca 1940. Do tego czasu Sowietci mieli już w Finlandii ponad 120 tys. zabitych



▲ Słynny fiński snajper Simo Häyhä, zwany Białą Śmiercią, bo podczas walki zawsze był ubrany na biało. Zaliczono mu ponad 700 śmiertelnych trafień

FOT. FINNISH MILITARY ARCHIVES

◀ Fińscy żołnierze obsługują karabin maszynowy na froncie wojny zimowej

FOT. MILITARY MUSEUM OF FINLAND / WIKIPEDIA

(Finowie – cztery razy mniej), stracili też większość samolotów i czołgów. Jak pisze w poświęconej II wojnie światowej książce „Głupota czy agresja?” rosyjski historyk Mark Solonin: „w obliczu strat wojennych, narastającej groźby interwencji brytyjsko-francuskiej, a także żywionej przez Stalina obawy, że dojdzie do odwrócenia przymierzy i dołączenia Niemiec do ewentualnej koalicji antyradzieckiej, władze ZSRR zdecydowały się na zakończenie konfliktu fińskiego”.

BEZLUDNA ZDOBYCZ

Sowiecko-fiński traktat pokojowy podpisa-no w Moskwie 12 marca 1940. Wschodnie regiony Finlandii (na północy Salla, na południu Karelia z miastem Wybörg, po fińsku Viipuri) zostały wcielone do ZSRS – podobnie jak niewielkie wyspy w Zatoce Fińskiej i półwysep Hanko. Co znaczą-ce – rząd w Helsinkach przed oddaniem gruntów ewakuował z nich wszystkich mieszkańców, ponad 400 tys. osób, aby nie cierpieli w „ojczyźnie proletariatu”.

Stalin i Beria otrzymali więc bezludną ziemię i trzeba było zawrócić wysłane już do Wybörga jednostki NKWD, które miały siłą przerobić pokonanych mieszkańców Karelii na ludzi sowieckich. Komisarz Mołotow napisał potem we wspomnieniach, że dobrze się stało, ponieważ „bardzo, bardzo uparci Finowie” mogliby zostać „nigdy nieogojącą się raną w sowieckim ciele”.

O jeszcze innym dalekosiężnym skutku wojny zimowej pisze szwedzki badacz dziejów Finlandii Krister Wahlbäck: „Bez tej wojny i bez zachodnich planów pomocy Finom Niemcy nie przeprowadziłyby zaskakującego ataku na Danię i Norwegię, a bez pięciu lat walki Norwegów i Duńczyków ramię w ramię z aliantami kraje te nie starałyby się o pomoc Zachodu po wojnie, co zapoczątkowało proces tworzenia NATO”. Patrząc z dzisiejszej perspektywy, Moskwa – jak to ujmuje Wahlbäck – „zapłaciła bardzo wysoką cenę za Wybörg i Karelię”.

BĘDZIEMY WALCZYĆ 50 LAT

Skutkiem wojny zimowej był współdział Finlandii w niemieckim najeździe na Sowie-ty rozpoczętym 22 czerwca 1941. Moskwa ułatwiła Finom decyzję, bo już 25 czerwca

jej lotnictwo zbombardowało kilka miast i lotnisk w formalnie neutralnym kraju, z którym półtora roku wcześniej Stalin zawarł pokój. Do końca sierpnia w ramach wojny kontynuacyjnej 18 fińskich dywizji odzyskało Karelię z Wybörgiem, dochodząc nawet dalej w głąb ZSRS – do jeziora Onega i rzeki Świr, gdzie front się ustabilizował aż do sowieckiej operacji wyborsko-pietroza-wodzkiej w czerwcu 1944.

Pół roku wcześniej – w styczniu – wojska Stalina przełamały blokadę Leningradu i dotarły do granicy Estonii. W Helsinkach znowu zrobiło się nerwowo. Jak pisze Kimmo Rentola: „żołnierze fińscy przebywający na urlopach uważali klęskę sojusznicznych Niemiec za nieuniknioną”, a „starszy urzę-dnik fabryki papieru w Kaukas przewidywał, że teraz Rosjanie zajmą całą Finlandię”.

Władze nie zamierzały się jednak pod-dawać. Byli i przyszły premier Juho Paasi-kivi powiedział odwiedzającemu Helsinki amerykańskiemu dziennikarzowi:

„Będziemy strzelać do Rosjan zza każdej skały i każdego drzewa, będziemy walczyć 50 lat. Nie jesteśmy Czechami ani Holendrami”.

Równolegle fińscy politycy podejmowali próby urobienia Sowietów. Szef socjalde-mokratów Väinö Tanner za pośrednictwem szwedzkiego wydawcy-lewicowca Rickarda Lindströma przekazał Moskwie propo-zycję: jeżeli pozwolicie nam zachować Wy-börg i biegnący opodal Kanał Saimański, który łączy sieć fińskich jezior z Bałtykiem, jesteśmy gotowi uderzyć na sojusznicznych Niemców. Mołotow odrzucił ofertę, od-pisując Szwedowi: „Żadnych kontaktów z rządem fińskim nie będzie”.

SZKODA CZASU NA FINÓW

Jednocześnie – w związku z postępami czerwcowej ofensywy wyborsko-pietroza-wodzkiej i ponownym zajęciem Wybörga – Sowietci sformułowali warunki kapitulacji Finów. Były ciężkie: Armia Czerwona miała zająć część kraju, w tym wszystkie porty, a armia fińska – zdać broń. Poza tym Hel-sinki winny oddać rezerwy złota i wszyst-kie waluty zdeponowane w bankach. A do tego zapłacić reparacje wysokości 600-800 mln dol. w produktach przemysłu leśnego. W tej sytuacji prezydent Risto Ryti zapewnił Führera, że Helsinki pozostaną sojusznikiem III Rzeszy.

Rentola: „Najpewniej decyzję o tym podjął marszałek Mannerheim. Kwestii nie skonsultowano z parlamentem, nie udzielono także odpowiedzi na sowieckie wezwanie do kapitulacji. Finlandia miała więc dalej prowadzić desperacką walkę po stronie Niemiec”.

I nie szło jej wcale źle: zaciekle opór fińskiej piechoty zatrzymał sowiecką ofen-sywę tuż za Wybörgiem. Pod karelskim miasteczkiem Illomantsi Finowie kom-pletnie zniszczyli dwie sowieckie dywizje. O północy 11 lipca 1944 roku Stalin wydał wojskom na przesmyku rozkaz zaprze-stania bezskutecznych ataków i przejścia do obrony. Ważniejsze było natarcie na zachód przez wschodnie województwa Pol-ski, ponieważ alianci wylądowali we Fran-cji i zaczął się wyścig do Berlina. Helsinki leżały na uboczu i szkoda było marnować na nie siły. Sowiecka ambasador w Szwecji Aleksandra Kollontaj dostała z Moskwy prikaz, by nawiązać kontakt z Finami i wy-sondować rządzących krajem w sprawie zawarcia pokoju – nie kapitulacji.

Jego warunki były jednak niezmien-nie surowe.

Finlandia mogła zachować „rozsądną liczbę żołnierzy”, ale Armia Czerwona mia-ła zająć Helsinki, Wyspy Alandzkie i kilka mniejszych miast. Do tego Moskwa chciała baz wojskowych nie tylko na półwyspie Hanko, ale i w czterech innych miejscach. Finowie mieli zburzyć Linie Mannerheima, zatrzymać produkcję wojenną, wypuścić z więzień komunistycznych dywersantów oraz oddać w sowieckie ręce „zbrodniarzy wojennych”, czyli swych generałów i mini-strów „odpowiedzialnych za wojnę z ZSRS”. Listę nazwisk sporządziła NKWD.

FINLANDIA ZMIENIA FRONT

Stalin nie zamierzał jednak zwasalizować Finlandii w taki sposób jak Polski. Rentola tłumaczy dlaczego: aresztowanie przez NKWD latem 1944 roku oficerów AK w Wil-nie i Lwowie, a później wstrzymanie ofensy-wy, gdy Niemcy rozprawiali się z powstaniem warszawskim, zostały źle przyjęte w Lon-dynie i Waszyngtonie. Ambasador USA w Moskwie Averell Harriman stwierdził, że rząd sowiecki „stał się światowym łobuzem (...)”. Wobec takiego ochłodzenia Stalin musiał okazać umiar i pójść na ustępstwa w jakiejś innej kwestii. Finlandia nadawała się do tego doskonale, [ponieważ] odmowa udzielenia pomocy polskim powstańcom z Warszawy przy jednoczesnym uderzeniu na Helsinki przyniosłaby dalsze osłabienie międzyna-rodowej pozycji ZSRS”. Innymi słowy: „po-nieważ sprawa Polski wymagała od Stalina twardego podejścia, nie było potrzeby czynić z Finlandii drugiego punktu spornego”.

Finowie wykorzystali sytuację. W sierp-niu 1944 zmienili rząd i prezydenta – miej-sce proniemieckiego Rytiego zajął budzący respekt Moskali były carski generał, a podczas wojny zimowej naczelny dowód-ca sił obrony Finlandii, marszałek polny Carl Mannerheim. Ten w drugim tygodniu urzędowania zerwał sojusz z Niemcami i wysłał do Moskwy delegację pod prze-wodem nowego premiera Antti Hackzella. Finlandia zmieniła front.

DRAKOŃSKIE WARUNKI POKOJU

Delegaci czekali na audiencję tydzień, w tym czasie fiński premier przeszedł z nerwów udar, po którym już nigdy nie odzyskał zdrowia. Wreszcie 14 września o godz. 23 rozpoczęto rozmowy. Sowiety reprezentował Mołotow, Wielką Brytanię – ambasador w Moskwie, chorego Hackzella zastępował fiński minister obrony, gen. Rudolf Walden, a potem szef dyplomacji Carl Enckell.

Obaj nie kryli przerażenia, gdy usłyszeli, że Stalin życzy sobie całego północnego krańca Finlandii z dostępem do Oceanu

Arktycznego, a także Karelii z Wybörgiem i Salli z głównym miastem o tej samej nazwie, do tego jeszcze ryssä (fiński odpo-wiednik pogardliwego określenia „kacap”) chcieli założyć bazę wojskową w Porkkali pod Helsinkami i życzyli sobie dzierżawy biegnącego tamtędy fragmentu linii kole-jowej, która łączyła stolicę z największymi miastami – Turku, Vaasa i Oulu – a dalej ze Szwecją.

„Dla Finów żądanie utworzenia tej bazy było takim szokiem, że nie zwrócili większej uwagi na zmniejszenie reparacji o połowę” – pisze Kimmo Rentola. Mimo wszystko 19 września parlament w Helsin-kach ratyfikował preliminaria pokojowe. Układ podpisano w Moskwie jeszcze tego samego dnia. Mieszkańcy „oddanych” terenów od razu zaczęli uciekać. Zanim Sowietci weszli do Karelii i Salli, wyjechało stamtąd przeszło milion osób.

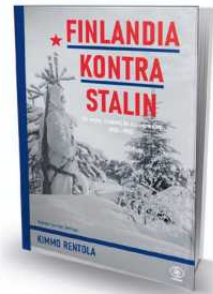
Rentola: „Fakt, że Finlandia przetrwała bez przewrotu polityczno-społecznego, a nawet bez wojsk okupacyjnych, wyni-ka z trzech czynników. Pierwszym była geografia. Z punktu widzenia Moskwy kraj leżał na uboczu. Gdyby Stalin musiał kierować przezeń czołgi na Berlin, zrobiłby to. Drugim czynnikiem był czas. Dla Sowie-tów ważniejsze było zachodnie natarcie we Francji i zaogniona sytuacja w Polsce. Trze-cim czynnikiem był skumulowany wpływ wywierany przez [fiński] naród, żołnierzy i wojnę zimową (...), której pamięć była wciąż żywa w umyśle Stalina”.

SPRZEDAMY WAM KARELIĘ

Finlandia uniknęła losu kolejnego baraku w obozie państw socjalistycznych. Stała się, tak jak Austria i Szwecją, neutralnym krajem buforowym pomiędzy NATO a Układem Warszawskim. Jego rządy utrzymywały przyjazne relacje z następca-mi Stalina. Gdy Związek Sowiecki upadł, Kreml „w geście dobrej woli” zapropono-wał nawet Finom odsprzedać ziem, które anektował po wojnach zimowej i konty-nuacyjnej. Jak pisał w „Rzeczpospolitej” Andrzej Łomanowski, propozycję miał złożyć w 1992 roku Giennadij Burbulis, pra-wa ręka prezydenta Rosji Borysa Jelcyna. Stojąca na krawędzi bankructwa Moskwa pilnie potrzebowała pieniędzy, w związku z czym teren wyceniono na 15 mld dol. Dla porównania, sprzedana przez cara w 1867 roku Alaska kosztowała Ameryka-nów tylko 7 mln XIX-wiecznych dolarów, czyli równowartość obecnych 140 mln.

Finowie przeanalizowali propozycję. Po-wołana przez prezydenta Mauna Koivista tajna grupa ekspertów zebrała się w bazie wojskowej na wyspie Santahamina. Doszli do wniosku, że państwo stać na wydanie 15 mld, ale nie stać na kolejne 70 mld na odbudowę tamtejszej infrastruktury, którą sowiecka władza doprowadziła do ruiny podobnie jak resztę kraju.

Karelia – uważana za kolebkę narodu fińskiego – pozostała autonomiczną re-publiką Federacji Rosyjskiej. Urokliwy niegdyś Wybörg (Viipuri) został włączony do Rosji i stał się jednym z wielu blokowisk w obwodzie leningradzkim. ●



Finlandia kontra Stalin

Kimmo Rentola
Tłum. Jan Szkudliński
Dom Wydawniczy Rebis



Pewien człowiek, swego czasu bardzo bogaty, popadł w biedę. Taki los spotkać go miał, dlatego że drwił z pobożności i bogobojności innych, między innymi swego sąsiada, Mikołaja. Bóg pokarał więc owego człowieka, a ten, pozbawiony wszelkich środków, zdesperowany postanowił sprzedać swe córki do domu publicznego.

Wtedy jednak sąsiad, właśnie Mikołaj, postanowił pomóc nieszczęśnikowi i w sekrecie, w nocy podrzucił mu sakiewkę pełną pieniędzy. Uradowany sąsiad mógł dzięki temu uposażyć najstarszą córkę i wydać ją za męża. Innej nocy Mikołaj podrzucił kolejną sakiewkę, z której zawartości ojciec uskładał posag dla kolejnej córki. Wreszcie mieszczanin postanowił dowiedzieć się, kto jest jego wybawcą i poczekał na tajemniczego doręczyciela. Kiedy przekonał się, komu zawdzięcza wsparcie, zawstydził się, przeprosił Mikołaja i zmienił swe życie, które odtąd wiódł zgodnie z przykazaniami.

Taką opowieść o Świętym Mikołaju przytacza archimandryta Michał, w spisany w połowie IX wieku życiorysie „Vita per Micheaelem”. Dziś historycy zgadzają się raczej co do tego, że opowieści o Świętym Mikołaju, jak i on sam to legendy, powstałe specjalnie na potrzeby wiernych, wśród których bardzo popularny był kult tego Świętego. Ale właśnie ten zwyczaj obdarowywania innych prezentami w sekrecie przetrwał do dziś jako mikołajki.

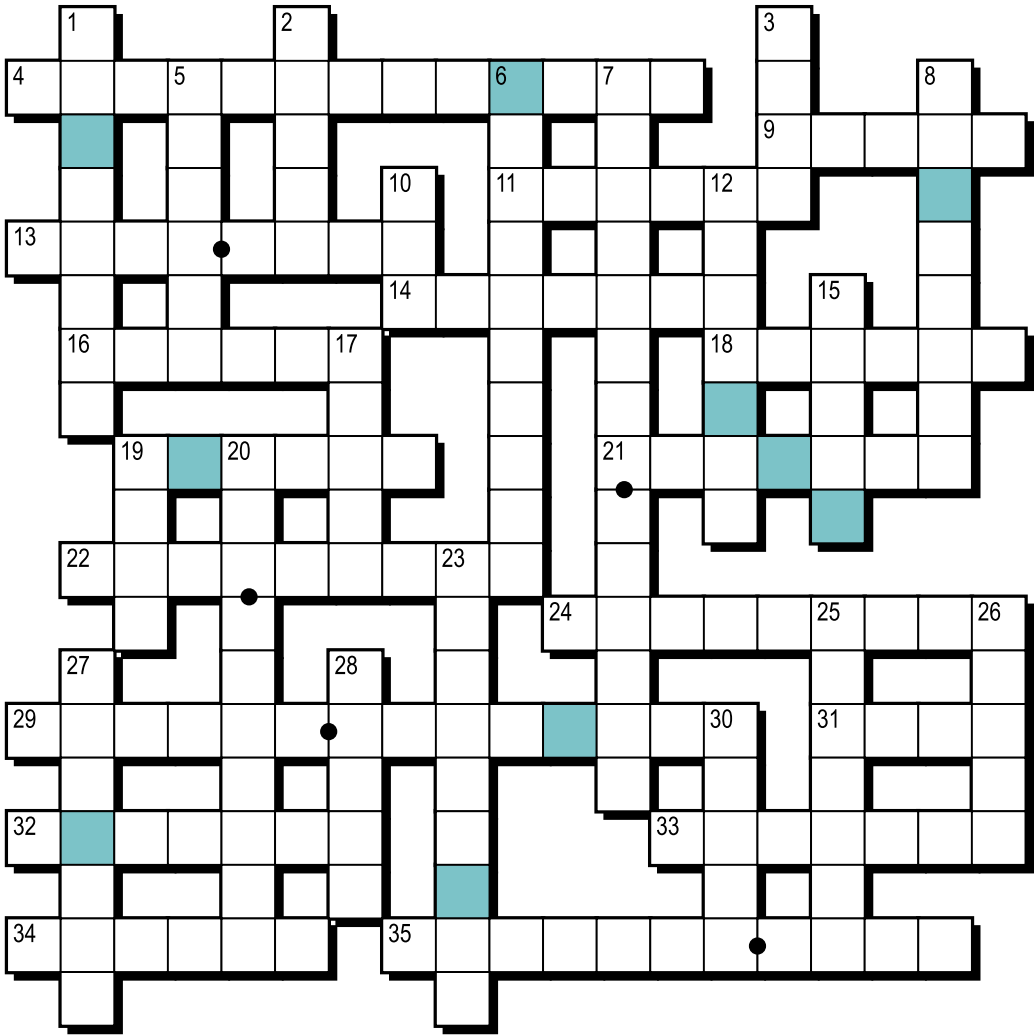
Swego czasu właśnie 6 grudnia obchodzono święto Mikołaja (w Konstantynopolu), który miał być dobry i szczodry szczególnie dla dzieci. Dzień wybrano oczywiście nieprzypadkowo, bowiem wg podań właśnie 6 grudnia, w 345 bądź 352 roku, Mikołaj zmarł. Wystawiano tego dnia dramaty opowiadające o żywocie Świętego, obdarowywano się podarkami, ten dzień uważany był jako przygotowanie do celebracji Świąt Bożego Narodzenia.

Długo też dzień Świętego Mikołaja był w Polsce wolny od pracy, zmieniło się to w XIX wieku. Później, w 1969 roku papież Paweł VI święto owe zniósł, ustanawiając je tzw. wspomnieniem dowolnym – w odróżnieniu od wspomnienia liturgicznego obowiązkowego.

Obowiązkowe jednak pozostało wręczanie tego dnia najmłodszym upominków, które dzieci znajdują pod poduszkami. Jeśli ktoś był grzeczny, wtedy Mikołaj obdarowuje go wymarzoną prezentem, ale ci, którzy sprawowali się nieco gorzej, dostają różgi bądź kawałeczki węgla.

Ja już prezentów pod poduszką niestety nie znajduję, teraz sam przejąłem mikołajowe obowiązki, ale tym niemniej wszystkim Państwu, i każdemu z osobna życzę, byście możliwie jak najdłużej prezenty znajdowali ale też i pokładali je najmłodszym. Przecież dobrze wiecie, jaka to frajda!

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie
„Weekendówki”
nr 131 z 30.11:

Poziomo: 5) Nagasaki, 8) azalie, 10) Okinawa, 12) Riukiu, 13) bonza, 14) karateka, 16) literatura, 20) Pokemony, 25) aikido, 26) Hirohito, 28) Edo, 29) marka, 30) wulkan, 32) rakietka, 34) bramy, 25) wojna, 37) Yoko, Ono, 38) trzęsienia, 40) koto, 41) Alphaville.

Pionowo: 1) pagoda, 2) kamikaze, 3) madame, 4) Vitara, 6) kabuki, 7) herbata, 9) anime, 11) Azja, 14) kappa, 15) King, 17) Toyota, 18) rekin, 19) rycerze, 21) kakuro, 22) Midway, 23) biel, 24) Hokkaido, 27) osakijka, 29) Minolta, 30) wiśnie, 31) Kurosawa, 32) ryby, 33) święto, 36) Hotel, 39) Ito.

HASŁO:
SAKE I WALKI SUMO

MIKOŁAJKI

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, tworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 4)** Mikołaj, bohater cyklu powieści Emila Zegadłowicza
9) z zabawkami, chętnie odwiedzany przez Świętego Mikołaja?
11) jeden z kolegów Mikołajka z książeczek duetu Goscinnny/Sempé (gruby i ciągle je)
13) australijski piosenkarz, nagrał płyty „Murder Ballads”, „Wild God”
14) ... Mikołajskie, jeden z akwenów, nad którymi leżą Mikołajki
16) był nim Mikołaj Wierzynek, krakowianin, który wyprawił słynną ucztę dla króla Kazimierza Wielkiego i jego znamienitych gości

- 18)** Laskowik jako Święty Mikołaj i ... jako diabeł, w świątecznej szopce kabaretu Tey
19) region z Mikołajkami
21) Nicolas, prezydent Francji w latach 2007–12
22) „Mikołaja Doświadczyńskiego ...”, powieść pisarza z określenia 1 pionowo
24) wieś kojarzona z postacią z określenia 10 pionowo
29) Mikołaj, rosyjski kompozytor (opera „Bajka o carze Saftanie”)
31) mali pomocnicy Świętego Mikołaja
32) idealne do zapakowania niespodzianki pod choinkę
33) od Świętego Mikołaja dla grzecznego dziecka
34) częste w sklepach podczas przedświątecznych akcji promocyjnych
35) razem ze Śnieżynką roznosi prezenty rosyjskim dzieciom

Pionowo:

- 1)** Ignacy, autor powieści z określenia 22 poziomo
2) Nikoła, inżynier, wynalazca m.in. silnika indukcyjnego, prądu przemiennego
3) Drogi Mikołaju! W tym roku byłem grzeczny, przynieś mi proszę...
5) był nim „ten prawdziwy” Święty Mikołaj
6) Mikołaj Sęp ..., XVI-wieczny poeta
7) amerykański pisarz, autor sfilmowanych powieści „List w butelce”, „Noce w Rodanthe”
8) Rudolf i jego koledzy
10) Mikołaj, napisał „Żywot człowieka poczciwego”
12) Barbara lub Katarzyna dla Mikołaja Kopernika
15) Mikołaj, autor dramatów „Rewizor”, „Ożenek”
17) „... Mikołaja”, komedia filmowa z Jenny McCarthy w tytułowej roli

- 19)** starożytne miasto na półwyspie Azja Mniejsza, z którego pochodził Święty Mikołaj
20) czarna świąteczna komedia z Billym Bobem Thorntonem w roli głównej
23) imprezy handlowe często organizowane w okresie przedświątecznym; jarmarki
25) wigilijny – wyczekiwany cały rok
26) królewskie rozporządzenie, takie jak np. ukaz cara Mikołaja
27) czekoladowe mikołaje
28) Mikołaj Roznerski, Nick Nolte lub Nicolas Cage
30) atrybut Świętego Mikołaja

Leszek Rydz

OGLOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34310976



Roczna prenumerata

KSIĄZKI

MAGAZYN DO CZYTANIA

Doskonały prezent pod choinkę

ZAMÓW NA PRENUMERATA24.PL